

SIDNEY SHELDON

RANEK, POŁUDNIE, NOC

MORNING, NOON AND NIGHT

Przełożyła Danuta Górka

Wydanie oryginalne 1995

Wydanie polskie 1999

TMN

Niechaj poranne słońce rozgrzeje
Twe serce, pókiś młody
I niech łagodny wiatr południowy
Ochłodzi twą namiętność,
Lecz strzeż się nocy,
Bo w niej śmierć krąży,
I czeka, czeka, czeka.

Arthur Rimbaud

Dla Kimberly z miłością

RANEK

Rozdział pierwszy

– Czy wie pan, że nas śledzą, panie Stanford? – zapytał Dmitrij.

– Tak. – Wiedział o tym od dwudziestu czterech godzin. Dwaj mężczyźni i kobieta, niedbale ubrani, usiłowali wtopić się w tłum letnich turystów, spacerujących wczesnym rankiem po uliczkach brukowanych kocimi łbami. Trudno jednak zachować anonimowość w takiej dziurze, jak ufortyfikowana wioska St.-Paul-de-Vence.

Harry Stanford po raz pierwszy zwrócił na nich uwagę, ponieważ zachowywali się zbyt niedbale, zbyt usilnie próbowali nie patrzeć na niego. Gdziekolwiek się obrócił, jedno z nich tkwiło w tle.

Harry Stanford stanowił łatwy cel. Miał sześć stóp wzrostu, siwe włosy sięgające ramion i arystokratyczną, władczą twarz. Towarzyszyła mu uderzająco piękna brunetka, śnieżnobiały owczarek oraz Dmitrij Kaminskij, prawie dwumetrowy ochroniarz o byczym karku i cofniętym czole. Trudno nas przeoczyć, pomyślał Stanford.

Wiedział, kto tamtych wysłał i dlaczego, i wyczuwał nadciągające niebezpieczeństwo. Dawno już nauczył się ufać swoim instynktom. Instynkt i intuicja uczyniły go jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Magazyn „Forbes” oceniał wartość Przedsiębiorstw Stanforda na sześć miliardów dolarów, natomiast „Fortune” podwyższyła ocenę do siedmiu miliardów. „The Wall Street Journal”, „Barron’s”, „The Financial Times”, wszystkie zamieściły biografie Harry’ego Stanforda, próbując wyjaśnić jego tajemniczość, jego zdumiewające wyczucie momentu, jego niesamowitą przenikliwość – cechy, dzięki którym stworzył gigantyczne przedsiębiorstwa Stanford Enterprises. Nikomu się to nie udało.

Wszyscy zgadzali się co do jednego: Stanford obdarzony był niespożytą, niemal maniacką energią. Nigdy nie odpoczywał. Jego filozofia była prosta: dzień bez zysku to dzień stracony. Zamęczał na śmierć swoich konkurentów, pracowników i każdego, kogo spotkał. Stanowił absolutny fenomen. Uważał się za człowieka religijnego. Wierzył w Boga, w takiego Boga, który chciał, żeby Stanford był bogaty i potężny, a jego wrogowie martwi.

Harry Stanford był postacią publiczną, prasa wiedziała o nim wszystko. Harry Stanford był osobą prywatną, prasa nie wiedziała o nim nic. Pisali o jego charyzmie, jego rozrzutnym

stylu życia, jego prywatnym samolocie i jachcie, jego legendarnych domach w Hobe Sound, Maroku, Londynie, na Long Island, na południu Francji i oczywiście o jego wspaniałej posiadłości Rose Hill, położonej w Back Bay, dzielnicy Bostonu. Ale prawdziwy Harry Stanford pozostawał tajemnicą.

– Dokąd idziemy? – zapytała kobieta.

Nie miał czasu jej odpowiedzieć. Para po drugiej stronie ulicy zastosowała technikę podmiany: przed chwilą znowu zmienili partnerów. Wraz z poczuciem zagrożenia ogarnął Stanforda pałący gniew na tych ludzi, którzy naruszali jego prywatność. Ośmielili się przyjechać za nim aż tutaj, do jego azylu, ukrytego przed resztą świata.

St.-Paul-de-Vence to malownicza średniowieczna wioska, pełna starożytnej magii, położona na szczycie wzgórza w Alpach Nadmorskich, pomiędzy Cannes a Niceą. Leży wśród urokliwych wzgórz i dolin, porośniętych kwiatami, sadami i lasami sosnowymi. Sama wioska, z galeriami, pracowniami artystycznymi i cudownymi sklepami pełnymi antyków, stanowi magnes przyciągający turystów ze wszystkich stron świata. Harry Stanford skręcił w rue Grande.

– Sophia, czy lubisz muzea? – zwrócił się do kobiety.

– Tak, *caro*. – Bardzo starała się go zadowolić. Nigdy jeszcze nie spotkała kogoś takiego. Nie mogę się doczekać, żeby o nim opowiedzieć *mie amice*. Myślałam, że już niczego więcej nie mogę się dowiedzieć o seksie, ale, mój Boże, on jest taki pomysłowy! On mnie zamęczy!

Wspięli się na wzgórze, do muzeum Fundacji Maeghta, gdzie zerknęli na słynną kolekcję obrazów Bonnard i Chagalla oraz wielu innych współczesnych artystów. Kiedy Harry Stanford rozejrzał się jakby od niechcienia, zauważył na drugim końcu galerii kobietę, ze skupieniem wpatrzoną w obraz Miró.

Stanford odwrócił się do Sophie.

– Głodna?

– Tak. Jeśli ty jesteś głodny. – Nie wolno go naciskać.

– To dobrze. Zjemy lunch w La Colombe d'Or.

La Colombe d'Or należała do ulubionych restauracji Stanforda: szesnastowieczny dom przy bramie do starej wioski, przerobiony na hotel i restaurację. Stanford i Sophia usiedli przy stoliku w ogrodzie, nad basenem, skąd mogli podziwiać Braque'a i Caldera.

Księżę, biały owczarek, leżał u stóp swego pana, wiecznie czujny. Pies nigdy nie odstępował Harry'ego Stanforda ani na krok. Stanowił jego znak firmowy. Plotka głosiła, że na rozkaz pies rozerwie gardło każdemu intruzowi. Nikt nie miał ochoty jej sprawdzić.

Dmitrij usiadł samotnie przy stoliku w pobliżu wejścia do hotelu, uważnie obserwując innych gości.

– Zamówić dla ciebie, moja droga? – Stanford zapytał Sophię.

– Proszę.

Harry Stanford uważał się za smakosza. Zamówił dwa razy zieloną sałatę i *fricassée de lotte*.

Kiedy podano im główne danie, Daniele Roux, która prowadziła hotel razem ze swoim mężem François, podeszła z uśmiechem do ich stolika.

– *Bonjour*. Czy wszystko w porządku, *monsieur* Stanford?

– Wspaniale, *madame* Roux.

I będzie wspaniale. To są pigmeje, próbujące powalić giganta. Czeka ich wielkie rozczarowanie.

– Nigdy jeszcze tutaj nie byłam – powiedziała Sophia. – Co za śliczna wioska.

Stanford spojrzął na nią badawczo. Dmitrij poderwał ją dla niego w Nicei dzień wcześniej.

– Panie Stanford, przyprowadziłem panu kogoś.

– Jakież kłopoty? – zapytał Stanford.

Dmitrij uśmiechnął się szeroko.

– Wręcz przeciwnie.

Zobaczył ją w holu hotelu Negresco i podszedł do niej.

– Przepraszam, czy pani mówi po angielsku?

– Tak. – Miała śpiewny włoski akcent.

– Człowiek, dla którego pracuję, chciałby zjeść z panią obiad.

Była oburzona.

– Nie jestem *puttana!* Jestem aktorką – odparła wyniośle. Rzeczywiście wystąpiła jako statystka w ostatnim filmie Pupi Avatiego i miała rolę z dwoma linijkami tekstu w filmie Giuseppe Tornatore. – Dlaczego mam iść na obiad z obcym?

Dmitrij wyjął plik studolarowych banknotów. Wepchnął jej pięć do ręki.

– Mój przyjaciel jest bardzo hojny. Ma jacht i jest samotny.

Obserwował, jak wyraz jej twarzy zmienia się od oburzenia poprzez zaciekawienie do zainteresowania.

– Tak się składa, że mam wolne pomiędzy filmami. – Uśmiechnęła się. – Chyba nic złego się nie stanie, jeśli zjem obiad z pańskim przyjacielem.

– Dobrze. Będzie zadowolony.

– Gdzie on jest?

– W St.-Paul-de-Vence.

Dmitrij dokonał dobrego wyboru. Włoszka. Przed trzydziestką. Zmysłowa, kocia twarz. Pełne piersi. Teraz, patrząc na nią przez stół, Harry Stanford podjął decyzję.

– Czy lubisz podróże, Sophia?

– Uwielbiam.

– Doskonale. Zrobimy sobie małą wycieczkę. Przepraszam na chwilę.

Sophia patrzyła, jak wszedł do restauracji i podszedł do automatu telefonicznego obok męskiej toalety.

Wrzucił żeton w szczelinę i wystukał numer.

– Operator morski, proszę.

Po kilku sekundach głos powiedział:

– *C'est l'opératrice maritime.*

– Chcę rozmawiać z jachtem „Blue Skies”. Whiskey bravo lima dziewięć osiem zero...

Rozmowa trwała pięć minut, a potem Stanford zadzwonił na lotnisko w Nicei. Tym razem rozmawiał krócej.

Kiedy skończył, powiedział coś do Dmitrija, który szybko wyszedł z restauracji. Potem wrócił do Sophii.

– Gotowa?

– Tak.

– Chodźmy na spacer. – Potrzebował czasu, żeby dopracować plan.

Dzień był piękny. Słońce barwiło na różowo chmurki nad horyzontem, ulicami płynęły strumienie srebrzystego światła.

Przespacerowali się po rue Grande, minęli przepiękny dwunastowieczny kościół i weszli do *boulangerie* pod arkadami, żeby kupić świeży chleb. Kiedy stamtąd wyszli, jeden z trójki obserwatorów stał na ulicy, pochłonięty widokiem kościoła. Czekał na nich również Dmitrij. Harry Stanford podał chleb Sophii.

– Zanieś to do domu, dobrze? Przyjdę za kilka minut.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się i powiedziała cicho: – Pospiesz się, *caro*.

Stanford odprowadził ją wzrokiem, potem odwrócił się do Dmitrija.

– Czego się dowiedziałeś?

– Kobieta i jeden z mężczyzn mieszkają w Le Hameau, na drodze do La Colle.

Harry Stanford znał to miejsce. Bielony wiejski dom z sadem, położony milę na zachód od St.-Paul-de-Vence.

– A ten drugi?

– W Le Mas d'Artigny.

Le Mas d'Artigny to była prowansalska posiadłość na wzgórzu, dwie mile na zachód od St.-Paul-de-Vence.

– Co mam zrobić, proszę pana?

– Nic. Sam się nimi zajmę.

Willa Harry'ego Stanforda stała na rue de Casette, obok *mairie*, w dzielnicy bardzo starych domów i wąskich uliczek brukowanych kocimi łbami. Willa, zbudowana ze starego

kamienia, miała cztery piętra. Dwa poziomy poniżej głównego apartamentu znajdował się garaż i stara *cave*, używana jako piwnica win. Kamienne schody prowadziły na górę, do sypialni, gabinetu i tarasu ocienionego dachówkami. Cały dom umeblowany był francuskimi antykami i wypełniony kwiatami.

Kiedy Stanford wrócił do willi, Sophia czekała w jego sypialni. Była naga.

– Co cię zatrzymało tak długo? – szepnęła.

Pomiędzy kolejnymi filmami Sophia Matteo często zarabiała jako *call girl*, żeby nie umrzeć z głodu. Przyzwyczała się do udawania orgazmów, żeby sprawić przyjemność klientom, ale z tym mężczyzną nie musiała udawać. Był nienasycony, a ona szczytowała raz za razem.

Kiedy wreszcie poczuli zmęczenie, Sophia objęła kochanka i zamruczała szczęśliwym głosem:

– Chciałabym zostać tutaj na zawsze, *caro*.

Ja też bym chciał, pomyślał ponuro Stanford.

Zjedli obiad w Le café de la Place na Plaza du General-de Gaulle, w pobliżu wioskowej bramy. Jedzenie było pyszne, a niebezpieczeństwo stanowiło dla Stanforda dodatkową, pikantną przyprawę.

Kiedy skończyli, wrócili piechotą do willi. Stanford szedł powoli, żeby ułatwić zadanie prześladowcom.

O pierwszej w nocy mężczyzna stojący po drugiej stronie ulicy widział, jak światła w willi gasną jedno po drugim i dom pogrąża się w ciemnościach.

O czwartej trzydzieści nad ranem Harry Stanford wszedł do sypialni, w której spała Sophia. Potrząsnął nią delikatnie.

– Sophia...?

Otworzyła oczy i spojrzała na niego z wyczekującym uśmiechem. Potem zmarszczyła brwi. Stanford był całkowicie ubrany. Usiadła.

– Co się stało?

– Nic takiego, moja droga. Wszystko w porządku. Mówiłaś, że lubisz podróżować. No więc jedziemy na małą wycieczkę.

Teraz już całkiem się rozbudziła.

– O tej porze?

– Tak. Musimy zachowywać się bardzo cicho.

– Ale...

– Pospiesz się.

Piętnaście minut później Harry Stanford, Sophia, Dmitrij i Księżę schodzili po kamiennych schodach do podziemnego garażu, gdzie stał brązowy renault. Dmitrij cicho otworzył drzwi garażu i wyjrzał na ulicę. Oprócz białej corniche Stanforda, zaparkowanej

przed frontem domu, ulica wydawała się pusta.

– Wszędzie czysto.

Stanford odwrócił się do Sophii.

– Zabawimy się – powiedział. – Ty i ja wsiądziemy do renaulta z tyłu i położymy się na podłodze.

– Dlaczego? – spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem.

– Od jakiegoś czasu śledzi mnie konkurencja – wyjaśnił poważnie. – Właśnie załatwiam bardzo duży interes, a oni chcą się czegoś o tym dowiedzieć. Jeżeli coś wywęszą, mogą stracić dużo pieniędzy.

– Rozumiem – powiedziała Sophia. Nie miała pojęcia, o czym on mówi.

Pięć minut później wyjechali z wioski na szosę do Nicei. Mężczyzna siedzący na ławce patrzył, jak brązowy renault przejeżdża przez bramę. Samochód prowadził Dmitrij Kaminskij, a obok niego siedział Książę. Mężczyzna pośpiesznie wyciągnął telefon komórkowy i wystukał numer.

– Chyba mamy problem – powiedział do kobiety.

– Jaki?

– Właśnie wyjechał brązowy renault. Prowadził Kaminskij, pies też był w samochodzie.

– A Stanford?

– Nie.

– Nie wierzę. Ochroniarz nigdy nie zostawia go samego w nocy, a ten pies nigdy go nie odstępuje.

– Czy jego corniche stoi przed willą? – zapytał drugi mężczyzna wyznaczony do śledzenia Harry’ego Stanforda.

– Tak, ale może zamienił samochody.

– Albo to jakiś podstęp! Dzwon na lotnisko. Po kilku minutach rozmawiali z wieżą kontrolną.

– Samolot *monsieur* Stanforda? *Oui*. Wylądował godzinę temu i już zatankował paliwo.

Pięć minut później dwaj członkowie zespołu śledczego jechali na lotnisko, podczas gdy trzeci pilnował ciemnej willi.

Kiedy brązowy renault przejechał przez La-coalle-sur-Loup, Stanford przesunął się na siedzenie.

– Możesz już usiąść – powiedział do Sophii, Pochylił się do Dmitrija. – Lotnisko w Nicei. Szybko.

Rozdział drugi

Pół godziny później na lotnisku w Nicei przerobiony boeing 727 powoli kołował po pasie startowym. Wysoko w wieży kontroler lotu skomentował:

- Strasznie im się spieszy, żeby stąd odlecieć. Pilot trzy razy prosił o zezwolenie.
- Czyj to samolot?
- Harry’ego Stanforda. Król Midas we własnej osobie.
- Pewnie leci zarobić następny miliard albo dwa.

Kontroler odwrócił się, żeby widzieć start odrzutowca Lear, potem podniósł mikrofon.

– Boeing osiem dziewięć pięć Papa, tu nicejska kontrola odlotów. Macie zezwolenie na start. Pas lewy pięć. Po starcie skreć w prawo w korytarz jeden cztery zero.

Pilot i drugi pilot Harry’ego Stanforda wymienili spojrzenia pełne ulgi. Pilot nacisnął guzik mikrofonu.

– Roger. Boeing osiem dziewięć pięć Papa ma zezwolenie na start. Skreca w prawo na jeden cztery zero.

Po chwili wielki samolot z rykiem przemknął po pasie i wzbił się w szare poranne niebo.

Drugi pilot ponownie odezwał się do mikrofonu:

– Kontrola, boeing osiem dziewięć pięć Papa wychodzi z trzech tysięcy na pułap siedem zero.

A następnie spojrzał na swojego kolegę.

– Uff! Stary nieźle nas pogonił tym razem, no nie?

Pilot wzruszył ramionami.

– My o powód nie pytamy, my na rozkaz umieramy. Co on tam robi?

Drugi pilot wstał, otworzył drzwi i zajrzał do kabiny.

– Odpoczywa.

Z samochodu ponownie zadzwonili do kontroli lotów.

– Samolot pana Stanforda... Czy jeszcze stoi?

– *Non, monsieur.* Już wystartował.

– Czy pilot wypełnił kartę lotu?
– Oczywiście, *monsieur*.
– Czy podał port docelowy?
– Samolot wylądował na JFK.
– Dziękuję. – Odwrócił się do towarzysza. – Lotnisko Kennedy’ego. Wyślemy ludzi, żeby tam na niego czekali.

Kiedy renault minął przedmieścia Monte Carlo, pędząc ku włoskiej granicy, Harry Stanford odezwał się:

– Na pewno nas nie śledzą, Dmitrij?
– Nie, proszę pana. Zgubiliśmy ich.
– Dobrze.

Stanford oparł się wygodnie, teraz mógł sobie pozwolić na odprężenie. Nie miał powodów do niepokoju. Tamci na pewno będą śledzili samolot. Jeszcze raz rozważał sytuację. Chodziło o to, czego się dowiedzą i kiedy. To były szakale tropiące lwa z nadzieją, że go pokonają. Uśmiechnął się do siebie. Nie docenili przeciwnika. Inni, którzy popełnili ten sam błąd, drogo za to zapłacili. Ktoś zapłaci również tym razem. Harry Stanford, zaufany powiernik królów i prezydentów, był dostatecznie potężny i bogaty, żeby zniszczyć gospodarkę wielu krajów. A jednak...

Boeing 727 przelatywał nad Marsylią. Pilot powiedział do mikrofonu:

– Marsylia, boeing osiem dziewięć pięć Papa zgłasza się, wchodzę z pułapu jeden dziewięć zero na pułap dwa trzy zero.
– Roger.

Renault dotarł do San Remo o świcie. Harry Stanford zachował przyjemne wspomnienie tego miasta, które jednak zmieniło się nie do poznania. Pamiętał czasy, kiedy było to eleganckie miasteczko z pierwszorzędnymi hotelami i restauracjami, z kasynem, gdzie od gości wymagano czarnych krawatów i gdzie w ciągu jednego wieczora tracono i wygrywano fortuny. Teraz kasyno przestawiło się na turystów, hałaśliwych przybyszów w kolorowych letnich koszulkach.

Renault zbliżał się do zatoki, dwanaście mil od granicy francusko-włoskiej. Były tam dwie przystanie dla jachtów: Porto Sole na wschodzie oraz Porto Communale na zachodzie. W Porto Sole przystaniowy wyznaczał miejsce do cumowania. W Porto Communale nie było przystaniowego.

– Do której? – zapytał Dmitrij.
– Porto Communale – zdecydował Stanford. Im mniej ludzi dookoła, tym lepiej.

Pięć minut później renault zahamował obok „Blue Skies”, smukłego motorowego jachtu, o długości stu osiemdziesięciu stóp. Kapitan Vacarro oraz dwunastoosobowa załoga czekali w

szeregu na pokładzie. Kapitan zbiegł po trapie, żeby powitać przybyszów.

– Dzień dobry, *signor* Stanford – zawołał kapitan Vacarro. – Przyniesiemy pana bagaż i...

– Żadnego bagażu. Odbijamy.

– Tak jest, proszę pana.

– Zaczekajcie chwilę. – Stanford zlustrował załogę. Zmarszczył brwi. – Ten człowiek na końcu. On jest nowy, prawda?

– Tak, proszę pana. Chłopak kabinowy zachorował na Capri, więc wzięliśmy tego. Jest bardzo dobry...

– Zwolnić go – rozkazał Stanford.

Kapitan spojrział na niego ze zdumieniem.

– Wyrzucić...?

– Zapłać mu. Pozbądź się go.

Kapitan Vacarro kiwnął głową.

– Dobrze, proszę pana.

Harry Stanford rozejrzał się ze wznowioną czujnością. Niemal namacalnie wyczuwał zagrożenie wiszące w powietrzu. Nie chciał na jachcie żadnych obcych. Kapitan Vacarro i jego załoga pracowali dla niego od lat. Zasługiwali na zaufanie. Obejrzał się na dziewczynę. Ponieważ Dmitrij wybrał ją na chybił trafił, nie stanowiła zagrożenia. Zaś wierny ochroniarz niejedną raz uratował mu życie.

– Trzymaj się blisko mnie – zwrócił się do niego.

– Tak, proszę pana.

Stanford ujął Sophie pod ramię.

– Wchodzimy na pokład, moja droga.

Dmitrij Kaminskij obserwował załogę, przygotowującą się do wypłynięcia. Dokładnie przepatrzył zatokę, ale nie zauważył nic niepokojącego. O tej porze, tak wcześnie rano, niewiele się tutaj działo. Potężne silniki z rykiem zbudziły się do życia i jacht już po chwili zaczął nabierać szybkości.

Kapitan podszedł do Harry'ego Stanforda.

– Nie powiedział pan, dokąd płyniemy, *signor* Stanford.

– Nie, chyba nie powiedziałem, kapitanie. – Myślał przez chwilę. – Portofino?

– Tak, proszę pana.

– Jeszcze jedno, chcę, żebyście zachowali całkowitą ciszę radiową.

Kapitan Vacarro zmarszczył brwi.

– Cisza radiowa? Tak, proszę pana, ale jeżeli...?

– Nie przejmuj się niczym – odparł Stanford. – Po prostu rób, co ci każę. I nie chcę, żeby ktoś używał satelitarnych telefonów.

– Oczywiście, proszę pana. Czy w Portofino zrobimy postój?

– Zawiadomię was, kapitanie.

Harry Stanford oprowadził Sopię po jachcie. Lubił popisywaó się przed goóci mi tã zabawkã, jednã z jego ulubionych. Jacht robił imponujãce wraŹenie. Luksusowo wyposaŹony apartament wãlsciciela skãdãł się z salonu i gabinetu. Gabinet był przestronny i wygodnie umeblowany: kanapa, kilka foteli i biurko, na którym znajdowało się dostatecznie duŹo elektronicznego sprzët, Źeby obsłuŹyó niewielkie miasto. Na ócianie wisiała wielka elektroniczna mapa, gdzie mała ruchoma łódeczka pokazywała pozycję jachtu. Rozsuwane szklane drzwi prowadziły z gabinetu na pokład-werandę, stał tam szezlong oraz stół z czterema krzesłami. Burty zabezpieczał reling z drewna tekowego. W pogodne dni Stanford jadał zazwyczaj śniadanie na werandzie.

Kãdza z szeóciu kabin wyposaŹona była w ręcnie malowane jedwabne obicia, okna widokowe oraz łazienkę z wannã do masażu wodnego. Wielkã bibliotekę wyłóŹono drewnem koa. Umeblowanie było wspaniałe, a obrazy przyprawiłyby o zazdroóó kãdze muzeum.

Jadalnia mogła pomieóció szesnaócie osób. Na dolnym pokładzie znajdowała się kompletnie wyposaŹona sala gimnastyczna. Na jachcie znajdował się teŹ skãd win i sala projekcyjna. Harry Stanford posiadał chyba największy na ówiecie zbiór filmów pornograficznych.

– No, teraz zobaczyłaó juŹ prawie wszystko – powiedział Stanford do Soppii na zakończenie zwiedzania. – Resztę pokaŹę ci jutro.

Soppia była oszołomiona.

– Nigdy w Źyciu nie widziałam niczego takiego! To jest jak... jak miasto!

Jej entuzjazm wywołał uómiech na twarzy Harry’ego Stanforda.

– Steward zaprowadzi cię do kabiny. Rozgoóó się, moja droga. Ja mam trochę roboty.

Wrócił do gabinetu i sprawdził na elektronicznej óciennej mapie połoŹenie jachtu. „Blue Skies” płynãł po Morzu Liguryjskim, kierujãc się na północ. Nie odgadnã, gdzie jestem, pomyólał. Będã czekaó na mnie na lotnisku JFK. Kiedy dopłyniemy do Portofino, wszystko wyprostuję.

Na wysokoóci trzydziestu pięciu tysięcy stóp pilot boeinga 727 odbierał nowe instrukcje.

– Boeing osiem dzieócię pięó Papa, wchodziecie prosto w górnny korytarz czterdzieóci Delta India November, zgodnie z rozkãdem.

– Roger. Boeing osiem dzieócię pięó Papa wchodzi prosto w górnny korytarz czterdzieóci Dinar, zgodnie z rozkãdem. – Odwrócił się do drugiego pilota. – Wszystko gra.

Przeciãgnãł się, wstał i podszedł do drzwi kokpitu. Zajrzał do kabiny.

– Jak tam nasz pasażer? – zapytał drugi pilot.

– Chyba jest głodny.

Rozdział trzeci

Wybrzeże Morza Liguryjskiego to Riwiera Włoska, która rozciąga się półkolem od granicy francusko-włoskiej do Genui i dalej do zatoki La Spezia. Piękna, długa wstęga wybrzeża, ze słynnymi portami Portofino i Vernazzą, otacza roziskrzone morze, dalej zaś leżą wyspy – Elba, Sardynia i Korsyka.

„Blue Skies” zbliżał się do Portofino. Już z daleka miasteczko wyglądało uroczo, ukryte wśród wzgórz porośniętych palmami, sosnami, cyprysami i oliwkami. Harry Stanford, Sophia i Dmitrij stali na pokładzie, wpatrując się w coraz bliższy brzeg.

– Często bywałeś w Portofino? – zapytała Sophia.

– Kilka razy.

– Gdzie jest twoja główna rezydencja?

Zbyt osobiste.

– Spodoba ci się w Portofino, Sophio. Naprawdę piękne miejsce.

Podszedł do nich kapitan Vacarro.

– Zjedzą państwo lunch na pokładzie, *signor* Stanford?

– Nie, zjemy lunch w Splendido.

– Doskonale. Czy mam się przygotować do podniesienia kotwicy zaraz po lunchu?

– Raczej nie. Nacieszmy się pięknem tego miejsca.

Zaskoczony kapitan Vacarro wytrzeszczył na niego oczy. Jeszcze niedawno Harry Stanford tak strasznie się spieszył, a teraz nagle miał mnóstwo czasu. I kazał wyłączyć radio? Niesłychane! *Pazzo!*

Kiedy „Blue Skies” rzucił kotwicę w zewnętrznej zatoce, Stanford, Sophia i Dmitrij popłynęli motorówką na brzeg. Mały port morski był zjawiskowym miejscem z mnóstwem interesujących sklepów i trattorii na świeżym powietrzu wzdłuż jedynej drogi, która prowadziła na wzgórze. Kilkanaście małych łodzi rybackich leżało na kamienistej plaży.

Stanford odwrócił się do Sophii:

– Zjemy lunch w hotelu na szczycie wzgórza. Stamtąd roztacza się piękny widok. –

Wskazał taksówkę stojącą za dokami. – Pojedź pierwsza, ja dołączę za kilka minut.

Dał jej trochę lirów.

– Dobrze, *caro*.

Odprowadzał ją wzrokiem, potem zwrócił się do Dmitrija:

– Muszę zadzwonić.

Ale nie z jachtu, pomyślał ochroniarz.

Podeszli do dwóch budek telefonicznych na skraju doku. Dmitrij patrzył, jak Stanford wchodzi do jednej, podnosi słuchawkę i wrzuca żeton.

– Operator, chciałbym się połączyć ze Zjednoczonym Bankiem Szwajcarskim w Genewie.

Do drugiej budki telefonicznej zbliżała się kobieta. Dmitrij zastąpił jej drogę.

– Przepraszam pana – powiedziała – chcę...

– Ktoś ma do mnie zadzwonić.

– Och. – Zerknęła z nadzieją na drugą budkę, zajęta przez Stanforda.

– Nie radzę pani czekać – mruknął Dmitrij. – On będzie długo rozmawiał.

Kobieta wzruszyła ramionami i odeszła.

– Halo?

Dmitrij patrzył, jak Stanford mówi do słuchawki.

– Peter? Mamy drobny kłopot. – Jego chlebodawca zamknął drzwi budki. Mówił bardzo szybko i Dmitrij nic nie słyszał. Zakończywszy rozmowę, Stanford odwiesił słuchawkę i otworzył drzwi.

– Wszystko w porządku? – zapytał ochroniarz.

– Chodźmy na lunch.

Splendid to klejnot koronny Portofino, hotel ze wspaniałym panoramicznym widokiem na szmaragdową zatokę. Przyjmuje tylko najbogatszych gości i zazdrośnie strzeże swojej reputacji. Harry Stanford i Sophia zasiedli do lunchu na tarasie.

– Zamówić dla ciebie? – zapytał. – Mają tutaj swoje specjalności, które powinny ci smakować.

– Proszę – powiedziała Sophia.

Zamówił *trenette al pesto*, miejscowy makaron, cielęcinę i *focaccia*, regionalny słony chleb.

– I przynieście nam butelkę Schrama z osiemdziesiątego ósmego. – Odwrócił się do Sophii. – Zdobył złoty medal na międzynarodowych targach win w Londynie. Jestem właścicielem winnicy.

Uśmiechnęła się do niego.

– Szczęściarz z ciebie.

Szcście nie miało z tym nic wspólnego.

– Wierzę, że człowiek został stworzony do poznawania smakowych rozkoszy, jakie istnieją na tej ziemi. – Wziął ją za rękę. – A także innych rozkoszy.

– Jesteś niezwykłym człowiekiem.

– Dziękuję.

Stanford odczuwał podniecenie, kiedy podziwiała go piękne kobiety. Ta dziewczyna była dostatecznie młoda, żeby być jego córką, co podniecało go jeszcze bardziej.

Kiedy skończyli lunch, spojrzął na Sophię i uśmiechnął się znacząco.

– Wracajmy na jacht.

– Och, tak!

Harry Stanford był kochankiem namiętym i doświadczonym. Rozbudowane ego kazało mu bardziej starać się o zaspokojenie kobiety niż samego siebie. Wiedział, jak pobudzać erogenne strefy kobiecego ciała, i niczym dyrygent orkiestry zmieniał seks w symfonię zmysłów, doprowadzając swoje kochanki do ekstazy, jakiej nigdy przedtem nie zaznały.

Spędzili popołudnie w kabinie Stanforda i kiedy skończyli się kochać, Sophia była wyczerpana. Harry Stanford ubrał się i poszedł na mostek porozmawiać z kapitanem.

– Chciałby *signor* popłynąć na Sardinie? – zapytał kapitan.

– Zatrzymajmy się najpierw na Elbie.

– Doskonale, proszę pana. Czy wszystko w porządku?

– Tak – odparł Stanford. – Wszystko w porządku.

Znowu poczuł podniecenie. Wrócił do kabiny.

Dopłynęli do Elby po południu i rzucili kotwicę w Portoferraio.

Kiedy boeing 727 wszedł w amerykańską przestrzeń powietrzną, pilot nawiązał łączność z naziemną kontrolą lotów.

– Centrum Nowy Jork, zgłasza się boeing osiem dziewięć pięć Papa, schodzę z pułapu dwa sześć zero na pułap dwa cztery zero.

Odezwał się głos z Centrum Nowy Jork:

– Roger, masz zezwolenie na jeden dwa tysiące, bezpośrednio na JFK. Zaczynaj podejście na jeden dwa siedem koma cztery.

Z tyłu samolotu dobiegło niskie warczenie.

– Spokojnie, Książę. Dobry piesek. Zapniemy ci pasy.

Czterej mężczyźni czekali na wylądowanie boeinga 727. Rozstawieni w różnych punktach, mogli obserwować wysiadających z samolotu. Czekali przez pół godziny. Jedynym pasażerem okazał się biały owczarek.

Portoferraio stanowi główny ośrodek handlowy Elby. Wzdłuż ulic stoją szeregi eleganckich, ekskluzywnych sklepów, a nad zatoką osiemnastowieczne domy tłoczą się pod murem szesnastowiecznej cytadeli, zbudowanej przez księcia Florencji.

Harry Stanford odwiedzał wyspę wielokrotnie i w pewnym sensie czuł się tu jak w domu. Tutaj właśnie przebywał na wygnaniu Bonaparte.

– Pójdziemy obejrzeć dom Napoleona – powiedział do Sophii. – Tam się spotkamy. – Odwrócił się do Dmitrija. – Zabierz ją do Villa dei Mulini.

– Tak, proszę pana.

Stanford patrzył, jak Sophia i Dmitrij odchodzą. Spojrzał na zegarek. Czas uciekał. Jego samolot wylądował już na lotnisku Kennedy’ego. Kiedy się zorientują, że nie było go na pokładzie, znowu rozpocznie się oblawa. Trochę potrwa, zanim odnajdą ślad, pomyślał. Do tej pory wszystko zostanie załatwione.

Wszedł do budki telefonicznej na końcu doku.

– Chcę zamówić rozmowę z Londynem – powiedział do telefonistki. – Barclay Bank. Jeden siedem jeden...

Pół godziny później odnalazł Sopię i zaprowadził ją z powrotem na przystań.

– Wejdz na pokład – polecił jej. – Muszę jeszcze zadzwonić.

Patrzyła, jak mężczyzna podchodzi do budki telefonicznej obok doku. Dlaczego nie dzwoni z jachtu? – zastanowiła się.

Harry Stanford mówił do słuchawki:

– Bank Sumitorno w Tokio...

Piętnaście minut później wrócił na jacht w stanie furii.

– Zostaniemy tutaj na noc? – zapytał kapitan Vacarro.

– Tak – warknął Stanford. – Nie! Płyniemy na Sardinie. Natychmiast!

Costa Smeralda na Sardynii należy do najpiękniejszych miejsc na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Małe miasteczko Porto Cervo to azyl dla bogaczy. Prawie na całym terenie wznoszą się wille zbudowane przez Ali Khana.

Po zadokowaniu Harry Stanford od razu ruszył do budki telefonicznej. Dmitrij pospieszył za nim.

– Chcę zamówić rozmowę z Banca d’Italia w Rzymie... – drzwi zamknęły się.

Rozmowa trwała prawie pół godziny. Kiedy Stanford wyszedł, był ponury. Dmitrij zastanawiał się, co się stało.

Stanford i Sophia zjedli lunch na plaży w Liscia di Vacca. Stanford i tym razem zamówił dla nich obojga.

– Zaczniemy od *malloreddus*. Płatki ciasta z pełnoziarnistej pszenicy. Potem *porceddu*. Mały świński oserek, ugotowany z mirtem i liściem bobkowym. Co do wina, weźmiemy Vernaccia, a na deser zamówimy *sebadas*. Podsmażane naleśniki nadziewane świeżym serem i utartą skórką cytrynową, doprawione gorzkim miodem i posypane cukrem.

– *Bene, signor*. – Kelner pomyślał, że taki klient rzadko się zdarza.

Stanford odwrócił się do Sophii i nagle serce mu zamarło. W pobliżu wejścia do restauracji siedziało dwóch mężczyzn, wpatrując się w niego. Ubrani w ciemne garnitury

pomimo letniego upału, nawet nie próbowali udawać turystów. Czy oni mnie śledzą, czy to jacyś niewinni obcy? Muszę zapanować nad swoją wyobraźnią, pomyślał.

– Nigdy przedtem cię nie pytałam – odezwała się Sophia. – Czym się zajmujesz?

Stanford przyjrzał się jej. Przyjemnie było przebywać z kimś, kto niczego o nim nie wiedział.

– Wycofałem się z interesów – powiedział. – Podróżuję po świecie dla przyjemności.

– Tak całkiem sam? – W jej głosie zabrzmiało współczucie. – Na pewno czujesz się samotny.

Kosztowało go sporo wysiłku, żeby nie roześmiać się głośno.

– Tak, czuję się samotny. Cieszę się, że jesteś ze mną.

Nakryła ręką jego dłoń.

– Ja też, *caro*.

Kątem oka Stanford zobaczył, że dwaj mężczyźni wychodzą.

Kiedy skończyli lunch, Stanford, Sophia i Dmitrij wrócili do miasta. Stanford skierował się do budki telefonicznej.

– Proszę mnie połączyć z Credit Lyonnais w Paryżu...

Wpatrując się w niego, Sophia powiedziała do Dmitrija:

– On jest cudowny, prawda?

– Nie ma takiego drugiego.

– Długo u niego pracujesz?

– Dwa lata – odparł.

– Masz szczęście.

– Wiem.

Dmitrij podszedł do budki telefonicznej i stanął na posterunku przed drzwiami. Usłyszał głos Stanforda:

– René? Wiesz, dlaczego dzwonię... Tak... Tak... Zgadzasz się? Cudownie! – Ulga zadźwięczała w jego głosie. – Nie... nie tutaj. Spotkajmy się na Korsyce... Doskonale... Po naszym spotkaniu mogę wrócić prosto do domu... Dziękuję ci, René.

Stanford odwiesił słuchawkę. Przez chwilę stał bez ruchu, uśmiechnięty, potem wybrał numer w Bostonie.

Zgłosiła się sekretarka:

– Biuro pana Fitzgeralda.

– Mówi Harry Stanford. Proszę mnie z nim połączyć.

– Och, pan Stanford! Przykro mi, pan Fitzgerald jest na wakacjach. Może ktoś inny...?

– Nie. Wracam do Stanów. Niech mu pani przekaze, żeby zgłosił się do mnie w Bostonie w Rose Hill o dziewiątej rano w poniedziałek. Niech przyniesie kopię mojego testamentu i przyprowdzi notariusza.

– Spróbuję...

– Niech pani nie próbuje, tylko to załatwi, moja droga.

Odwiesił słuchawkę i stał bez ruchu, porządkując myśli. Kiedy wyszedł z budki telefonicznej, głos miał spokojny.

– Muszę załatwić pewną drobną sprawę, Sophio. Idź do hotelu Pitrezza i czekaj na mnie.

– Jak sobie życzysz – powiedziała zalotnie. – Nie każ mi długo czekać.

– Nie bój się.

Obaj mężczyźni odprowadzili ją wzrokiem.

– Wracajmy na jacht – powiedział Stanford do Dmitrija. – Odplywamy.

Dmitrij spojrział na niego ze zdumieniem.

– A co z...?

– Może zarobić dupą na powrót do domu.

Kiedy wrócili na „Blue Skies”, Harry Stanford poszedł porozmawiać z kapitanem Vacarro.

– Płyniemy na Korsykę – oznajmił. – Ruszamy natychmiast.

– Właśnie otrzymałem spóźnioną prognozę pogody, *signor* Stanford. Obawiam się, że nadchodzi silny sztorm. Lepiej poczekać...

– Chcę wypłynąć zaraz, kapitanie.

Kapitan Vacarro zawahał się.

– Rejs będzie ciężki, proszę pana. To *libeccio*... południowo-zachodni wiatr. Trafimy na burzę i wysoką falę.

– Nic mnie to nie obchodzi. – Spotkanie na Korsyce powinno rozwiązać wszystkie jego problemy. Odwrócił się do Dmitrija. – Chcę, żebyś załatwił helikopter, który zabierze nas z Korsyki do Neapolu. Skorzystaj z publicznego telefonu obok doku.

– Tak, proszę pana.

Dmitrij Kaminskij wrócił na nabrzeże i wszedł do budki telefonicznej.

Dwadzieścia minut później „Blue Skies” płynął po morzu.

Rozdział czwarty

Dan Quayle był jego idolem i często powoływał się na niego jako na autorytet.

– Wszystko mi jedno, co mówicie o Quayle’u, to jedyny polityk ceniący prawdziwe wartości. Rodzina... o to chodzi. Bez wartości rodzinnych ten kraj jeszcze szybciej stoczy się w przepaść. Tylu młodych żyje ze sobą bez ślubu i na dodatek mają dzieci. To wstrząsające. Nic dziwnego, że przestępczość rośnie. Gdyby Dan Quayle kiedyś kandydował na prezydenta, ma zapewniony mój głos. – To wstyd, pomyślał, że nie mogę głosować z powodu głupich przepisów, niemniej jednak popieram Quayle’a całym sercem.

Miał czwórkę dzieci: Billy’ego, ośmiolatka, i trzy dziewczynki – Amy, Clarissę i Susan, dziesięć, dwanaście i czternaście lat. To były wspaniałe dzieciaki i czas spędzany z nimi – najlepsze chwile, jak to lubił nazywać – był jego największą radością. Weekendy całkowicie poświęcał dzieciom. Urządzał dla nich ogrodowe uczyty, bawił się z nimi, zabierał do kina i na boisko, pomagał w lekcjach. Wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa przepadały za nim. Naprawiał im rowery i zabawki, zapraszał na rodzinne pikniki. Nadali mu przydomek Papa.

W słoneczny sobotni poranek siedział na otwartej trybunie i oglądał mecz baseballu. Dzień był piękny jak z obrazka, słońce grzało, puszyste obłoczki płynęły po błękitnym niebie. Jego ośmioletni syn Billy trzymał bijak. Wyglądał bardzo profesjonalnie i dorośle w sportowym stroju Małej Ligi. Trzy córki Papy i jego żona siedziały obok. Lepiej już być nie może, pomyślał z zadowoleniem. Dlaczego wszystkie rodziny nie są podobne do naszej?

Właśnie dobiegała końca ósma zmiana, punktacja wyglądała kiepsko: dwa auty i bazy obstawione. Billy stał przy bazie; stracił już trzy piłki i dwa uderzenia.

Papa zawołał zachęcająco:

– Pokaż im, Billy! Wybij za siatkę!

Billy czekał na rzut. Piłka była szybka i niska. Billy machnął dziko kijem i chybił.

Sędzia ryknął:

– Trzecie uderzenie!

Koniec zmiany.

W tłumie rodziców i znajomych rozległy się jęki i okrzyki. Billy stał speszony, patrząc, jak drużyny zmieniają pozycje.

– Nie szkodzi, synu – zawołał Papa. – Następnym razem trafisz!

Billy zdobył się na wymuszony uśmiech. John Cotton, kierownik drużyny, czekał na chłopca.

– Wypadasz z gry! – oświadczył.

– Ale panie Cotton...

– Koniec. Zjeżdżaj z boiska.

Ojciec Billy'ego obserwował z niemiłym zdziwieniem, jak syn schodzi z murawy. Facet nie powinien tego robić, pomyślał. Należy dać smykowi jeszcze jedną szansę. Będę musiał pogadać z panem Cottonem.

W tej samej chwili zabrzączał komórkowy telefon, który Papa zawsze nosił przy sobie. Odczekał cztery dzwonki, zanim się zgłosił. Tylko jedna osoba znała ten numer. On wie, że nie znoszę, kiedy mi przeszkadzają w weekendy, pomyślał ze złością. Niechętnie wyciągnął antenę, nacisnął guzik i powiedział do mikrofonu:

– Halo?

Głos po drugiej stronie mówił cicho przez kilka minut. Papa słuchał, od czasu do czasu kiwając głową.

Wreszcie powiedział:

– Tak, rozumiem. Zajmę się tym.

Włożył telefon do kieszeni.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała żona.

– Niestety. Chcą, żebym pracował w weekend. Planowałem na jutro wspaniałe *barbecue*.

Żona wzięła go za rękę i powiedziała czule:

– Nie przejmuj się tym. Twoja praca jest ważniejsza.

Nic nie jest ważniejsze od mojej rodziny, pomyślał z uporem. Dan Quayle by zrozumiał.

Ręka zaczęła go gwałtownie swędzieć, więc się podrapał. Dlaczego tak swędzi, pomyślał. W tych dniach będę musiał wybrać się do dermatologa.

John Cotton, krzepki mężczyzna po pięćdziesiątce, był zastępcą kierownika w miejscowym supermarkecie. Zgodził się prowadzić drużynę Małej Ligi, ponieważ jego syn był pałkarzem. Tego popołudnia drużyna przegrała z powodu małego Billy'ego.

Supermarket był zamknięty. John Cotton szedł po parkingu w stronę swojego samochodu, kiedy zbliżył się do niego jakiś obcy, niosący paczkę.

– Przepraszam, panie Cotton.

– Tak?

– Chciałbym pana prosić o chwilę rozmowy.

– Sklep jest zamknięty.

– Och, nie o to chodzi. Chciałbym z panem porozmawiać o moim synu. Billy bardzo się zmartwił, że pan go usunął z boiska, i powiedział, że więcej nie zagra.

– Billy to pana syn? Żałuję, że w ogóle go dopuściłem do gry. Z niego nigdy nie będzie pałkarz.

Ojciec Billy'ego powiedział poważnie, z przejęciem:

– Pan nie ma racji, panie Cotton. Znam mojego syna. Billy to dobry pałkarz. Zobacz pan. Kiedy zagra w następną sobotę...

– On nie zagra w następną sobotę. Wyrzuciłem go.

– Ale...

– Żadne ale. To wszystko. Skoro nie ma pan nic więcej...

– Ależ mam. – Ojciec Billy'ego rozwinął pakunek, odsłaniając kij baseballowy. Powiedział prosząco: – To jest kij, którego używał Billy. Widzi pan, że jest wyszczerbiony, więc nie powinno się karać chłopca za...

– Słuchaj pan, gównu mnie obchodzi ten kij. Pana syn wyleciał z drużyny!

Ojciec Billy'ego westchnął ze smutkiem.

– Na pewno nie zmieni pan zdania?

– Nic z tego.

Kiedy Cotton sięgnął do klamki na drzwiach samochodu, ojciec Billy'ego zamachnął się kijem baseballowym i roztrzaskał tylną szybę.

Zaszokowany Cotton wytrzeszczył na niego oczy.

– Co... co pan wyrabia, do cholery?

– Rozgrzewam się – wyjaśnił Papa. Podniósł kij, zamachnął się ponownie i roztrzaskał Cottonowi rzepkę kolanową.

John Cotton wrzasnął i upadł na ziemię, skręcając się z bólu.

– Wariat! – krzyknął. – Na pomoc!

Ojciec Billy'ego przyklęknął obok i powiedział cicho:

– Spróbuj tylko pisnąć, a rozwalę ci drugie kolano.

Cotton gapił się na niego ze zgrozą.

– Jeśli mój syn nie zagra w następną sobotę, zabiję ciebie i twojego syna. Czy wyrażam się jasno?

Cotton spojrział w oczy napastnika i kiwnął głową, z trudem powstrzymując się, żeby nie wrzeszczeć z bólu.

– Dobrze. Och, i nie radzę o tym opowiadać. Mam przyjaciół.

Spojrzął na zegarek. Zostało mu akurat tyle czasu, żeby złapać samolot do Bostonu. Ręka znowu zaczęła go swędzieć.

O siódmej rano w niedzielę, ubrany w trzyczęściowy garnitur, niosąc kosztowną skórzaną teczkę, przeszedł przez Copley Square na Stuart Street. Kilkanaście metrów za Park Plaza

Castle wszedł do budynku Boston Trust i podszedł do strażnika. Ogromny budynek mieścił dziesiątki firm, więc strażnik nie mógł go rozpoznać.

– Dzień dobry – powiedział mężczyzna.

– Dzień dobry panu. W czym mogę pomóc?

Mężczyzna westchnął.

– Nawet sam Bóg mi nie pomoże. Oni myślą, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko harować w niedzielę, żeby nadrobić cudze zaległości.

– Rozumiem pana – powiedział strażnik współczująco. Podsunął mężczyźnie księgę obecności. – Zechce pan się wpisać?

Mężczyzna wpisał się i podszedł do wind. Biuro, którego szukał, znajdowało się na piątym piętrze. Wjechał windą na szóste, zszedł po schodach i ruszył korytarzem. Tabliczka na drzwiach głosiła: RENQUIST, RENQUIST I FITZGERALD, BIURO PRAWNE. Rozejrzał się uważnie, sprawdzając, czy korytarz jest pusty. Potem otworzył teczkę, wyjął mały łom i śrubokręt. Otwarcie drzwi zabrało mu pięć sekund. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Poczekalnia umeblowana była w staroświeckim, konserwatywnym stylu, jak przystało na jedną z czołowych bostońskich firm prawniczych. Mężczyzna stał przez chwilę nieruchomo, próbując się zorientować w rozkładzie pomieszczeń. Potem skierował się do archiwum na tyłach, gdzie przechowywano akta. W pokoju stały stalowe segregatory, oznakowane z przodu literami alfabetu. Mężczyzna spróbował otworzyć ten z literami R-S. Segregator był zamknięty.

Wyjął z teczki surowy klucz, pilnik i płaskie obciążki. Wepchnął czysty klucz do małego zamka w szufladzie segregatora, obrócił delikatnie w obie strony, po czym wyciągnął go i obejrzał czarne ślady na piórze. Przytrzymując klucz obciążkami, dokładnie spiłował czarne plamki. Znowu włożył klucz do zamka i powtórzył całą operację. Nucił cicho pod nosem. Uśmiechnął się do siebie, kiedy zorientował się, co takiego nuci. Piosenka nazywała się „Daleki brzeg”.

Zabiorę wreszcie rodzinę na wakacje, pomyślał uszczęśliwiony. Na prawdziwe wakacje. Założę się, że dzieciakom spodoba się Hawaje.

Zamek ustąpił i mężczyzna wyciągnął szufladę segregatora. Po chwili znalazł kopertę, której szukał. Wyjął z teczki mały aparat fotograficzny pentax i przystąpił do pracy. Dziesięć minut później skończył. Wyjął z teczki kilka papierowych chusteczek, podszedł do chłodziarki z wodą i zmoczył je. Wrócił do archiwum i starannie zebrał stalowe opiłki z podłogi. Zamknął segregator, wyszedł na korytarz, zamknął drzwi biura i opuścił budynek.

Rozdział piąty

Później tego samego wieczoru, na morzu, kapitan Vacarro przyszedł do kabiny Harry'ego Stanforda.

– *Signor* Stanford...

– Tak?

Kapitan wskazał na elektroniczną mapę na ścianie.

– Niestety pogoda się psuje. *Libeccio* skoncentrował się w cieśninie Bonifacio. Proponuję, żebyśmy schronili się w zatoce na czas...

– To jest dobry statek – przerwał mu Stanford – a pan jest dobrym kapitanem. Na pewno pan sobie poradzi.

Kapitan Vacarro zawahał się.

– Jak pan sobie życzy, *signor*. Zrobię, co mogę.

– Jestem tego pewien, kapitanie.

Harry Stanford siedział w gabinecie, planując strategię. Spotka się z René na Korsyce i uporządkuje wszystkie sprawy. Potem helikopter zabierze go do Neapolu, a stamtąd polecą wycarterowanym samolotem do Bostonu. Wszystko będzie dobrze, stwierdził. Potrzebuję tylko czterdziestu ośmiu godzin. Tylko czterdzieści osiem godzin.

O drugiej nad ranem zbudziło go dzikie kołysanie jachtu i przenikliwe wycie wiatru. Stanford widywał już sztormy, ale ten należał do najgorszych. Kapitan Vacarro miał rację.

Harry Stanford wstał z łóżka, przytrzymując się nocnego stolika, i podszedł do ściennej mapy. Jacht znajdował się w cieśninie Bonifacio. Za kilka godzin dopłyniemy do Ajaccio, pomyślał. Tam już będziemy bezpieczni.

Wypadki, które zaszły później tej nocy, stanowiły przedmiot domysłów. Papiery rozrzucone po tarasie sugerowały, że silny wiatr zdmuchnął część dokumentów i Harry Stanford próbował je pozbierać, ale na rozkołysanym pokładzie stracił równowagę i wypadł za burtę. Dmitrij Kaminskij zobaczył, jak szef wpada do morza, i natychmiast chwycił interkom.

– Człowiek za burtą!

Rozdział szósty

Kapitan François Durer, *chef de police* na Korsyce, był w paskudnym nastroju. Wyspa pękała w szwach od durnych turystów, którzy nie potrafili upilnować własnych paszportów, portfeli ani dzieci. Wezwania jak dzień długi napływały strumieniem do maleńkiej komendy policji na Cours Napoleon 2, obok rue Sergent Casalonga.

– Jakiś mężczyzna wyrwał mi torebkę...

– Statek odpłynął beze mnie. Moja żona jest na pokładzie...

– Kupiłem ten zegarek od przechodnia na ulicy. Nie ma nic w środku...

– Miejscowe apteki nie sprzedają pigułek, których potrzebuję...

Kłopotom nie było końca.

A teraz wyglądało na to, że kapitan ma trupa na karku.

– W tej chwili jestem zajęty – warknął.

– Ale oni czekają na dworze – poinformował go zastępca. – Co ja im powiem?

Kapitan Durer spieszył się do kochanki. W pierwszej chwili chciał już powiedzieć: „Zabierzcie ciało na jakąś inną wyspę”, ale ostatecznie był tutaj najważniejszym przedstawicielem policji.

– No dobrze – westchnął. – Przyjmę ich, tylko szybko.

Po chwili kapitan Vacarro oraz Dmitrij Kaminskij zostali wprowadzeni do gabinetu.

– Siadajcie, panowie – powiedział niezręcznie Durer.

Zajęli krzesła.

– Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Nie jestem całkiem pewien – zaczął kapitan Vacarro. – Nie widziałem, jak to się stało...

– Odwrócił się do Dmitrija. – On był naocznym świadkiem. Może potrafi to wyjaśnić.

Dmitrij głęboko zaczerpnął powietrza.

– To było okropne. Pracuję... pracowałem u tego człowieka.

– W jakim charakterze, *monsieur*?

– Ochroniarz, masażysta, szofer. Zeszłej nocy złapał nas sztorm. Pogoda była naprawdę fatalna. Poprosił mnie o masaż dla odprężenia. Potem chciał, żebym mu przyniósł pigułkę

nasenną. Były w łazience. Kiedy wróciłem, stał na werandzie, przy relingu. Rzuciło jachtem. On trzymał jakieś papiery. Wypuścił jeden z ręki, wychylił się, żeby go złapać, stracił równowagę i wypadł za burtę. Pobiegłem, żeby go ratować, ale nic już nie mogłem zrobić. Zawołałem o pomoc. Kapitan Vacarro natychmiast zatrzymał jacht i dzięki jego bohaterstwu wysiłkom znaleźliśmy szefa. Ale już było za późno. Nie żył.

– Bardzo mi przykro. – Szef policji miał to w nosie.

– Wiatr i fale przyniosły ciało z powrotem do statku – odezwał się kapitan Vacarro. – Czysty przypadek, ale teraz potrzebujemy zezwolenia, żeby zabrać ciało do kraju.

– Nie widzę problemu. – Zdaży jeszcze wypić drinka z kochanką, zanim wróci do domu, do żony. – Każę natychmiast przygotować akt zgonu i wizę wyjazdową dla ciała. – Podniósł żółty bloczek do notatek. – Nazwisko ofiary?

– Harry Stanford.

Durer nagle zamarł w bezruchu. Podniósł wzrok.

– Harry Stanford?

– Tak.

– Ten Harry Stanford?

– Tak.

I nagle przyszłość zajaśniała w radosnych barwach. Bogowie zesłali mu mannę z nieba. Harry Stanford był międzynarodową legendą! Wiadomość o jego śmierci zatrzęsie całym światem, a on był teraz panem sytuacji. Zastanowił się, w jaki sposób wyciągnąć z tego najwięcej korzyści dla siebie. Siedział i myślał, wpatrując się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

– Jak szybko możecie wydać ciało? – zapytał Vacarro.

Durer podniósł wzrok.

– Ach. Dobre pytanie. – Ile czasu minie, zanim pojawi się prasa? Czy mam poprosić kapitana jachtu, żeby wziął udział w wywiadzie? Nie. Po co dzielić się sławą? Sam sobie poradzę. – Jest mnóstwo roboty – powiedział ze smutkiem. – Trzeba przygotować odpowiednie dokumenty... – Westchnął. – To zajmie tydzień lub dłużej.

Kapitan Vacarro był zdumiony.

– Tydzień lub dłużej? Przecież pan powiedział...

– Należy dopełnić niezbędnych formalności – odparł surowo Durer. – Tych spraw nie da się przyspieszyć.

Ponownie sięgnął po żółty notatnik.

– Kto jest najbliższym krewnym?

Kapitan Vacarro wzrokiem poszukał pomocy u Dmitrija.

– Najlepiej niech pan sprawdzi u jego prawników w Bostonie.

– Nazwiska?

– Renquist, Renquist i Fitzgerald.

Rozdział siódmy

Chociaż na tabliczce na drzwiach firmy widniały trzy nazwiska: RENQUIST, RENQUIST i FITZGERALD, dwaj Renquistowie nie żyli od dawna. Natomiast Simon Fitzgerald nadal był bardzo żywy. W wieku siedemdziesięciu sześciu lat to on stanowił siłę napędową firmy. Pracowało dla niego sześćdziesięciu prawników. Fitzgerald był straszliwie chudy, z bujną grzywą białych włosów, chodził sztywnym krokiem, wyprostowany jak wojskowy. Teraz właśnie spacerował tam i z powrotem. W jego myślach panował zamęt. Zatrzymał się przed sekretarką.

– Kiedy pan Stanford dzwonił, nie podał żadnej wskazówki, dlaczego tak pilnie chce mnie zobaczyć?

– Nie, proszę pana. Powiedział tylko, żeby pan czekał na niego o dziewiątej rano w poniedziałek, z jego testamentem i z notariuszem.

– Dziękuję. Poproś pana Sloane’a.

Steve Sloane był jednym z nowoczesnych, błyskotliwych prawników w firmie. Czterdziestoletni absolwent Harvardzkiej Szkoły Prawa, wysoki, szczupły, jasnowłosy, miał zdumiewająco przenikliwe błękitne oczy i gładkie, pełne wdzięku maniery. Był specem od trudnych zadań, a Simon Fitzgerald w myślach przeznaczał go na swego następcę. Gdybym miał syna, myślał, chciałbym, żeby był taki jak Steve.

– Miałeś łowić łososie w Nowej Fundlandii – powiedział młody prawnik wchodząc do gabinetu.

– Coś wyskoczyło. Siadaj. Mamy kłopot.

– Co nowego tym razem? – westchnął Steve.

– Chodzi o Harry’ego Stanforda.

Harry Stanford należał do najbardziej prestiżowych klientów. Pół tuzina rozmaitych firm prawniczych prowadziło liczne interesy Przedsiębiorstw Stanforda, ale Renquist, Renquist i Fitzgerald kierowali jego osobistymi sprawami. Żaden pracownik firmy, z wyjątkiem Fitzgeralda, nigdy nie spotkał Stanforda osobiście, ale jego nazwisko wymawiano zawsze z

wielkim nabożeństwem.

– Co on znowu zrobił? – zapytał Steve.

– Umarł.

– Co takiego?! – Steve spojrział na niego ze zdumieniem.

– Właśnie dostałem faks od policji na Korsyce. Najwidoczniej Stanford wczoraj wypadł z jachtu i utonął.

– Mój Boże!

– Wiem, że nigdy go nie poznałeś, ale ja reprezentowałem go od ponad trzydziestu lat. To był trudny człowiek. – Fitzgerald odchylił się w krzesle, rozmyślając o przeszłości. – Właściwie istniało dwóch Harrych Stanfordów... ten publicznie znany, któremu pieniądze same szły do ręki, i sukinsyn czerpiący przyjemność z niszczenia ludzi. Był czarujący, ale potrafił też zaatakować znieścaka jak kobra. Miał rozszczepioną osobowość... wąż i zaklinacz węży w jednym ciele.

– Fascynujące.

– Minęło już trzydzieści lat... dokładnie trzydzieści jeden... odkąd zostałem współnikiem tej firmy. Wtedy sprawy Stanforda prowadził stary Renquist. Znasz to banalne wyrażenie: wielki człowiek. No, Harry Stanford naprawdę był wielki. Nie mieścił się w żadnych normach. Był gigantem. Miał zdumiewającą energię i ambicję. Był znakomitym atletą. Boksował się w college'u i świetnie grał w golfa. Ale nawet w młodości był nie do zniesienia. Jedyny człowiek, jakiego znałem, całkowicie pozbawiony współczucia. Złośliwy sadysta o instynktach szakala. Uwielbiał doprowadzać swoich przeciwników do bankructwa. Krążyły plotki, że miał na sumieniu niejedno samobójstwo.

– Mówisz o nim jak o monstrum.

– Z jednej strony tak. Z drugiej zaś założył sierociniec na Nowej Gwinei i szpital w Bombaju, przekazał miliony na dobroczynność... anonimowo. Nikt nigdy nie wiedział, czego się po nim spodziewać.

– W jaki sposób zdobył majątek?

– Jak tam z twoją grecką mitologią?

– Trochę zardzewiała.

– Znasz historię Edypa?

Steve przytaknął.

– Zabił własnego ojca, żeby zdobyć matkę.

– Właśnie. To samo zrobił Harry Stanford. Tyle tylko, że on zabił ojca, żeby zdobyć głos matki.

– Co takiego?!

Fitzgerald pochylił się do przodu.

– Na początku lat trzydziestych ojciec Harry'ego miał sklep spożywczy tutaj w Bostonie. Interes szedł tak dobrze, że senior otworzył drugi punkt i już wkrótce miał małą sieć sklepów

spożywczych. Kiedy Harry skończył college, ojciec przyjął go do firmy jako wspólnika i wprowadził do rady dyrektorów. Jak mówiłem, Harry był ambitny. Miał wielkie plany. Zamiast kupować mięso od przetwórci, chciał hodować własne bydło. Marzyło mu się, żeby sieć była właścicielem ziemi i uprawiała własne warzywa, a następnie puszkowała własne produkty. Ojciec się nie zgadzał i wciąż się kłócili.

Potem Harry wpadł na genialny pomysł. Powiedział ojcu, że firma powinna zbudować sieć supermarketów, które będą sprzedawały wszystko, od samochodów, poprzez meble, do ubezpieczeń na życie, po obniżonej cenie, i obciążać klientów opłatą członkowską. Ojciec uważał, że Harry zwariował. Odrzucił ten pomysł. Ale Harry nie zamierzał pozwolić, żeby cokolwiek stało mu na drodze. Postanowił pozbyć się starego. Namówił ojca na długie wakacje, a pod jego nieobecność zaczął urabiać radę dyrektorów.

Był błyskotliwym handlowcem i potrafił im sprzedać swój pomysł. Namówił ciotkę i wuja, którzy również zasiadali w radzie, żeby głosowali na niego. Oczarował pozostałych członków rady. Zapraszał ich na lunchy, z jednym polował na lisy, z innym grał w golfa. Przespał się z żoną członka rady, która mogła wpłynąć na męża. Ale to jego matka posiadała największy pakiet akcji i miała decydujący głos. Harry namówił ją, żeby oddała mu akcje i głosowała przeciwko własnemu mężowi.

– Niewiarygodne!

– Kiedy ojciec Harry’ego wrócił z wakacji, dowiedział się, że rodzina jednogłośnie usunęła go z firmy.

– Mój Boże!

– To nie wszystko. Harry’emu to nie wystarczyło. Kiedy ojciec próbował wejść do własnego gabinetu, przekonał się, że nie ma wstępu do budynku. I pamiętaj, że wtedy Harry dopiero przekroczył trzydziestkę. W firmie przezywali go Sopol. Ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, Steve. Samodzielnie stworzył z Przedsiębiorstw Stanforda jeden z największych prywatnych koncernów na świecie. Rozszerzył działalność firmy na drewno, chemikalia, łączność, elektronikę oraz olbrzymią masę nieruchomości. I trzymał wszystkie akcje w ręku.

– Na pewno był niezwykłym człowiekiem – stwierdził Steve.

– O tak. Fascynował mężczyzn... i kobiety.

– Czy był żonaty?

Simon Fitzgerald milczał przez długą chwilę, pogrążony we wspomnieniach. Wreszcie powiedział:

– Harry Stanford ożenił się z najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Emily Temple. Mieli troje dzieci, dwóch chłopców i dziewczynkę. Emily pochodziła z bardzo znanej rodziny z Hobe Sound na Florydzie. Uwielbiała Harry’ego i starała się przemykać oczy na jego zdrady, ale pewnego razu przebrał miarę. Mieli guwernantkę do dzieci, niejaką Rosemary Nelson. Młoda i atrakcyjną. Tym bardziej atrakcyjną w oczach Harry’ego, że nie

chciała pójść z nim do łóżka. To go doprowadzało do szału. Nie był przyzwyczajony do odmowy. Kiedy Harry Stanford włączał swój czar, żadna nie mogła się oprzeć. No i wreszcie zaciągnął Rosemary do łóżka. Zaszła z nim w ciążę i zgłosiła się do lekarza. Na nieszczęście zięć lekarza był dziennikarzem. Wywęszył całą historię i opisał ją w prasie. Wybuchł cholerny skandal. Znasz Boston. Wszystkie gazety o tym pisały. Nawet gdzieś jeszcze mam wycinki.

– Czy zdecydowała się na aborcję?

Fitzgerald potrząsnął głową.

– Nie. Harry chciał, żeby usunęła ciążę, ale odmówiła. Zrobił straszną scenę. Oświadczył, że ją kocha i chce się z nią ożenić. Oczywiście, mówił to dziesiątkom kobiet. Tylko tyle, że Emily usłyszała ich rozmowę i tej samej nocy popełniła samobójstwo.

– To okropne. Co się stało z guwernantką?

– Rosemary Nelson znikła. Wiemy, że urodziła córkę imieniem Julia w Szpitalu Świętego Józefa w Milwaukee. Wysłała wiadomość do Stanforda, ale wątpię, czy pofatygował się odpowiedzieć. Wtedy już był związany z kimś nowym. Rosemary przestała go interesować.

– Urocze...

– Prawdziwa tragedia wydarzyła się później. Dzieci słusznie obwiniały ojca o samobójstwo matki. Miały wtedy dziesięć, dwanaście i czternaście lat. Dostatecznie dorosłe, żeby odczuwać ból, ale za młode, żeby walczyć z ojcem. Nienawidziły go. Harry najbardziej bał się jednego: że pewnego dnia one potraktują go tak, jak on potraktował własnego ojca. Więc zrobił wszystko, żeby się przed tym ustrzec. Wysłał każde do innej szkoły, w lecie też nie pozwalał im się ze sobą widywać, spotykały się jak najrzadziej. Nie dostawały od niego żadnych pieniędzy. Utrzymywały się z małego funduszu pozostawionego przez matkę. Przez całe życie stosował wobec nich metodę kija i marchewki. Marchewką był jego majątek, a kijem groźba, że ich wydziedziczy.

– Co się stało z dziećmi?

– Tyler jest sędzią w sądzie okręgowym w Chicago. Woodrow nic nie robi. To playboy. Mieszka w Hobe Sound i grywa na pieniądze w golfa i w polo. Kilka lat temu poderwał w knajpie kelnerkę, zrobił jej dziecko i ku powszechnemu zdziwieniu ożenił się z nią. Kendall jest cenioną projektantką mody, wyszła za Francuza. Mieszkają w Nowym Jorku. – Wstał. – Steve, byłeś kiedyś na Korsyce?

– Nie.

– Trzymają tam ciało Harry'ego Stanforda i miejscowa policja nie chce go wydać. Chciałbym, żebyś to załatwił.

– Dobrze.

– Gdybyś mógł polecieć jeszcze dzisiaj...

– Zgoda. Zajmę się wszystkim.

– Dziękuję. Jestem ci wdzięczny.

Podczas regularnego rejsu linii Air France z Paryża na Korsykę Steve Sloane czytał książkę podróżniczą o wyspie. Dowiedział się, że jest ona w większości górzysta, z głównym miastem portowym Ajaccio, miejscem urodzenia Napoleona Bonaparte. Książka zawierała mnóstwo interesujących danych, ale zupełnie nie przygotowała Steve'a na piękno wyspy. Kiedy samolot podchodził do lądowania, daleko w dole zobaczył wysoką, białą skalną ścianę, przypominającą klify Dover. Widok zapierał dech w piersiach. Samolot wylądował na lotnisku w Ajaccio. Taksówka wiozła Steve'a po Cours Napoleon, głównej ulicy, która prowadziła od Place Général-de-Gaulle na północ do stacji kolejowej. Załatwił już samolot, który przewiezie Harry'ego Stanforda do Paryża, gdzie trumnę przetransportują na samolot do Bostonu. Potrzebował tylko zezwolenia na wywóz ciała.

Steve zatrzymał taksówkę przed budynkiem prefektury na Cours Napoleon. Wspiął się po schodach na piętro i wszedł do poczekalni. Za biurkiem siedział umundurowany sierżant.

– *Bonjour. Puis-je vous aider?*

– Kto tutaj rządzi?

– Kapitan Durer.

– Chciałbym się z nim zobaczyć.

– A w jakiego rodzaju dotyczącej sprawie? – Sierżant był dumny ze swojej angielszczyzny.

Steve wyjął urzędową wizytówkę.

– Jestem prawnikiem Harry'ego Stanforda. Przyjechałem, żeby zabrać jego ciało do Stanów.

Sierżant zachmurzył się.

– Proszę pozostać.

Zniknął w gabinecie Durera, starannie zamykając za sobą drzwi. Gabinet był zatłoczony, pełen reporterów telewizyjnych i prasowych z całego świata. Wydawało się, że wszyscy mówią jednocześnie.

– Kapitanie, dlaczego on wyszedł podczas sztormu...?

– Jak mógł wypaść z jachtu w samym środku...?

– Czy istnieje podejrzenie zamachu?

– Czy przeprowadziliście autopsję?

– Kto jeszcze był na jachcie z...?

– Proszę, panowie. – Kapitan Durer podniósł rękę. – Panowie, bardzo proszę. – Rozejrzał się po pokoju, popatrzył na reporterów chłonących każde jego słowo. Był zachwycony, całe życie marzył o takiej chwili. Jeśli rozegram wszystko odpowiednio, to oznacza wielki awans i...

Sierżant przerwał mu te rozmyślenia.

– Kapitanie... – szepnął coś Durerowi do ucha i podał mu wizytówkę Sloane'a.

Durer spojrział na nią i zmarszczył brwi.

– Nie mogę go teraz przyjąć – warknął. – Powiedz, żeby przyszedł jutro o dziesiątej rano.

– Tak jest.

Durer w zamyśleniu odprowadził sierżanta wzrokiem. Nie zamierzał pozwolić, żeby ktoś mu odebrał jego chwilę sławy. Z uśmiechem odwrócił się do reporterów.

– A więc o co panowie pytali...?

W poczekalni sierżant powiedział do Sloane'a:

– Przykro mi, ale kapitan Durer jest bardzo zajęty natychmiast. Pragnie, żeby pan ukazał się tutaj jutro rano o dziesiątej.

Steve Sloane popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Jutro rano? To śmieszne... nie chcę czekać tak długo.

Sierżant wzruszył ramionami.

– To jest dla pańskiego wyboru, *monsieur*.

Steve skrzywił się.

– No dobrze. Nie mam hotelowej rezerwacji. Może pan polecić jakiś hotel?

– *Mais oui*. Z przyjemnością poleciłbym Colomba, Avenue de Paris osiem. Steve zawahał się.

– Nie można jakoś...?

– Jutro rano o dziesiątej.

Steve odwrócił się i wyszedł z biura.

W swoim gabinecie uszczęśliwiony Durer dzielnie zmagał się z nawałą pytań. Telewizyjny reporter zapytał:

– Skąd macie pewność, że to był wypadek?

Durer spojrzał w obiektyw kamery.

– Na szczęście był naoczny świadek. Kabina *monsieur* Stanforda ma otwartą werandę. Widocznie jakieś ważne papiery wypadły mu z ręki i pofrunęły na taras, a on próbował je złapać. Kiedy wychylił się za burzę, stracił równowagę i wpadł do wody. Jego ochroniarz widział to i natychmiast zawołał o pomoc. Jacht zatrzymał się i zdążyli wyłowić ciało.

– Co wykazała autopsja?

– Korsyka to mała wyspa, panowie. Nie mamy odpowiedniego wyposażenia, żeby przeprowadzić pełną autopsję. Jednakże nasz lekarz sądowy stwierdził, że przyczyną śmierci było utonięcie. Znaleźliśmy wodę morską w płucach. Nie było żadnych siniaków ani innych śladów przemocy.

– Gdzie jest teraz ciało?

– Przechowujemy je w chłodni, dopóki nie zostanie wydane zezwolenie na wywóz zwłok.

Jeden z fotografów zapytał:

– Pozwoli pan, że zrobimy panu zdjęcie, kapitanie?

Durer zawahał się dramatycznie.

– Zgoda. Proszę, panowie, spełnijcie swoją powinność.

I flesze zaczęły błyskać.

Hotel Colomba był skromny, ale czysty i porządnym. Pokój wyglądał zadowolająco. Steve przede wszystkim skierował się do telefonu, żeby zadzwonić do Simona Fitzgeralda.

– Obawiam się, że to potrwa dłużej, niż myślałem – wyznał.

– Jakież kłopoty?

– Biurokracja. Jutro rano spotkam się z miejscowym kacykiem i wszystko załatwię. Po południu powinienem już wracać do Bostonu.

– Doskonale, Steve.

Zjadł lunch w La Fontana na rue Notre Dame i mając wolną resztę dnia, zaczął zwiedzać miasto.

Ajaccio to barwne śródziemnomorskie miasteczko, nadal czerpiące sławę z faktu, że tutaj właśnie urodził się Napoleon Bonaparte. Harry Stanford pewnie identyfikował się z tym miejscem, pomyślał Steve.

Na Korsyce trwał sezon turystyczny, ulice zatłoczone były ludźmi paplającymi po włosku, francusku, angielsku.

Wieczorem zjadł włoską kolację w Boccaccio i wrócił do hotelu.

– Są jakieś wiadomości? – optymistycznie zagadnął recepcjonistę.

– Nie, *monsieur*.

Leżał w łóżku rozmyślając o tym, co powiedział mu Simon Fitzgerald na temat Harry'ego Stanforda.

„Czy przeprowadziła aborcję?”

„Nie. Harry chciał, żeby usunęła ciążę, ale ona odmówiła. Zrobił straszną scenę. Oświadczył, że ją kocha i chce się z nią ożenić. Oczywiście mówił to dziesiątkom kobiet. Tyle tylko, że Emily usłyszała ich rozmowę i jeszcze tej samej nocy popełniła samobójstwo”.

Steve zastanawiał się, jak to zrobiła.

Nazajutrz o dziesiątej rano Sloane ponownie pojawił się w prefekturze. Za biurkiem siedział ten sam sierżant.

– Dzień dobry – powiedział Steve.

– *Bonjour, monsieur*. Czy mogę pomóc panu służyć?

Podał sierżantowi następną służbową wizytówkę.

– Mam się spotkać z kapitanem Durerem.

– Chwileczkę. – Sierżant wstał, wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Durer, wystrojony w nowy imponujący mundur, udzielał wywiadu włoskiej telewizji RAI. Właśnie patrzył w kamerę.

– Kiedy objąłem prowadzenie tej sprawy, przede wszystkim upewniłem się, że nie było żadnego zamachu na życie *monsieur* Stanforda.

– I jest pan pewien, że nie było żadnego zamachu? – zapytał dziennikarz.

– Całkowicie pewien. Nie ulega kwestii – to nieszczęśliwy wypadek.

– *Bene* – reżyser był wyraźnie zadowolony. – Przerzućmy na inny kąt i bliższe ujęcie.

Sierżant skorzystał z okazji, żeby podać kapitanowi Durerowi wizytówkę Sloane’a.

– On czeka za drzwiami.

– Co z tobą? – warknął Durer. – Nie widzisz, że jestem zajęty? Każ mu przyjść jutro. – Właśnie dostał wiadomość, że na miejsce wypadku spieszyło jeszcze tuzin reporterów, niektórzy z tak daleka, jak Rosja i Południowa Afryka. – *Demain*.

– *Oui*.

– Jest pan gotowy, kapitanie? – zapytał reżyser.

Durer uśmiechnął się.

– Jestem gotowy.

Sierżant wrócił do poczekalni.

– Przykro mi, *monsieur*. Kapitan Durer dzisiaj jest poza pracą.

– Ja też – warknął Steve. – Niech pan mu powie, żeby tylko podpisał zezwolenie na wywóz ciała pana Stanforda i zaraz wyjadę. To chyba niewielka prośba, prawda?

– Obawiam się, że tak. Kapitan ma wiele odpowiedzialności i...

– Czy ktoś inny nie może wydać zezwolenia?

– Och, nie, *monsieur*. Tylko kapitan może zrobić zezwolenie.

Steve Sloane milczał przez chwilę, gotując się wewnątrz.

– Kiedy mogę się z nim spotkać?

– Proponuję, jeśli pan spróbuje znowu jutro rano.

Słowa „spróbuje znowu” zazgrzytały w uszach Steve’a.

– Tak zrobię – oświadczył. – Jeszcze jedno, rozumiem, że był naoczny świadek wypadku... ochroniarz pana Stanforda, Dmitrij Kaminskij.

– Tak.

– Chciałbym z nim porozmawiać. Może pan mi powiedzieć, gdzie on mieszka?

– W Australii.

– Czy to hotel?

– Nie, *monsieur* – odparł sierżant z politowaniem. – To kraj.

Głos Steve’a wzniósł się o oktawę.

– Chce pan powiedzieć, że policja pozwoliła wyjechać jednemu świadkowi śmierci Stanforda, zanim go przesłuchano?

– Kapitan Durer go przesłuchał.

Steve głęboko zaczerpnął powietrza.

– Dziękuję.

– Bez problemu, *monsieur*.

Po powrocie do hotelu Steve ponownie połączył się z Simonem Fitzgeraldem.

- Chyba będę musiał tu zostać jeszcze na jeden dzień.
- Co się dzieje, Steve?
- Miejscowy szef policji jest bardzo zajęty. Trwa sezon turystyczny. Facet pewnie szuka zgubionych portfeli. Jutro powinienem stąd wyjechać.

Pomimo całej irytacji Steve uznał, że Korsyka jest zachwycająca. Linia brzegowa miała prawie tysiąc mil długości, na wyniosłych granitowych szczytach śnieg leżał aż do lipca. Wyspą rządzą Włosi, dopóki nie przejęli jej Francuzi, a mieszanina tych dwóch kultur była fascynująca.

Podczas obiadu w Creperie u San Carlu wspominał, w jaki sposób Simon Fitzgerald opisywał Harry'ego Stanforda. „Był jedynym człowiekiem, jakiego znałem, całkowicie pozbawionym współczucia... złośliwy sadysta...”

No, Harry Stanford nawet po śmierci sprawia cholernie dużo kłopotów, pomyślał Steve.

Po drodze do hotelu zatrzymał się przy kiosku z gazetami i kupił „International Herald Tribune”. Nagłówek stawiał pytanie: „CO BĘDZIE Z IMPERIUM STANFORDA?” Steve zapłacił za gazetę i kiedy już się odwracał, jego wzrok przyciągnęły nagłówki w kilku obcojęzycznych gazetach na stojaku. Przejrzał je po kolei, coraz bardziej zdumiony. Każda gazeta zamieściła na pierwszej stronie artykuł o śmierci Harry'ego Stanforda, a w każdym artykule główne miejsce zajmował kapitan Durer, którego fotografie szczyrzyły zęby ze szpalt. A więc dlatego był zajęty! Już ja mu pokażę.

Następnego ranka o dziewiątej czterdzieści pięć Steve wrócił do poczekalni kapitana Durera. Sierżanta nie było za biurkiem, a drzwi do gabinetu były uchylone. Steve pchnął je i wszedł. Kapitan wkładał nowy mundur, przygotowując się do porannej konferencji prasowej. Podniósł wzrok na wchodzącego Steve'a.

– *Qu'est-ce que vous faites ici? C'est un bureau privé! Allez-vous-en!*

– Jestem z „The New York Times” – wyjaśnił Steve Sloane.

Durer natychmiast się rozpromienił.

– Ach, proszę wejść, proszę wejść. Nazywa się pan...?

– Jones. John Jones.

– Napije się pan czegoś? Kawa? Koniak?

– Niczego, dziękuję – powiedział Steve.

– Proszę, proszę siadać. – Durer przybrał poważny ton głosu. – Oczywiście przyjechał pan z powodu tej okropnej tragedii, która wydarzyła się na naszej małej wysepce. Biedny *monsieur* Stanford.

– Kiedy zamierza pan wydać ciało? – zapytał Steve.

Durer westchnął.

– Ach, obawiam się, że dopiero za wiele, wiele dni. Jest mnóstwo formularzy do

wypełnienia w związku ze śmiercią człowieka tak ważnego, jak *monsieur* Stanford. Trzeba przestrzegać przepisów, pan rozumie.

– Chyba rozumiem – powiedział Steve.

– Może dziesięć dni. Może nawet dwa tygodnie. – Do tej pory zainteresowanie prasy osłabnie.

– Oto moja wizytówka – oznajmił Steve. Podał Durerowi kartę wizytową.

Kapitan zerknął na nią, potem przyjrzał się uważniej.

– Pan jest prawnikiem. Pan nie jest reporterem?

– Nie. Jestem prawnikiem Harry’ego Stanforda. – Steve Sloane wstał. – Chcę dostać pańskie zezwolenie na wydanie ciała.

– Ach, żałuję, że nie mogę panu pomóc – powiedział ze smutkiem Durer. – Niestety mam związane ręce. Nie rozumiem, jak...

– Jutro.

– To niemożliwe! W żaden sposób...

– Proponuję, żeby porozumiał się pan z pańskimi przełożonymi w Paryżu. Stanford Enterprises ma kilka bardzo dużych fabryk we Francji. Szkoda by było, gdyby nasza rada dyrektorów postanowiła zamknąć je wszystkie i zbudować nowe w innych krajach.

Durer wytrzeszczył na niego oczy.

– Ja... ja nie decyduję o takich sprawach, *monsieur*.

– Ale ja decyduję – uciał Steve. – Dopilnuje pan, żeby jutro wydano mi ciało pana Stanforda, albo wpadnie pan w takie kłopoty, jakich nawet nie potrafi pan sobie wyobrazić.

Steve odwrócił się do wyjścia.

– Proszę zaczekać! *Monsieur!* Może za kilka dni, spróbuję...

– Jutro. – I Steve wyszedł.

Trzy godziny później Steve Sloane odebrał telefon w hotelu.

– *Monsieur* Sloane? Ach, mam dla pana wspaniałe nowiny! Udało mi się załatwić, żeby natychmiast wydano panu ciało pana Stanforda. Mam nadzieję, że docenia pan kłopoty...

– Dziękuję. Prywatny samolot zabierze nas stąd jutro rano o ósmej. Zakładam, że wszelkie niezbędne dokumenty będą przygotowane do tej pory.

– Tak, oczywiście. Proszę się nie martwić. Dopilnuję tego...

– Doskonale. – Steve odłożył słuchawkę.

Kapitan Durer długo siedział w milczeniu, przeżuując ponure myśli. *Merde!* Co za pech! Mogłem być sensacją co najmniej jeszcze przez tydzień!

Gdy samolot wiozący zwłoki Harry’ego Stanforda wylądował na międzynarodowym lotnisku Logana w Bostonie, karawan już czekał. Uroczystości pogrzebowe miały się odbyć za trzy dni.

Steve Sloane zgłosił się do Simona Fitzgeralda.

– Więc stary wreszcie wrócił do domu – stwierdził Fitzgerald. – Będzie wielki zjazd.

– Zjazd?

– Tak. Zapowiada się interesująco – mruknął prawnik. – Dzieci Harry’ego Stanforda przyjadą, żeby uczcić śmierć ojca. Tyler, Woody i Kendall.

Rozdział ósmy

Sędzia Tyler Stanford po raz pierwszy zobaczył tę wiadomość w dzienniku chicagowskiej stacji WBBM. Siedział wpatrując się w telewizor jak zahipnotyzowany, serce mu waliło. Pojawiło się zdjęcie jachtu „Blue Skies”. Telewizyjny komentator mówił:

– ...podczas sztormu na korsykańskich wodach, gdzie wydarzyła się tragedia. Dmitrij Kaminskij, ochroniarz Harry’ego Stanforda, był świadkiem wypadku, ale nie mógł uratować swego pracodawcy. Harry Stanford znany był w kręgach finansowych jako jeden z najsprytniejszych...

Tyler siedział bez ruchu, patrzył na migające obrazki i wspominał, wspominał...

Podniesione głosy obudziły go w środku nocy. Miał czternaście lat. Przez chwilę słuchał gniewnych okrzyków, potem przemknął przez hol na piętrze i podkraść się do schodów. Na dole, w westybulu, kłócili się jego rodzice. Matka krzyczała, ojciec uderzył ją w twarz.

Obraz na ekranie telewizora zmienił się. Scena nakręcona w Gabinetie Ovalnym w Białym Domu pokazywała, jak Harry Stanford ściska dłoń prezydenta Ronalda Reagana.

– ...jeden z kamieni węgielnych nowej polityki finansowej prezydenta, Harry Stanford, był ważnym doradcą...

Grali w piłkę nożną za domem i jego brat Woody posłał piłkę w stronę domu. Tyler pobiegł za nią i kiedy ją złapał, usłyszał głos ojca zza żywopłotu:

– Przecież cię kocham. Wiesz o tym!

Zatrzymał się, zdumiony, że rodzice się nie kłócą, a potem usłyszał głos guwernantki Rosemary:

– Jesteś żonaty. Zostaw mnie w spokoju.

I nagle poczuł mdłości. Kochał swoją matkę i kochał Rosemary. Ojciec był groźnym nieznajomym.

Na ekranie przelatywały kolejne zdjęcia Harry'ego Stanforda, pozującego z Margaret Thatcher... prezydentem Mitterrandem... Michaiłem Gorbaczowem... Spiker mówił:

– Legendarny magnat czuł się równie swobodnie z robotnikami i przywódcami świata.

Mijał drzwi do gabinetu ojca, kiedy usłyszał głos Rosemary:

– Wyjeżdżam.

A potem głos ojca:

– Nie pozwolę ci wyjechać. Bądźże rozsądna, Rosemary! Tylko w ten sposób ty i ja możemy...

– Nie chcę cię słuchać. I zatrzymam dziecko!

Potem Rosemary znikła.

Scena na ekranie telewizora znowu się zmieniła. Pokazywano stare ujęcia rodziny Stanfordinów przed frontem kościoła, patrzącej, jak trumnę ładowano na karawan. Komentator mówił:

– ...Harry Stanford i jego dzieci obok trumny... Samobójstwo pani Stanford przypisywano jej słabemu zdrowiu. Zdaniem policji Harry Stanford...

Obudził się w środku nocy, potrząsany przez ojca.

– Wstawaj, synu. Mam dla ciebie złe wiadomości.

Czternastoletni chłopiec zaczął dygotać.

– Twoja matka miała wypadek, Tyler.

To było kłamstwo. Ojciec zabił matkę. Popelniła samobójstwo z powodu ojca i jego romansu z Rosemary.

Gazety rozdmuchały tę historię. Skandal wstrząsnął Bostonem, a prasa w pełni wykorzystwała tę sposobność. Nie dało się utrzymać dzieci Stanforda w nieświadomości. Szkolni koledzy zamienili ich życie w piekło. W ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin troje dzieci straciło dwie osoby, które najbardziej kochały. A winowajcą był ich ojciec.

– Nie obchodzi mnie, że jest naszym ojcem – szlochała Kendall. – Nienawidzę go.

– Ja też!

– Ja też!

Myśleli o ucieczce, ale nie mieli dokąd pójść. Postanowili się zbuntować.

Tyler został wydelegowany na rozmowę z ojcem.

– Chcemy mieć innego ojca. Nie chcemy ciebie.

Harry Stanford spojrział na niego i powiedział chłodno:

– Chyba da się to załatwić.

Trzy tygodnie później rozesłano ich do trzech różnych szkół.

W następnych latach dzieci bardzo rzadko widywały ojca. Czytały o nim w gazetach albo

oglądały go w telewizji, towarzyszącego pięknym kobietom lub gawędzącego ze znanymi osobistościami, ale spotykały się z nim wyłącznie przy tak zwanych „okazjach” – na gwiazdkę lub inne święta, żeby zrobić zdjęcia i pokazać światu, jakim jest oddanym ojcem. Potem dzieci odsyłano z powrotem do szkół, aż do następnej „okazji”.

Tyler jak urzeczony wpatrywał się w migotliwy ekran. Pokazywano właśnie montaż fabryk rozlokowanych w różnych częściach świata, na przemian ze zdjęciami ojca.

– ...jeden z największych prywatnych koncernów na świecie. Harry Stanford, który go stworzył, był legendą... Pytanie nurtujące ekspertów z Wall Street brzmi: Co się stanie z rodzinnym przedsiębiorstwem teraz, kiedy założyciel zginął? Harry Stanford pozostawił trójkę dzieci, nie wiadomo jednak, kto odziedziczy jego multimiliardową fortunę i kto będzie zarządzał korporacją...

Miał sześć lat. Uwielbiał buszować po wielkim domu, zwiedzać fascynujące pomieszczenia. Jedyne miejsce, do którego nie miał wstępu, był gabinet ojca. Tyler zdawał sobie sprawę, że tam odbywały się ważne spotkania. Mężczyźni o imponującym wyglądem, ubrani w ciemne garnitury, wchodzili i wychodzili bez ustanku. Gabinet stanowił dla Tylera nieodpartą pokusę przez sam fakt, że był zakazany.

Pewnego dnia, pod nieobecność ojca, Tyler zdecydował się wejść do gabinetu. Ogromny pokój przytłaczał go. Z łękiem spoglądał na wielkie biurko i potężny skórzany fotel, w którym siadywał jego ojciec. Pewnego dnia ja usiądę w tym fotelu i będę tak samo ważny jak ojciec. Zbliżył się do biurka i obejrzał je dokładniej. Na blacie leżały dziesiątki oficjalnie wyglądających dokumentów. Obszedł biurko i usiadł w fotelu. Doznał cudownego uczucia. Teraz ja też jestem ważny!

– Co ty wyprawiasz, do diabła?

Zaskoczony Tyler gwałtownie podniósł wzrok. W drzwiach stał jego ojciec, kipiący wściekłością.

– Kto ci pozwolił usiąść za moim biurkiem?

Chłopiec zadrżał ze strachu.

– Ja... ja tylko chciałem zobaczyć, jak to jest...

Ojciec podszedł do niego z groźną miną.

– Nigdy się nie dowiesz, jak to jest! Nigdy! A teraz wynoś się stąd i nie wracaj!

Tyler z płaczem pobiegł na górę. Matka przysłała do jego pokoju. Objęła go i przytuliła.

– Nie płacz, skarbie. Wszystko będzie dobrze.

– Nie... nie będzie dobrze – załkał. – On... on mnie nienawidzi!

– Nie. To nieprawda.

– Ja tylko usiadłem w jego fotelu.

– To jest jego fotel, skarbie. On nie chce, żeby ktoś inny go używał.

Tyler nie mógł przestać płakać. Matka przytuliła go mocniej i powiedziała:

– Tyler, kiedy pobraliśmy się z twoim ojcem, powiedział, że chce, żebym była udziałowcem jego firmy. Dał mi jedną akcję. To był taki rodzinny żart. Oddam ci tę akcję. Złożę ją w depozycie dla ciebie. Więc teraz ty też jesteś udziałowcem firmy. Zgoda?

Stanford Enterprises wypuściły sto akcji, a Tyler był teraz dumnym właścicielem jednej z nich.

Kiedy Harry Stanford dowiedział się, co zrobiła jego żona, zaczął szydzić:

– I co on zrobi z tą jedną akcją? Przejmie firmę?

Tyler wyłączył telewizor i siedział bez ruchu, przetrawiając nowinę. Poczł głęboką satysfakcję. Tradycyjnie synowie pragnęli osiągnąć sukces, żeby sprawić przyjemność ojcom. Tyler Stanford chciał osiągnąć sukces, żeby zniszczyć swojego ojca.

W dzieciństwie często mu się śniło, że jego ojciec został oskarżony o zamordowanie matki i właśnie on miał wydać wyrok. „Skazuję cię na śmierć na krześle elektrycznym!” Czasami sen się zmieniał i Tyler skazywał ojca na śmierć przez powieszenie, rozstrzelanie lub otrucie. Sny były tak realistyczne, że czasami nie potrafił odróżnić ich od jawy.

Szkoła wojskowa, do której go wysłano, znajdowała się w Missisipi. To były cztery lata absolutnego piekła. Tyler nienawidził sztywnego rygoru i dyscypliny. W pierwszym roku szkoły na serio rozważał popełnienie samobójstwa. Powstrzymało go jedynie mocne postanowienie, że nie sprawi ojcu tej satysfakcji. Zabił moją matkę. Mnie nie zabije.

Tyler miał wrażenie, że instruktorzy traktowali go wyjątkowo ostro. Wiedział, że zawdzięcza to ojcu. Nie pozwolił, żeby szkoła go złamała. Chociaż musiał jeździć do domu na wakacje, jego spotkania z ojcem stawały się coraz bardziej przykre.

Brat i siostra również przyjeżdżali do domu na wakacje, ale poczucie pokrewieństwa znikło. Ojciec zniszczył więzi łączące rodzeństwo. Stali się sobie obcy, czekali tylko na koniec wakacji, żeby uciec z domu.

Tyler wiedział, że jego ojciec jest multimiliarderem, ale niewielkie dochody Tylera, Woody’ego i Kendall pochodziły ze spadku po matce. Dorastając, Tyler zastanawiał się, czy przysługują mu jakieś prawa do rodzinnej fortuny. Miał pewność, że on i jego rodzeństwo zostali oszukani. Potrzebują prawnika. Oczywiście to było wykluczone, ale przyszła następna myśl: Sam zostanę prawnikiem.

Ojciec skomentował jego plany w następujący sposób:

– Więc chcesz zostać prawnikiem, hę? Pewnie myślisz, że dam ci pracę w Stanford Enterprises. Wybij to sobie z głowy. Nie dopuszczę cię na milę do firmy!

Po ukończeniu uniwersytetu Tyler mógł praktykować w Bostonie. Ze względu na nazwisko dziesiątki firm chętnie przyjęłyby go do swoich rad nadzorczych, on jednak wolał

wyjechać jak najdalej od ojca.

Postanowił rozpocząć praktykę w Chicago. Na początku było mu trudno. Nie chciał wykorzystywać nazwiska, a więc klienci trafiali się rzadko. Chicagowskim światem politycznym rządziła Maszyna. Tyler bardzo szybko zorientował się, że dla młodego prawnika korzystnie będzie związać się z potężnym centrowym Stowarzyszeniem Prawników Okręgu Cook. Dostał posadę w biurze prokuratora okręgowego. Miał bystry umysł i szybko się uczył, wkrótce więc stał się dla nich bezcenny. Prowadził procesy osób oskarżonych o wszelkie możliwe przestępstwa, a jego rejestr skazanych był fenomenalny.

Szybko wspinał się po szczeblach kariery, aż w końcu pewnego dnia otrzymał nagrodę. Wybrano go na sędziego okręgowego. Myślał, że ojciec wreszcie będzie z niego dumny. Mylił się.

– Ty? Sędzia okręgowy? Na litość boską, nie pozwoliłbym ci sędziować w konkursie ciasteczek!

Sędzia Tyler Stanford był niskim mężczyzną z lekką nadwagą, miał bystre, wyrachowane spojrzenie i zacięte usta. Nie odziedziczył po ojcu ani odrobiny charyzmy i uroku. Najbardziej charakterystyczną jego cechą był głęboki, donośny głos, idealny do ogłaszania wyroków.

Był skrytym człowiekiem, który zachowywał swoje myśli dla siebie. Miał czterdzieści lat, ale wydawał się dużo starszy. Chełpił się brakiem poczucia humoru. Życie uważał za zbyt poważne na podskoki. Jedynym jego hobby były szachy; raz na tydzień grywał w miejscowym klubie, gdzie nieodmiennie wygrywał.

Był też błyskotliwym jurystą, wysoko cenionym przez kolegów sędziów, którzy często zasięgali u niego rady. Bardzo niewiele osób wiedziało, że pochodził z „tych” Stanfordów. Nigdy nie chwalił się ojcem.

Kancelarie sędziowskie znajdowały się w budynku Sądu Kryminalnego Okręgu Cook na rogu Dwudziestej Szóstej Ulicy i Kalifornii – kamiennym trzynastopiętrowym gmachu ze schodkami prowadzącymi do frontowego wejścia. Była to niebezpieczna okolica i napis przy wejściu głosił: **Z POLECENIA SĄDU WSZYSTKIE OSOBY WCHODZĄCE DO TEGO BUDYNKU PODLEGAJĄ REWIZJI.**

Tam właśnie Tyler spędzał całe dni, wysłuchując oskarżeń o rabunek, włamanie, gwałt, narkotyki, użycie broni i morderstwo. Bezlitosny w swoich decyzjach, zyskał przydomek Sędziego Szubienicy. Codziennie wysłuchiwał obrońców, którzy powoływali się na okoliczności łagodzące: ubóstwo, trudne dzieciństwo, rozbite rodziny i setki innych wymówek. Nie uwzględniał żadnej. Zbrodnia to zbrodnia i musi zostać ukarana. I zawsze towarzyszył mu cień ojca.

Koledzy sędziowie wiedzieli bardzo niewiele o prywatnym życiu Tylera Stanforda. Tyle tylko, że rozpadło mu się małżeństwo, że mieszkał samotnie w małym georgiańskim domu z

trzema sypialniami na Kimbark Avenue w dzielnicy Hyde Park. Wznosiły się tam piękne stare domy, ponieważ wielki pożar z 1871 roku, który zrównał z ziemią Chicago, kapryśnie oszczędził tę okolicę. Tyler nie miał przyjaciół w sąsiedztwie, mieszkańcy okolicznych rezydencji nic o nim nie wiedzieli. Przychodziła do niego gospoia trzy razy w tygodniu, ale zakupy robił sam. Był człowiekiem metodycznym i przestrzegającym ustalonej rutyny. W soboty jeździł do Harper Court, niewielkiego centrum handlowego w pobliżu domu, albo do delikatesów Mr. G's Fine Food lub Medici's na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy.

Od czasu do czasu na oficjalnych zebraniach Tyler spotykał żony kolegów prawników. Wyczuwały, że jest samotny, proponowały więc, że przedstawią mu przyjaciółki albo zaproszą go na obiad. Zawsze odmawiał.

– Dzisiaj wieczorem jestem zajęty.

Wydawał się wiecznie zajęty, ale nikt nie wiedział, co on właściwie robi wieczorami.

– Tylera nie interesuje nic oprócz prawa – wyjaśnił jeden z sędziów swojej żonie. – On już nie chce spotykać się z kobietami. Słyszałem, że jego małżeństwo było okropne.

Miał rację.

Po rozwodzie Tyler przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie zaangażuje się emocjonalnie. A potem poznał Lee i nagle wszystko się zmieniło. Lee, uosobienie piękna, czułości i wrażliwości – z taką osobą Tyler chciał spędzić resztę życia. Tyler kochał Lee, ale czy Lee odwzajemnia to uczucie? Tyler wiedział, że Lee pozując do zdjęć zdobywa dziesiątki wielbicieli, w większości bogatych. I że lubi kosztowne rzeczy.

Tyler wyczuwał, że nie ma szans. Nie mógł współzawodniczyć z innymi o uczucia Lee. Lecz z dnia na dzień, dzięki śmierci ojca, wszystko się zmieniło. Mógł zdobyć fortunę przewyższającą najśmielsze marzenia.

Mógł podarować Lee cały świat.

Tyler wszedł do kancelarii głównego sędziego.

– Keith, niestety muszę wyjechać do Bostonu na kilka dni. Sprawy rodzinne. Czy możesz znaleźć zastępcę, który przejmie moje sprawy?

– Oczywiście. Załatwię to – obiecał główny sędzia.

– Dziękuję.

Tego samego popołudnia sędzia Tyler Stanford leciał do Bostonu. W samolocie znowu rozmyślał o słowach ojca, wypowiedzianych tego okropnego dnia: „Znam twój brudny mały sekrecik”.

Rozdział dziewiąty

W Paryżu padało; przechodnie uciekali przed ciepłym lipcowym deszczem, biegli ulicami szukając schronienia lub nieuchwytnych taksówek. W wielkim szarym budynku na rogu rue Faubourg St.-Honoré panował nastrój paniki. Kilka półnagich modelek ogarniętych masową histerią biegało w kółko, podczas gdy porządkowi kończyli ustawiać krzesła, a stolarze przybijali ostatnie fragmenty stolarki. Wszyscy krzyczeli i gwałtownie gestykulowali, poziom hałasu przekraczał dopuszczalną normę.

W samym oku cyklonu, próbując wyprowadzić porządek z chaosu, tkwiła *maîtresse* we własnej osobie. Kendall Stanford Renaud. Cztery godziny przed planowanym rozpoczęciem pokazu wszystko zaczęło się walić.

Katastrofa: John Fairchild z „W” niespodziewanie przyjechał do Paryża i nie było dla niego miejsca.

Tragedia: System nagłaśniający nie działał.

Kłęska: Lili, jedna z najlepszych modelek, zachorowała.

Nagły wypadek: Dwaj artyści od makijażu kłócili się za sceną i byli już znacznie spóźnieni.

Nieszczęście: Wszystkie szwy w obcisłych kopertowych spódnicach puściły.

Innymi słowy, pomyślała kwaśno Kendall, wszystko idzie normalnie.

Kendall Stanford Renaud sama mogła uchodzić za modelkę i dawniej rzeczywiście nią była. Od czubka złocistego koka po koniuszki wieczorowych pantofelków firmy Chanel, wszystko w niej tchnęło nieskazitelną elegancją. Każdy szczegół – łuk ramienia, odcień lakieru do paznokci, tembr śmiechu – mówił o szyku i dobrych manierach. Jej twarz pozbawiona starannego makijażu była dość pospolita, ale Kendall dokładała wszelkich wysiłków, żeby nikt nigdy tego nie zauważył – i nikt tego nie zauważył.

Była wszędzie jednocześnie.

– Kto oświetlił ten wybieg, Ray Charles?

– Chcę mieć błękitne tło...

– Podszewka wystaje. Popraw to!

– Nie chcę, żeby modelki czesały się i malowały w magazynie. Niech Lulu znajdzie dla nich garderobę!

Kierownik organizacyjny podbiegł do Kendall.

– Trzydzieści minut to za długo! Za długo! Pokaz powinien trwać najwyżej dwadzieścia pięć...

Zatrzymała się w pół kroku.

– Co proponujesz, Scott?

– Możemy wyrzucić kilka modeli i...

– Nie. Każę modelkom ruszać się szybciej.

Znowu ktoś ją zawołał, więc odwróciła się.

– Pia gdzieś się zawieruszyła. Chcesz, żeby Tami wzięła ten czarno-szary żakiet ze spodniami?

– Nie. Dajcie to Danie. Tami weźmie koci kostium i tunikę.

– Co z ciemnoszarym dżersejem?

– Monique. I dopilnujcie, żeby nałożyła ciemnoszare pończochy.

Kendall spojrzała na tablicę z polaroidowymi zdjęciami modelek w różnych strojach. Kiedy kolejność zostanie ustalona, zdjęcia będą ułożone w określonym porządku. Przebiegła po tablicy wywieszonym okiem.

– Zmienimy to. Najpierw wyjdzie beżowy kardigan, potem kombinacje, później jedwabny dżersej bez ramiączek, następnie taftowa suknia wieczorowa, popołudniowe sukienki z dobranymi żakietami...

Podbiegli do niej dwaj asystenci.

– Kendall, nie możemy się zgodzić co do miejsc. Chcesz posadzić detalistów razem czy przemieszać ich z osobistościami?

– Możemy przemieszać osobistości z prasą – zaproponował drugi asystent.

Kendall prawie nie słuchała. Nie spała od dwóch nocy, sprawdzając wszystko na wypadek jakiegoś zaniedbania.

– Zdecydujcie sami – powiedziała.

Objęła wzrokiem gorączkową bieganinę i pomyślała o pokazie, który wkrótce się rozpocznie, o słynnych nazwiskach z całego świata, które będą oklaskiwać jej kreacje. Powinnam podziękować ojcu za to wszystko. Powiedział, że nigdy nie odniosę sukcesu...

Zawsze chciała zostać projektantką mody. Już jako mała dziewczynka miała wrodzone wyczucie stylu. Jej lalki nosiły najmodniejsze stroje w mieście. Każdą najnowszą kreację prezentowała matce. Matka ścisła ją i mówiła:

– Jesteś bardzo zdolna, kochanie. Kiedyś zostaniesz słynną kreatorką.

Kendall była tego pewna.

W szkole studiowała grafikę użytkową, rysunek techniczny, koncepcje przestrzenne i

koordynację kolorystyczną.

– Najlepiej zacznij od tego – poradziła jej jedna z nauczycielek – że sama zostaniesz modelką. W ten sposób poznasz wszystkich ważnych w branży i jeśli będziesz miała oczy otwarte, sporo się od nich nauczysz.

Kiedy Kendall wspomniała ojcu o swoich marzeniach, zmierzył ją wzrokiem i prychnął pogardliwie:

– Ty? Modelka? Chyba żartujesz!

Po ukończeniu szkoły Kendall wróciła do Rose Hill. Ojciec potrzebuje mnie do prowadzenia domu, myślała. Służących było kilkunastu, ale nikt nie kierował całością. Ponieważ Harry Stanford spędzał wiele czasu poza domem, służba była zdana na siebie. Kendall próbowała zorganizować gospodarstwo. Sporządziła harmonogram prac domowych, służyła jako hostessa na ojcowskich przyjęciach i robiła wszystko, żeby zapewnić mu wygody. Pragnęła, by ją pochwalił. Zamiast tego spadła na nią lawina krytycznych uwag.

– Kto przyjął tego cholernego kucharza? Zwolnić...

– Nie podoba mi się ta nowa zastawa. Po diabła ją kupiłaś? Gdzie twój gust...?

– Kto ci pozwolił przemeblować moją sypialnię? Nie wchodź tam więcej...!

Nieważne, co Kendall zrobiła, nigdy nie uzyskała aprobaty. W końcu despotyczne okrucieństwo ojca wypędziło ją z domu, w którym nigdy nie było miłości. Ojciec nie zwracał uwagi na dzieci, chyba że chciał pokazać swoją władzę. Pewnego wieczoru Kendall podsłuchiwała, jak jej ojciec mówi do gościa: „Moja córka ma twarz konia. Będzie potrzebowała mnóstwo pieniędzy, żeby złapać jakiegoś nieszczęsnego frajera”.

To była ostatnia kropla. Następnego dnia Kendall wyjechała z Bostonu do Nowego Jorku.

Samotna w hotelowym pokoju, myślała: No dobrze, jestem w Nowym Jorku. Jak mogę zostać projektantką? Jak mam się dostać do świata mody? Jak mam zwrócić na siebie uwagę? Przypomniała sobie radę nauczycielki. Zaczęń jako modelka. To najlepszy sposób.

Następnego ranka Kendall przejrzała żółte kartki w książce telefonicznej, sporządziła listę agencji modelek i rozpoczęła obchód. Muszę postępować uczciwie, myślała. Powiem im, że chcę zostać modelką tylko przejściowo, dopóki nie zacznę projektować.

Weszła do biura pierwszej agencji na liście. Kobieta w średnim wieku siedząca za biurkiem zapytała:

– Czym mogę służyć?

– Chcę zostać modelką.

– Ja też, kotku. Nic z tego.

– Co?

– Jesteś za wysoka.

Kendall zacisnęła szczękę.

- Chcę rozmawiać z kierownikiem.
 - To właśnie ja. Jestem właścicielką tej nory.
- Kilka następnych prób nie wypadło lepiej.
- Jesteś za niska.
 - Za chuda.
 - Za gruba.
 - Za młoda.
 - Za stara.
 - W nieodpowiednim typie.

Pod koniec tygodnia Kendall wpadła w rozpacz. Na jej liście została jeszcze jedna agencja. Paramount Models, najlepsza na Manhattanie. Za biurkiem recepcjonistki nikt nie siedział. Zza uchylonych drzwi dochodził głos:

– Będzie do dyspozycji w następny poniedziałek. Ale możecie ją dostać tylko na jeden dzień. Ma dokładnie wypełniony rozkład na następne trzy tygodnie.

Kendall podeszła do drzwi i zajrzała do środka. Kobieta w klasycznie skrojonym kostiumie rozmawiała przez telefon.

– Dobrze. Zobaczą, co się da zrobić. – Roxanne Marinack odłożyła słuchawkę i podniosła wzrok. – Przykro mi, nie szukamy nikogo w pani typie.

Kendall powiedziała z rozpaczą:

– Mogę być w każdym typie, jakiego potrzebujecie. Mogę być wyższa albo niższa. Mogę być starsza albo młodsza, chudsza albo...

Roxanne uniosła dłoń.

– Wystarczy.

– Chcę tylko dostać szansę. Błagam...

Roxanne zawahała się. Dziewczyna wykazywała wzruszający zapał, no i miała świetną figurę. Nie była piękna, ale z odpowiednim makijażem, kto wie...

– Masz jakieś doświadczenie?

– Tak. Przez całe życie nosiłam ubrania.

Roxanne roześmiała się.

– No dobrze. Obejrzymy twoją kolekcję.

Kendall popatrzyła na nią pustym wzrokiem.

– Moją kolekcję?

Roxanne westchnęła.

– Moja droga, żadna szanująca się modelka nie rusza się na krok bez kolekcji zdjęć. To twoja biblia. Pokazujesz ją potencjalnym klientom. – Roxanne znowu westchnęła. – Zrób sobie dwa zdjęcia twarzy... jedno poważne i jedno uśmiechnięte. Obróć się.

Kendall zaczęła się odwracać.

– Powoli. – Roxanne przyjrzała się dziewczynie. – Nieźle. Chcę zobaczyć twoje zdjęcie w

kostiumie kąpielowym albo w bieliźnie, w czym najlepiej się prezentujesz.

– Zrobię w jednym i drugim – zapewniła gorliwie Kendall.

Roxanne musiała się uśmiechnąć na te naiwne słowa.

– No dobrze. Jesteś... hm... trochę inna, ale możesz zrobić zdjęcia.

– Dziękuję.

– Nie dziękuj mi tak szybko. Pozowanie dla magazynów mody nie jest takie proste, jak się wydaje. To ciężki zawód.

– Jestem na to przygotowana.

– Zobaczymy. Zaryzykuję i wyślę cię na kilka przeglądów.

– Słucham?

– Przeglądy urządza się po to, żeby klienci mogli obejrzeć nowe modelki. Będą tam również modelki z innych agencji. To trochę przypomina spęd bydła.

– Poradzę sobie.

Taki był początek. Kendall wystąpiła na kilkunastu przeglądach, zanim pewien projektant wybrał ją, żeby prezentowała jego stroje. Była tak spięta, że o mało nie zmarnowała okazji, mówiąc za dużo.

– Naprawdę uwielbiam pana sukienki i myślę, że będą dobrze na mnie wyglądały. To znaczy, oczywiście, wyglądałyby dobrze na każdej kobiecie. Są cudowne! Ale myślę, że na mnie będą wyglądały wyjątkowo dobrze. – Jąkała się ze zdenerwowania.

Projektant współczująco pokiwał głową.

– To pani pierwsza praca, tak?

– Tak, proszę pana.

Uśmiechnął się.

– No dobrze. Wypróbuję panią. Jak pani się nazywa?

– Kendall Stanford. – Zastanawiała się, czy projektant skojarzy jej nazwisko z „tymi” Stanfordami, ale oczywiście niczego nie skojarzył.

Roxanne miała rację. Praca modelki to był ciężki zawód. Kendall musiała nauczyć się znosić nieustanne odrzucanie, przeglądy, które do niczego nie prowadziły, tygodnie bez zleceń. Kiedy pracowała, musiała nakładać makijaż o szóstej rano, po zakończeniu zdjęć pędziła na następną sesję i często kończyła dopiero po północy.

Pewnego wieczora, po długim dniu zdjęciowym z pół tuzinem innych modelek, Kendall spojrzała w lustro i jęknęła.

– Nie będę mogła jutro pracować! Patrzcie, jakie mam zapuchnięte oczy!

Jedna z koleżanek powiedziała:

– Połóż na oczy plasterki ogórka. Albo wrzuć torebki z rumiankową herbatą do wrzątku, zaczekaj, aż wystygną, i połóż na powieki na piętnaście minut.

Do rana opuchlizna zeszła.

Kendall zazdrościła modelkom, na które był nieustanny popyt. Słyszała, jak Roxanne ustala ich rozkład zajęć:

– Dałam już Scaasiemu zastępstwo za Michelle. Zadzwoń do nich i powiedz, że ona będzie do dyspozycji, więc przesuвам ich na pierwsze miejsce listy...

Kendall szybko nauczyła się nigdy nie krytykować strojów, w których pozowała. Poznała kilku najlepszych fotografów w branży i zamówiła serwis fotograficzny do swojej kolekcji. Nosiła torbę wypełnioną niezbędnymi dla modelki rzeczami – ubrania, biżuteria, kosmetyki i zestaw do manikiuru. Nauczyła się suszyć roztrzepane włosy suszarką, żeby wydawały się gęstsze, i zakręcać je na podgrzewane lokówki.

Musiała nauczyć się dużo więcej. Stała się ulubienicą fotografów i jeden z nich odciągnął ją na bok, żeby udzielić jej rady.

– Kendall, zawsze zachowuj uśmiechnięte zdjęcia na koniec sesji. W ten sposób wargi mniej ci się pomarszczą.

Stawała się coraz bardziej popularna. Pozbawiona konwencjonalnej, zwalającej z nóg urody, typowej dla większości modelek, miała jednak coś innego: pełną wdzięku elegancję.

– Ona ma klasę – orzekł jeden z agentów reklamowych.

Trafnie ją podsumował.

Była również samotna. Od czasu do czasu umawiała się na randki – krótkie spotkania bez znaczenia. Pracowała bez przerwy, ale czuła, że nie zbliżyła się do celu bardziej niż wtedy, kiedy po raz pierwszy znalazła się w Nowym Jorku. Muszę znaleźć sposób, żeby nawiązać kontakt z czołowymi projektantami, pomyślała.

– Mam dla ciebie rezerwacje na następne cztery tygodnie – powiedziała Roxanne. – Wszyscy cię kochają.

– Roxanne...

– Tak, Kendall?

– Nie chcę już tego robić.

Roxanne popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Co?

– Chcę występować na pokazach.

Pokazy mody stanowiły szczyt aspiracji większości modelek. Była to praca najbardziej lukratywna i najbardziej podniecająca. Roxanne miała wątpliwości.

– Bardzo trudno się przebić, to prawie niemożliwe i...

– Poradzę sobie.

Roxanne przyjrzała się jej uważnie.

– Naprawdę chcesz to zrobić, tak?

– Tak.

Roxanne kiwnęła głową.

– W porządku. Jeżeli mówisz poważnie, to przede wszystkim musisz się nauczyć chodzić

po belce.

– Co?

Roxanne wyjaśniła.

Tego samego popołudnia Kendall kupiła wąską sześciostopową belkę, wygładziła ją papierem ściernym, żeby usunąć drzazgi, i położyła na podłodze. Za pierwszym, drugim i trzecim razem, kiedy próbowała po niej przejść, spadła. To nie będzie łatwe, doszła do wniosku. Ale poradzę sobie.

Codziennie wstawiała wcześniej i ćwiczyła chodzenie po belce na palcach. Miednica do przodu. Palce stóp miękko. Opuścić pięty. Dzień po dniu poprawiało się jej wycucie równowagi.

Spacerowała tam i z powrotem przed wielkim lustrem, przy muzyce. Nauczyła się chodzić z książką na głowie. Ćwiczyła szybkie przebieranie się z szortów i tenisówek w suknię wieczorową i pantofelki na wysokich obcasach.

Kiedy Kendall poczuła, że jest już gotowa, wróciła do Roxanne.

– Ryzykuję dla ciebie głowę – oświadczyła Roxanne. – Ungaro szuka modelki do pokazów. Zarekomendowałam cię. Obiecał, że da ci szansę.

Kendall była wstrząśnięta. Ungaro należał do najbardziej błyskotliwych projektantów w branży.

W następnym tygodniu Kendall zjawiła się na pokazie. Próbowała zachowywać się równie swobodnie jak inne modelki.

Ungaro podał jej pierwszą kreację, w której miała wystąpić, i obdarzył ją uśmiechem.

– Powodzenia.

– Dzięki.

Kiedy Kendall wyszła na wybieg, zachowywała się tak, jakby przez całe życie nie robiła nic innego. Nawet inne dziewczyny były pod wrażeniem. Pokaz odniósł wielki sukces i od tamtej chwili Kendall weszła do elity. Zaczęła pracować z gigantami przemysłu odzieżowego – Yvesem Saint Laurentem, Halstonem, Christianem Diorem, Donną Karan, Calvinem Kleinem, Ralphem Laurenem, St. Johnem. Miała ogromne wzięcie, jeździła na pokazy na całym świecie. W Paryżu *haute couture* wystawiała w styczniu i lipcu. W Mediolanie najważniejszymi miesiącami były marzec, kwiecień, maj i czerwiec, natomiast w Tokio pokazy odbywały się głównie w kwietniu i październiku. Kendall nie miała ani jednej wolnej chwili, ale kochała takie życie.

Pracowała i wciąż się uczyła. Prezentowała kreacje słynnych projektantów i rozmyślała o zmianach, jakie chciałaby wprowadzić, gdyby sama była projektantką. Nauczyła się, jak dopasowywać stroje i jak tkanina powinna układać się na figurze. Nauczyła się kroju, szycia i modelowania, nauczyła się, które części ciała kobiety chcą odsłaniać, a które zakrywać. W domu sporządzała szkice, a pomysły napływały strumieniem. Pewnego dnia zabrała teczkę ze swoimi rysunkami do kierowniczkii działu zakupów u I. Magniniego. Kierowniczką była pod

wrażeniem.

– Kto to projektował? – zapytała.

– Ja.

– Są dobre. Bardzo dobre.

Dwa tygodnie później Kendall zaczęła pracować u Donny Karan jako asystentka i poznała finansową stronę przemysłu odzieżowego. W domu nadal projektowała stroje. Rok później urządziła swój pierwszy pokaz. Okazał się katastrofą.

Projekty były popsolite i nie zwróciły niczyjej uwagi. Urządziła drugi pokaz, ale nikt nie przyszedł.

Wybrałam niewłaściwy zawód, pomyślała Kendall.

„Kiedyś zostaniesz słynną projektantką mody”.

Co robię źle? – zastanawiała się Kendall.

Objawienie przyszło w środku nocy. Kendall obudziła się i leżała w łóżku, rozmyślając. Projektuję suknie dla modelek. Powinna projektować stroje dla prawdziwych kobiet, które mają prawdziwą pracę i prawdziwe rodziny. Eleganckie, ale wygodne. Szykowne, ale praktyczne.

Przygotowanie następnego pokazu zabrało Kendall ponad rok, ale odniosła błyskotliwy sukces.

Kendall rzadko przyjeżdżała do Rose Hill, a wszystkie wizyty były koszmarem. Ojciec wcale się nie zmienił, najwyżej na gorsze.

– Jeszcze nikogo nie złapałaś, he? Pewnie już nikt ci się nie trafi.

Kendall poznała Marca Renauda na balu dobroczynnym. Pracował w dziale międzynarodowym nowojorskiego domu brokerskiego, gdzie zajmował się obcymi walutami. Pięć lat młodszy od Kendall, atrakcyjny Francuz, wysoki i szczupły. Był czarujący i miał nieskazitelne maniery. Kendall natychmiast uległa jego urokowi. Zaprosił ją na obiad następnego dnia i jeszcze tego samego wieczoru poszła z nim do łóżka. Od tamtej pory każdą noc spędzali razem. Pewnego wieczoru Marc powiedział:

– Kendall, wiesz, że kocham cię do szaleństwa.

– Szukałam cię przez całe życie, Marc – odpowiedziała miękko.

– Jest pewien problem. Odniosłaś wielki sukces. Nie zarabiam nawet w części tyle, co ty. Może pewnego dnia...

Kendall przyłożyła mu palec do ust.

– Przestań. Dajesz mi więcej, niż mogłam się spodziewać.

Na gwiazdkę Kendall zabrała Marca do Rose Hill, żeby przedstawić go ojcu.

– Chcesz wyjść za niego? – wybuchnął Harry Stanford. – On jest nikim! Żeni się z tobą dla pieniędzy, które rzekomo odziedziczysz.

Gdyby Kendall potrzebowała dodatkowego powodu, żeby poślubić Marca, właśnie go

otrzymała. Pobrali się w Connecticut następnego dnia. Małżeństwo z Markiem dało Kendall szczęście, jakiego nigdy przedtem nie zaznała.

– Nie możesz pozwolić, żeby ojciec cię tyranizował – powiedział Marc do żony. – Przez całe życie posługiwał się pieniędzmi jak bronią. Nie potrzebujemy jego pieniędzy.

Kendall pokochała go za to.

Marc był cudownym mężem – czułym, wyrozumiałym i troskliwym. Mam wszystko, myślała uszczęśliwiona Kendall. Przeszłość umarła. Odniosła sukces pomimo docinków ojca. Za kilka godzin świat mody będzie podziwiał jej talent.

Deszcz przestał padać. Dobry znak.

Pokaz był oszałamiający. Pod koniec, przy dźwiękach muzyki i trzaskaniu fleszów, Kendall wyszła na wybieg, złożyła ukłon i zebrała owacje. Żałowała, że Marca nie było w Paryżu, żeby dzielić z nią triumf, ale dom brokerski nie dał mu zwolnienia.

Kiedy tłumy opuściły widownię. Kendall wróciła do swojego gabinetu w stanie euforii. Asystentka powiedziała:

– Przyszedł do ciebie list. Doręczony przez posłańca.

Kendall spojrzała na brązową kopertę i poczuła nagły dreszcz. Wiedziała, co zawiera koperta, zanim ją otworzyła. List brzmiał następująco:

*Droga pani Renaud,
z przykrością zawiadamiam, że Towarzystwo Ochrony Dzikich Zwierząt ponownie wymaga dofinansowania. Potrzebujemy natychmiast 100 000 \$ na pokrycie wydatków. Pieniądze należy przesłać na konto numer 804072-A w banku Credit Suisse w Zurychu.*

Nie było podpisu.

Kendall w odrętwieniu wpatrywała się w list. To się nigdy nie skończy. Szantaż nigdy się nie skończy.

Druga asystentka wpadła w pośpiechu do gabinetu.

– Kendall! Tak mi przykro. Właśnie usłyszałam straszną wiadomość.

Nie zniosę więcej strasznych wiadomości, pomyślała Kendall.

– O co chodzi?

– Podano komunikat w Radio-Tele Luxemburg. Twój ojciec... nie żyje. Utonął.

Kendall nie od razu zrozumiała wagę tej informacji. Pierwszą jej myślą było: Ciekawe, z czego byłby bardziej dumny? Z mojego sukcesu czy z tego, że jestem morderczynią?

Rozdział dziesiąty

Peggy Malkovich od dwóch lat była żoną Woodrowa Woody’ego Stanforda, lecz stali mieszkańcy Hobe Sound wciąż mówili o niej: ta kelnerka.

Kiedy Woody pierwszy raz ją zobaczył, Peggy podawała do stolików w grillu Rain Forest. Woody Stanford był złotym chłopcem z Hobe Sound. Mieszkał w rodzinnej willi, był czarujący i towarzyski, obdarzony klasyczną urodą, toteż stanowił cel marzeń wszystkich egzaltowanych debiutantek z Hobe Sound, Filadelfii i Long Island. Nastąpiło niewielkie trzęsienie ziemi, gdy Woody nagle związał się z dwudziestopięcioletnią kelnerką o pospolitym wyglądzie, bez wyższego wykształcenia, córką zwykłego robotnika i gospodyni domowej.

Wstrząs był tym większy, ponieważ wszyscy spodziewali się, że Woody poślubi Mimi Carson, piękną, inteligentną dziedziczkę fortuny, która za nim szalała.

Rezydenci Hobe Sound z reguły woleli plotkować o swoich służących niż obgadywać znajomych, jednakże małżeństwo Woody’ego było takim skandalem, że zrobili dla niego wyjątek. Szybko rozeszła się nowina, że Woody zrobił kelnerce dziecko, a potem się z nią ożenił. Nikt nie miał wątpliwości, co było większym grzechem.

– Na litość boską, rozumiem, że chłopak zrobił jej bachora, ale żenić się z kelnerką?!

Cała afera stanowiła klasyczny przykład *déjà vu*. Dwadzieścia cztery lata wcześniej podobny skandal wstrząsnął mieszkańcami Hobe Sound za sprawą Stanfordów. Emily Temple, córka jednej z najszacowniejszych rodzin, popełniła samobójstwo, ponieważ jej mąż zrobił dziecko guwernantce.

Woody Stanford nie ukrywał, że nienawidzi ojca i że ożenił się z kelnerką głównie z litości, ponieważ chciał udowodnić, że potrafi się zachować bardziej honorowo od ojca.

Jedyną osobą zaproszoną na ślub był brat Peggy, Hoop, który przyleciał z Nowego Jorku. Hoop był dwa lata starszy od Peggy, pracował w piekarni w Bronksie. Był wysoki i wychudzony, miał twarz pełną dziobów po ospie i ciężki brookliński akcent.

– Dostałeś wspaniałą dziewczynę – powiedział po ceremonii do Woody’ego.

- Wiem – odparł Woody bezbarwnie.
- Opiekuj się dobrze moją siostrą, słyszysz?
- Postaram się.
- Dobra. Fajnie.

Nieważna rozmowa pomiędzy piekarzem a synem jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Cztery tygodnie po ślubie Peggy poroniła.

Hobe Sound to bardzo ekskluzywna społeczność, zaś Wyspa Jupitera stanowi najbardziej ekskluzywną część Hobe Sound. Granice wyspy wyznacza od zachodu kanał Intracoastal, a od wschodu Ocean Atlantycki. To prywatny raj – bogaty, samowystarczalny i dobrze strzeżony, gdzie *per capita* przypada chyba najwięcej policji na świecie. Mieszkańcy chlubią się tym, że są wyceniani zbyt nisko. Jeżdżą taurusami albo kombi i mają małe żaglówki – osiemnastostopowe „Błyskawice” albo dwudziestoczerostopowe „Quickstepy”.

Kto nie urodził się tutaj, musi sobie zarobić na miejsce w Hobe Sound. Po małżeństwie Woodrowa Stanforda z „tą kelnerką” powstało palące pytanie: Czy rezydenci powinni przyjąć oblubienicę do swojej społeczności?

Pani Anthony Pelletier, seniorka Hobe Sound, pełniła rolę arbitra we wszelkich towarzyskich sporach i poświęciła całe życie, żeby chronić swoje środowisko przed parweniuszami i nuworyszami. Jeżeli nowi przybysze w Hobe Sound mieli pecha i ściągnęli na siebie gniew pani Pelletier, zwykle przesyłała im przez szofera skórzaną walizkę. W ten sposób informowała ich, że nie są mile widziani w towarzystwie.

Przyjaciele z rozkoszą powtarzali sobie historyjkę o mechaniku samochodowym i jego żonie, którzy kupili dom w Hobe Sound. Pani Pelletier wysłała im rytualną skórzaną walizkę, lecz kiedy żona zrozumiała znaczenie przesyłki, wybuchnęła śmiechem. „Ta stara wiedźma chyba zwariowała, jeśli myśli, że mnie stąd wykurzy!”, oświadczyła.

Ale zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Robotnicy i fachowcy nagle stali się nieosiągalni, sklepikarzowi zawsze brakowało artykułów, które żona mechanika akurat zamówiła, małżeństwo nie mogło wstąpić do Klubu Wyspy Jupitera ani nawet zamówić miejsca w żadnej z miejscowych dobrych restauracji. I nikt z nimi nie rozmawiał. Trzy miesiące po otrzymaniu walizki para małżeńska sprzedała dom i wyjechała.

Toteż kiedy rozeszła się wiadomość o małżeństwie Woody’ego, cała społeczność wstrzymała swój kolektywny oddech. Ekskomunika Peggy Malkovich oznaczałaby również ekskomunikę jej popularnego męża. Po cichu obstawiano już zakłady.

Przez kilka pierwszych tygodni młodzi nie otrzymywali żadnych zaproszeń na obiady ani inne towarzyskie wydarzenia. Ale miejscowi lubili Woody’ego, a poza tym jego babka ze strony matki należała do założycielek Hobe Sound. Stopniowo zaczęli zapraszać jego i Peggy do swoich domów. Bardzo chcieli poznać nową małżonkę.

- Dziewczyna musi być wyjątkowa, bo inaczej Woody nigdy by się z nią nie ożenił.

Czekało ich wielkie rozczarowanie. Peggy była nudna i pospolita, nie miała żadnej osobowości i fatalnie się ubierała. Na jej widok ludziom nasuwało się słowo: kocmołuch.

Przyjaciele Woody'ego byli oszołomieni.

– Co on takiego w niej widzi? Przecież mógł się ożenić z każdą!

Jedno z pierwszych zaproszeń wysłała Mimi Carson. Ciężko przeżyła wiadomość o małżeństwie Woody'ego, była jednak zbyt dumna, żeby to okazać.

Najlepsza przyjaciółka próbowała ją pocieszać:

– Nie przejmuj się, Mimi! Zapomnisz o nim.

Mimi odparła:

– Przeżyję to, ale nigdy o nim nie zapomnę.

Woody bardzo się starał, żeby jego małżeństwo było szczęśliwe. Wiedział, że popełnił błąd, i nie chciał za to karać żony. Rozpaczliwie próbował być dobrym mężem. Problem polegał na tym, że Peggy nie miała nic wspólnego z nim ani z jego przyjaciółmi.

Peggy czuła się dobrze tylko w towarzystwie brata. Codziennie rozmawiała z Hoopem przez telefon.

– Tęsknię za nim – poskarżyła się mężowi.

– Chciałabyś, żeby przyjechał do nas na kilka dni?

– On nie może. – Spojrzała na Woody'ego i dodała żałośnie: – On pracuje.

Na przyjęciach Woody próbował wciągnąć żonę do rozmowy, ale szybko wyszło na jaw, że Peggy nie ma nic do powiedzenia. Siadywała w kącie, milcząca, wyraźnie skrepowana, nerwowo oblizując wargi.

Przyjaciele Woody'ego zdawali sobie sprawę, że chociaż mieszkał w willi Stanfordów, nie utrzymywał stosunków z ojcem i żył z niewielkiej renty po matce. Jego pasją było polo. Jeździł na kucach przyjaciół. W świecie polo graczy ocenia się według ilości bramek zdobytych w czasie jednego meczu, najlepszy jest dziesięciobramkowy. Woody miał dziewięć bramek i jeździł z Mariano Aguerre z Buenos Aires, Wicky el Effendi z Teksasu, Andresem Dinizem z Brazylii i tuzinem innych czołowych graczy. Na świecie było tylko dwunastu graczy dziesięciobramkowych i największą ambicją Woody'ego było wejść do tej grupy.

– Wiadomo dlaczego, no nie? – powiedział jeden z jego przyjaciół. – Jego ojciec był dziesięciobramkowy.

Mimi Carson wiedziała, że Woody'ego nie stać na własne kuce, więc kupiła dla niego stadninę. Kiedy przyjaciele spytali ją o powód, odpowiedziała:

– Zrobię wszystko, żeby był szczęśliwy.

Gdy nowi przybysze pytali, jak Woody zarabia na życie, ludzie tylko wrzuszali ramionami. W rzeczywistości Woody szukał łatwych okazji do zarobku, oszukiwał przy grze w golfa, przyjmował zakłady na mecze polo, pożyczał cudze kuce i wyścigowe jachty, a

czasem również żony.

Małżeństwo z Peggy szybko okazało się fiaskiem, ale Woody nie chciał tego przyznać.

– Peggy – powtarzał – kiedy chodzimy na przyjęcia, proszę, spróbuj włączyć się do rozmowy.

– Po co? Wszyscy twoi przyjaciele myślą, że są lepsi ode mnie.

– Wcale nie – zapewniał ją Woody.

Raz w tygodniu Kółko Literackie Hobe Sound spotykało się w klubie country na dyskusję o najnowszych książkach połączoną z lunchem.

Tego dnia, kiedy panie siedziały przy stole, steward podszedł do pani Pelletier.

– Pani Stanford czeka za drzwiami. Chciałaby się przyłączyć.

Przy stole zaległo milczenie.

– Wprowadź ją – poleciła pani Pelletier.

Po chwili Peggy weszła do jadalni. Miała świeżo umyte włosy, włożyła swoją najlepszą, starannie wyprasowaną sukienkę. Stała obok stołu, nerwowo spoglądając na grupę kobiet.

Pani Pelletier skinęła jej głową i powiedziała uprzejmie:

– Pani Stanford.

Peggy uśmiechnęła się z nadzieją.

– Tak, proszę pani.

– Nie jesteś nam potrzebna. Mamy już kelnerkę. – I pani Pelletier ponownie zajęła się jedzeniem.

Woody wpadł we wściekłość, kiedy usłyszał tę historię.

– Jak ona śmiała tak cię potraktować! – Wziął żonę w ramiona. – Następnym razem zapytaj mnie, zanim coś takiego zrobisz, Peggy. Powinnaś mieć zaproszenie na ten lunch.

– Nie wiedziałam – odparła ponuro.

– Nic nie szkodzi. Dzisiaj wieczorem idziemy na kolację do Blake'ów i chciałbym...

– Ja nie pójdę!

– Ale przyjęliśmy zaproszenie.

– Ty idź.

– Nie chcę iść bez...

– Ja nie pójdę.

Woody poszedł sam i od tamtej pory chodził na wszystkie przyjęcia bez Peggy.

Wracał do domu o różnych porach i Peggy była pewna, że spotykał się z innymi kobietami.

Wypadek zmienił wszystko.

To się zdarzyło podczas meczu polo. Woody grał na pozycji numer trzy, a gracz przeciwnej drużyny, próbując trafić piłkę z bliska, przypadkiem uderzył w nogi kuca, na

którym siedział Woody. Kuc upadł i przygniótł jeźdźca. W zamieszaniu drugi kuc kopnął Woody'ego. Zawieziono go do szpitala na ostry dyżur. Diagnoza lekarzy brzmiała: złamana noga, trzy pęknięte żebra, przebite płuco.

W ciągu następnych dwóch tygodni przeprowadzono trzy kolejne operacje. Woody straszliwie cierpiał i lekarze podawali mu morfinę dla złagodzenia bólu. Peggy codziennie go odwiedzała. Hoop przyleciał z Nowego Jorku, żeby pocieszać siostrę.

Fizyczny ból był nie do wytrzymania, jedyną ulgę przynosiły tabletki, które lekarze wciąż mu przepisywali. Wkrótce po powrocie do domu Woody zaczął się zmieniać. Zachowywał się kapryśnie i nieobliczalnie. Bez powodu przerzucał się od radosnego nastroju do nagłej furii albo głębokiej depresji. Przy obiedzie śmiał się i opowiadał dowcipy, a po chwili wpadał w złość, obrażał Peggy i wybiegał trzaskając drzwiami. W środku zdania milkł i pograżał się w myślach. Zrobił się roztargniony. Zapominał o spotkaniach, zapraszał gości, ale nie było go w domu, kiedy przychodzili. Wszyscy martwili się o niego.

Wkrótce zaczął obrażać żonę publicznie. Pewnego ranka Peggy podawała filiżankę kawy jednemu z jego przyjaciół i rozlała trochę, a Woody prychnął: „Wciąż kiepska kelnerka”.

Peggy nosiła także ślady fizycznego maltretowania, ale kiedy pytano ją, co się stało, zawsze znajdowała wymówkę. Mówiła: „Wpadłam na drzwi” albo „Przewróciłam się” i próbowała obrócić wszystko w żart. Towarzystwo było oburzone. Teraz użalali się nad Peggy. Lecz kiedy dziwaczne zachowanie Woody'ego kogoś obrażało, Peggy broniła męża.

– Woody przeżywa ciężki okres – tłumaczyła. – Nie jest sobą.

Nie pozwalała nikomu powiedzieć złego słowa o mężu.

Wreszcie doktor Tichner postawił sprawę otwarcie. Pewnego dnia zaprosił Peggy do swojego gabinetu.

– Coś się stało, doktorze? – zapytała zalekniona.

Przyglądał się jej przez chwilę. Miała podbite oko i siniec na policzku.

– Peggy, czy zdajesz sobie sprawę, że Woody bierze narkotyki?

W jej oczach zabłyśło oburzenie.

– Nie! Nie wierzę! – Wstała. – Nie będę tego słuchać!

– Siadaj, Peggy. Czas już, żebyś spojrzała prawdzie w oczy. Wszyscy inni to widzą. Z pewnością zwróciłaś uwagę na jego zachowanie. Raz jest w euforii i bryka jak dziecko, a po chwili wpada w samobójczy nastrój.

Peggy wpatrywała się w lekarza, blada i nieruchoma.

– On jest uzależniony.

Zacisnęła wargi.

– Nie – powtórzyła z uporem. – Nieprawda.

– Owszem, to prawda. Musisz w to uwierzyć. Nie chcesz mu pomóc?

– Oczywiście, że chcę! – Wykręcała sobie palce. – Zrobię wszystko, żeby mu pomóc.

Wszystko!

– Doskonale. Więc zaczynamy. Chcę, żebyś mi pomogła umieścić Woody’ego w ośrodku rehabilitacji. Prosiłem go, żeby do mnie przyszedł.

Peggy przez długą chwilę patrzyła na lekarza, potem kiwnęła głową.

– Porozmawiam z nim – powiedziała cicho.

Tego popołudnia, kiedy Woody wszedł do gabinetu doktora Tichnera, był w radosnym nastroju.

– Chciałeś ze mną pogadać, doktoru? Chodzi o Peggy, tak?

– Nie. Chodzi o ciebie. Woody.

Woody popatrzył na lekarza ze zdumieniem.

– O mnie? Mam jakieś problemy?

– Chyba sam wiesz, na czym polega twój problem.

– O czym ty mówisz?

– Jeśli dalej będziesz to ciągnął, zniszczysz życie sobie i Peggy. Co ty bierzesz. Woody?

– Ja coś biore?

– Słyszałeś.

Zapadło długie milczenie.

– Chcę ci pomóc.

Woody siedział wpatrując się w podłogę. Wreszcie przemówił ochrypłym głosem:

– Masz rację. Ja... próbowałem się okłamywać, ale dłużej nie mogę.

– Co bierzesz?

– Heroinę.

– Mój Boże!

– Wierz mi, ja już naprawdę próbowałem przestać, ale... nie mogę.

– Potrzebujesz pomocy i są takie miejsca, gdzie mogą ci pomóc.

– Mam w Bogu nadzieję, że się nie mylisz – powiedział Woody ze znużeniem.

– Chcę, żebyś pojechał do kliniki Harbor Group na Jupiterze. Spróbujesz?

Krótką chwilą wahania.

– Tak.

– Kto ci dostarcza heroinę? – zapytał doktor Tichner.

Woody potrząsnął głową.

– Tego nie mogę powiedzieć.

– No dobrze. Załatwię ci przyjęcie do kliniki.

Następnego ranka doktor Tichner siedział w gabinecie szefa policji.

– Ktoś mu dostarcza heroinę – mówił Tichner – ale nie chciał mi powiedzieć, kto.

Szef policji Murphy spojrzał na Tichnera i kiwnął głową.

– Ja chyba wiem.

Podejrzanych było kilku. Hobe Sound stanowiła niewielką enklawę, gdzie wszyscy

wszystkich znali.

Ostatnio na Bridge Road otwarto nowy sklep z alkoholem, który przez całą dobę dostarczał zamówienia do domów. Lekarz z miejscowej kliniki został ukarany grzywną za przepisywanie nadmiernej ilości leków.

Rok wcześniej po drugiej stronie kanału otwarto salę gimnastyczną; krążyły plotki, że trener zażywa sterydy i rozprawdza różne środki farmakologiczne wśród co lepszych klientów.

Ale szef policji Murphy miał na oku innego podejrzanego.

Tony Benedotti od lat pracował jako ogrodnik. Studiował ogrodnictwo i uwielbiał tworzyć piękne ogrody. Trawniki i ogrody, którymi się zajmował, stanowiły największą ozdobę Hobe Sound. Benedotti był skrytym, milczącym człowiekiem i nawet ludzie, u których pracował, bardzo mało o nim wiedzieli. Wydawał się nazbyt wykształcony jak na ogrodnika, a jego przeszłość stanowiła zagadkę.

Murphy posłał po niego.

– Jeżeli chodzi o moje prawo jazdy, odnowiłem je – powiedział Benedotti.

– Siadaj – rozkazał Murphy.

– Jakież kłopoty?

– Właśnie. Jesteś wykształconym człowiekiem, tak?

– Tak.

Szef policji odchylił się do tyłu w krześle.

– Więc dlaczego zostałeś ogrodnikiem?

– Tak się składa, że kocham naturę.

– Co jeszcze kochasz?

– Nie rozumiem.

– Jak długo zajmujesz się ogrodnictwem?

Benedotti spojrzał na niego zaskoczony.

– Czy któryś z moich klientów się skarżył?

– Odpowiedz na pytanie.

– Jakież piętnaście lat.

– Masz ładny dom i łódź?

– Tak.

– Jak mogłeś sobie pozwolić na to wszystko z zarobków ogrodnika?

Benedotti odparł:

– Dom nie jest taki duży i łódź nie jest taka duża.

– Może dorabiasz sobie na boku.

– Co to zna...?

– Pracujesz u kilku ludzi z Miami, prawda?

– Tak.

– Tam mieszka dużo Włochów. Wyświadczasz im czasami niewielkie przysługi?

– Jakie przysługi?

– Na przykład rozprawianie narkotyków.

Benedotti był wstrząśnięty i przerażony.

– Mój Boże! Oczywiście, że nie.

Murphy pochylił się do przodu.

– Coś ci powiem, Benedotti. Mam cię na oku. Rozmawiałem z paroma osobami, u których pracujesz. Nie chcą tu więcej ciebie ani twoich przyjaciół z mafii. Czy to jasne?

Benedotti na sekundę mocno zacisnął powieki, potem otworzył oczy.

– Zupełnie jasne.

– Dobra. Masz się stąd wynieść do jutra. Nie chcę więcej oglądać twojej gęby.

Woody Stanford spędził trzy tygodnie w klinice Harbor Group, a kiedy stamtąd wyszedł, znowu był dawnym Woodym – pogodnym, czarującym, pełnym wdzięku. Znowu zaczął grać w polo, jeżdżąc na kucach Mimi Carson.

W niedzielę przypadała osiemnasta rocznica Palm Beach Polo i Country Klubu. Strumień samochodów płynął po South Shore Boulevard, kiedy trzy tysiące kibiców spieszyło na boisko do polo. Tłumnie zapelnili łozę po zachodniej stronie boiska oraz odkryte ławki po przeciwnej stronie. Tego dnia miało wystąpić kilku spośród najlepszych graczy na świecie.

Peggy siedziała w łozy obok Mimi Carson, jako jej gość.

– Woody powiedział mi, że to twój pierwszy mecz polo, Peggy. Dlaczego przedtem nie chodziłaś?

Peggy oblizwała wargi.

– Ja... chyba zawsze za bardzo się denerwowałam, żeby oglądać Woody'ego na boisku. Nie wytrzymałabym, gdyby znowu coś mu się stało. To bardzo niebezpieczny sport, prawda?

Mimi odparła z namysłem:

– Jeżeli ośmiu graczy ściga się przez trzysta metrów z szybkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, a każdy waży około osiemdziesięciu kilo i dosiada kuca ważącego czterysta kilogramów... tak, wypadki się zdarzają.

Peggy zadrżała.

– Nie zniosłabym, gdyby znowu coś się stało Woody'emu. Nie zniosłabym tego. Naprawdę umieram ze strachu.

– Nie martw się – powiedziała łagodnie Mimi Carson. – On jest świetny. Wiesz, uczył się u Hectora Barrantasa.

Peggy spojrzała na nią pustym wzrokiem.

– U kogo?

– To dziesięciobramkowy gracz. Należy do legendy polo.

– Och.

Tłum zaszemrał, kiedy kuce przecwalały przez boisko.

– Co się dzieje? – zapytała Peggy.

– Właśnie skończyli rozgrzewkę przed meczem. Teraz są gotowi do rozpoczęcia gry.

Na boisku dwie drużyny ustawiały się w szeregu pod gorącym słońcem Florydy, czekając na pierwszy rzut sędziego.

Woody wyglądał cudownie, opalony, wysportowany i zwinny – gotowy do walki. Peggy pomachała do niego i przesłała mu pocałunek.

Obie drużyny stanęły ustawione w szeregu, bok w bok. Gracze trzymali młotki opuszczone, czekając na rzut sędziego.

– Zwykle jest sześć rund gry, zwanych „chukkerami” – wyjaśniła Mimi Carson. – Każdy chukker trwa przez siedem minut. Kończy się na dźwięk dzwonu. Potem jest krótki odpoczynek. Po każdej rundzie gracze zmieniają kuce. Drużyna, która zdobędzie najwięcej bramek, wygrywa.

– Rozumiem.

Mimi zastanawiała się, ile Peggy rzeczywiście rozumiała.

Na boisku gracze wpatrywali się w sędziego, starając się przewidzieć, gdzie rzuci piłkę. Sędzia spojrzał na tłum widzów, potem nagle cisnął białą plastikową piłkę pomiędzy dwa szeregi graczy. Gra się rozpoczęła.

Akcja rozwijała się szybko. Woody jako pierwszy zdobył piłkę i uderzył ze spalonego. Piłka pomknęła w stronę gracza przeciwnej drużyny. Gracz galopem popędził za piłką. Woody podjechał do niego i zahaczył kijem o jego kij, żeby zepsuć mu strzał.

– Dlaczego Woody to zrobił? – zapytała Peggy.

Mimi Carson wyjaśniła:

– Kiedy przeciwnik ma piłkę, wolno ci zahaczyć jego kij, żeby nie mógł zdobyć punktu. Teraz Woody uderzy ze spalonego.

Akcja toczyła się tak szybko, że oko ledwie nadążało. Rozlegały się okrzyki: „Do środka...”, „Trzymaj...”, „Zostaw...”. Gracze pędzili po boisku w pełnym galopie. Kuce – zwykle czystej krwi lub trzy czwarte – były odpowiedzialne za siedemdziesiąt pięć procent sukcesu graczy. Wierzchowce musiały być szybkie i obdarzone tym, co gracze nazywali zmysłem polo – wyczuciem każdego kolejnego ruchu gracza.

Woody zabłysnął w trzech pierwszych chukkerach. W każdej rundzie zdobył po dwie bramki, a tłum nagrodził go entuzjastycznymi wiwatami. Jego kij wydawał się dwoić i troić. Oto powrócił dawny Woody Stanford, szybki jak wiatr, nieustraszony. Pod koniec piątego chukкера drużyna Woody’ego prowadziła ze znaczną przewagą. Gracze zeszli z boiska na przerwę.

Mijając Peggy i Mimi, siedzące w pierwszym rzędzie, Woody uśmiechnął się do nich obu.

Podeksytowana Peggy odwróciła się do Mimi Carson.

– Czy on nie jest cudowny?

Mimi spojrzała na Peggy.

– Tak. Pod każdym względem.

Koledzy z drużyny gratulowali Woody’emu.

– Dokładnie w środek, stary! Byłeś niesamowity!

– Wspaniały mecz!

– Dziękuję.

– Wrócimy i jeszcze im dołożymy. Nie mają szans!

Woody uśmiechnął się szeroko.

– Żaden problem.

Patrzył, jak zawodnicy z jego drużyny wjeżdżają na boisko. Nagle poczuł się wyczerpany. Za bardzo się wysiliłem, pomyślał. Nie byłem jeszcze gotowy, żeby wrócić do gry. Nie wytrzymam tego tempa. Jeśli wyjdę na boisko, zrobię z siebie durnia. Wpadł w panikę, serce zaczęło mu walić. Potrzebuję tylko trochę dopalacza. Nie! Nie zrobię tego. Nie mogę. Obiecałem. Ale drużyna czeka na mnie. Zrobię to tylko tym razem i nigdy więcej. Przysięgam na Boga, to jest ostatni raz. Wsiadł do samochodu i sięgnął do schowka.

Kiedy Woody wrócił na boisko, podśpiewywał pod nosem i oczy mu dziwnie błyszczały. Pomachał do tłumu widzów i podjechał do czekającej drużyny. Nie potrzebuję nawet drużyny, pomyślał. Mogę pokonać tych drani w pojedynkę. Jestem najlepszym cholernym graczem na świecie. Chichotał cichutko.

Wypadek zdarzył się podczas szóstego chukкера, chociaż niektórzy z widzów utrzymywali później, że to wcale nie był wypadek.

Kuce słoczone pędziły w stronę bramki, a Woody prowadził piłkę. Kątem oka zobaczył, że jeden z przeciwników zbliża się do niego. Zamachnął się do tyłu i posłał piłkę pod tylne nogi kuca. Piłkę przejął Rick Hamilton, najlepszy gracz przeciwnej drużyny, który popędził do bramki. Woody ścigał go w pełnym galopie. Próbował zahaczyć kij Hamiltona, ale chybił. Kuce zbliżały się do bramki, Woody desperacko usiłował przejąć piłkę, ale chybiał za każdym razem.

Kiedy Hamilton podjechał do bramki, Woody umyślnie wykonał gwałtowny skręt i wpadł całym rozpędem na Hamiltona. Kuc Hamiltona razem z jeźdźcem runął na ziemię. Tłum widzów zerwał się na nogi z krzykiem. Sędzia gniewnie zagwizdał i podniósł rękę.

Pierwsza zasada polo głosi, że kiedy gracz prowadzi piłkę i kieruje się do bramki, nieprzepisowo jest przeciąć linię, po której posuwa się gracz. Jeżeli inny gracz przetnie tę linię, stwarza niebezpieczną sytuację i popełnia faul.

Gra została przerwana.

Sędzia podszedł do Woody’ego i oświadczył z gniewem:

– To był umyślny faul, panie Stanford!

Woody uśmiechnął się rozbrajająco.

– To nie moja wina! Ten jego cholerny kuc...

– Przeciwnicy otrzymują bramkę karną.

Chukker zmienił się w katastrofę. Woody popełnił dwa następne poważne wykroczenia w odstępie trzech minut. Za karę drużynie przeciwnej przyznano dwie kolejne karne bramki. Za każdym razem mieli prawo strzelić karnego gola do nie strzeżonej bramki. Na trzydzieści sekund przed końcem meczu przeciwna drużyna zdobyła decydujący punkt. Niemal pewne zwycięstwo zmieniło się w druzgocącą klęskę.

Mimi Carson patrzyła zaskoczona nagłym obrotem wypadków. Peggy zapytała nieśmiało:

– Chyba nie poszło najlepiej?

Mimi odwróciła się do niej.

– Nie, Peggy. Obawiam się, że nie poszło najlepiej.

Do łóża zbliżył się steward.

– Panno Carson, mogę prosić na słowo?

Mimi Carson zwróciła się do Peggy:

– Przepraszam na chwilę.

Peggy patrzyła, jak oboje odchodzą.

Po meczu drużyna Woody'ego była bardzo milcząca. Woody czuł taki wstyd, że nie potrafił spojrzeć im w twarz. Mimi Carson podbiegła do niego.

– Woody, niestety mam dla ciebie straszną, okropną wiadomość. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Twój ojciec nie żyje.

Woody podniósł na nią wzrok i powoli pokręcił głową. Łzy popłynęły mu z oczu.

– To... to przeze mnie. To tylko moja wina.

– Nie. Nie możesz się oskarżać. To nie twoja wina.

– Właśnie że tak – zaszlochał Woody. – Nie rozumiesz? Gdyby nie moje kary, wygralibyśmy mecz.

Rozdział jedenasty

Julia Stanford nigdy nie знаła ojca, a teraz on nie żył, zredukowany do czarnego nagłówka w „Kansas City Star”: MAGNAT HARRY STANFORD UTONAŁ W MORZU! Wpatrywała się w jego fotografię na pierwszej stronie gazety, targana sprzecznymi uczuciami. Czy nienawidzę go za to, jak potraktował moją matkę, czy Kocham go za to, że jest moim ojcem? Czy czuję się winna, że nigdy nie próbowałam nawiązać z nim kontaktu, czy mam do niego żal, że nigdy nie próbował mnie odnaleźć? To już bez znaczenia, pomyślała. On odszedł.

Ojciec był dla niej martwy przez całe jej życie, a teraz ponownie umarł, okradając ją z czegoś, na co nie miała słów. Ogarnęło ją niewytłumaczalne poczucie straty. Głupia! – pomyślała. Jak mogę tęsknić za kimś, kogo nawet nie znałam? Znowu popatrzyła na fotografię w gazecie. Czy mam coś z niego? Spojrzała w lustro na ścianie. Oczy. Mam te same głębokie szare oczy.

Julia weszła do garderoby obok sypialni, znalazła odrapane kartonowe pudło i wyjęła z niego oprawny w skórę album. Usiadła na krawędzi łóżka i otworzyła go. Przez następne dwie godziny przeglądała jego zawartość. Były tam niezliczone fotografie jej matki w stroju guwernantki, z Harrym Stanfordinem, panią Stanford oraz trójką ich dzieci.

Większość zdjęć zrobiono na jachcie, w Rose Hill albo w willi w Hobe Sound.

Julia wyjęła pożółkłe gazetowe wycinki ze szczegółowymi relacjami o skandalu, który wydarzył się wiele lat temu w Bostonie. Wyblakłe nagłówki krzyczały:

MIŁOSNE GNIAZDKO NA BEACON HILL

ŻONA MAGNATA POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO

GUWERNANTKA ROSEMARY NELSON ZNIKNEŁA

Dziesiątki kolumn towarzyskich wypełniała mieszanina faktów i insynuacji.

Julia długo siedziała nad albumem, zagubiona w przeszłości.

Urodziła się w Szpitalu Św. Józefa w Milwaukee. W jej najwcześniejszych wspomnieniach pozostały okropne mieszkania na mansardach i ciągle przeprowadzki z miasta

do miasta. Czasami wcale nie było pieniędzy i mało do jedzenia. Matka wiecznie chorowała i trudno jej było znaleźć stałą pracę. Dziewczynka szybko nauczyła się nigdy nie prosić o zabawki lub nową sukienkę.

Julia zaczęła chodzić do szkoły w wieku pięciu lat. Koleżanki z klasy wyśmiewały ją, ponieważ codziennie nosiła to samo ubranie i zniszczone buty. Kiedy inne dzieci z niej szydziły, Julia rzucała się na nie z pięściami. Była nieznośna i ciągle wzywano ją do dyrektora. Nauczyciele nie wiedzieli, co z nią zrobić. Bez przerwy sprawiała kłopoty. Dawno by ją wyrzucano, gdyby nie jedno: była najbystrzejszą uczennicą w klasie.

Matka powiedziała Julii, że jej ojciec nie żyje, a ona uwierzyła. Ale kiedy miała dwanaście lat, natknęła się na album wypełniony fotografiami jej matki razem z grupą nieznanymi.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Julia.

Matka uznała, że nadeszła właściwa chwila.

– Usiądź, kochanie – powiedziała. Wzięła córkę za rękę i ścisnęła mocno. Tej wiadomości nie dało się przekazać taktownie. – To jest twój ojciec, twoja przyrodnia siostra i przyrodni bracia.

Julia patrzyła na nią zaskoczona.

– Nie rozumiem.

Prawda wreszcie wyszła na jaw, wstrząsając światem Julii. Jej ojciec żył! Miała przyrodnią siostrę i dwóch przyrodnych braci. To się nie mieściło w głowie.

– Dlaczego... dlaczego mnie okłamałaś?

– Byłaś za mała, żeby zrozumieć. Twój ojciec i ja... mieliśmy romans. On był żonaty, a ja... musiałam wyjechać, żeby cię urodzić.

– Nienawidzę go! – oświadczyła Julia.

– Nie powinnaś go nienawidzić.

– Jak on mógł ci to zrobić? – zapytała gwałtownie.

– To była także moja wina. – Każde słowo sprawiało ból. – Twój ojciec był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, a ja młoda i bardzo głupia. Wiedziałam, że nasz romans nie ma żadnej przyszłości. Powiedział, że mnie kocha... ale miał żonę i rodzinę. A potem... potem zaszłam w ciążę. – Coraz trudniej było jej mówić. – Jakiś reporter dowiedział się o nas i wszystko wydrukowano w gazetach. Wtedy uciekłam. Chciałam do niego wrócić razem z tobą, ale jego żona popełniła samobójstwo i... nie mogłam już spojrzeć w oczy ani jemu, ani dzieciom. Sama widzisz, że to była moja wina. Więc nie oskarżaj go.

Ale istniał fragment tej historii, którego Rosemary nigdy nie ujawniła przed córką. Kiedy dziecko się urodziło, urzędniczka w szpitalu powiedziała:

– Wypełniamy metrykę urodzenia, dziecko nazywa się Julia Nelson?

Rosemary już chciała potwierdzić, lecz nagle pomyślała z gniewem: „Nie! Ona jest córką Harry’ego Stanforda. Ma prawo do jego nazwiska i jego majątku”.

– Moja córka nazywa się Julia Stanford.

Napisała do Harry’ego Stanforda o narodzinach dziecka, ale nigdy nie otrzymała odpowiedzi.

Julię fascynował fakt, że miała rodzinę, o której nic nie wiedziała, i że ta rodzina była dostatecznie sławna, żeby pisały o niej gazety. Poszła do biblioteki szkolnej i wyszukała każdą dostępną informację o Harrym Stanfordinie. Znalazła o nim kilkanaście artykułów. Był miliarderem i mieszkał w innym świecie, z którego Julia i jej matka zostały całkowicie wykluczone.

Pewnego dnia, kiedy koleżanki Julii szydziły z jej ubóstwa, zawołała wyzywająco:

– Nie jestem biedna! Mój ojciec należy do najbogatszych ludzi na świecie. Mamy jacht i samolot, i kilka pięknych domów.

Usłyszała ją nauczycielka.

– Julio, podejdź tutaj.

Podeszła do biurka nauczycielki.

– Nie wolno ci opowiadać takich kłamstw.

– To nie jest kłamstwo – odparła Julia. – Mój ojciec jest miliarderem! Zna prezydentów i królów!

Nauczycielka popatrzyła na dziewczynkę stojącą przed nią w obszarpanej bawełnianej sukience i powiedziała:

– Julio, to nieprawda.

– To prawda! – upierała się.

Odesłano ją do gabinetu dyrektora. Nigdy więcej nie wspomniała w szkole o ojcu.

Julia dowiedziała się, że jej matka musiała często przeprowadzać się z miasta do miasta ze względu na środki masowego przekazu. Prasa wciąż interesowała się Harrym Stanfordinem, a dziennikarze z kroniki towarzyskiej i brukowych magazynów co jakiś czas odgrzebywali stary skandal. Wścibscy reporterzy w końcu odkrywali, kim jest Rosemary Nelson i gdzie mieszka, musiała więc uciekać razem z córką.

Julia czytała w gazetach każdą wzmiankę o Harrym Stanfordinie i za każdym razem czuła pokusę, żeby do niego zadzwonić. Wmawiała sobie, że przez te wszystkie lata ojciec rozpaczliwie poszukiwał jej matki. Zadzwonię i powiem: Mówi twoja córka. Jeśli chcesz nas zobaczyć...

A on przyjedzie i znowu się zakocha, i poślubi jej matkę, i odtąd wszyscy będą żyli szczęśliwie.

Julia Stanford wyrosła na piękną młodą kobietę. Miała połyskliwe ciemne włosy, pełne, roześmiane usta, świetliste szare oczy ojca i pięknie ukształtowaną figurę. Ale kiedy się uśmiechała, ludzie zapominali o wszystkim oprócz tego uśmiechu.

Z powodu częstych przeprowadzek Julia chodziła do szkoły w pięciu różnych stanach. Podczas wakacji pracowała jako sprzedawczyni w sklepie, za ladą w drugistorze i jako recepcjonistka. Zawsze i przede wszystkim dążyła do niezależności.

Mieszkały w Kansas City w stanie Kansas, kiedy Julia skończyła college jako stypendystka. Nie bardzo wiedziała, co zrobić ze swoim życiem. Przyjaciele zachwyceni jej urodą proponowali, żeby zagrała w filmie.

– Z dnia na dzień zostaniesz gwiazdą!

Julia odrzuciła ten pomysł niedbałym wzruszeniem ramion.

– Komu by się chciało codziennie wstawać tak wcześnie?

Ale prawdziwym powodem była potrzeba zachowania prywatności. Przez całe życie Julia miała wrażenie, że sfera reporterów ściga ją i jej matkę z powodu tego, co zdarzyło się wiele lat wcześniej.

Marzenia Julii o ponownym połączeniu ojca i matki runęły w dniu, kiedy matka umarła. Julia doznała poczucia dojmującej straty. Ojciec powinien się dowiedzieć, pomyślała. Matka była częścią jego życia. Znalazła numer telefonu siedziby jego firmy w Bostonie. Zgłosiła się recepcjonistka.

– Dzień dobry. Przedsiębiorstwa Stanforda.

Julia zawahała się.

– Przedsiębiorstwa Stanforda. Halo? Czym mogę służyć?

Julia powoli odłożyła słuchawkę. Matka nie chciałaby, żebym do niego dzwoniła.

Teraz została sama. Nie miała nikogo.

Pochowała matkę na cmentarzu w Kansas City. Nie było innych żałobników. Julia stała nad grobem i myślała: To nie w porządku, mamó. Popelniłaś jeden błąd i płaciłaś za niego przez resztę życia. Żałuję, że nie mogłam ulżyć ci w bólu. Tak bardzo cię kocham, mamó. Zawsze będę cię kochała. Wszystko, co jej zostało po matce, to kolekcja starych fotografii i wycinków prasowych.

Po śmierci matki Julia znowu zaczęła myśleć o rodzinie Stanfordów. Byli bogaci. Mogła zwrócić się do nich o pomoc. Nigdy, postanowiła. Nie po tym, jak Harry Stanford zniszczył moją matkę.

Ale musiała zarabiać na życie. Stanała wobec konieczności wyboru zawodu. Pomyślała ironicznie: Może zostanę chirurgiem mózgu.

Albo malarką?

Śpiewaczką operową?

Fizykiem?

Astronautką?

Zapisała się na wieczorowe kursy sekretarek w Kansas Community College w Kansas City.

Następnego dnia po ukończeniu kursu zgłosiła się do agencji zatrudnienia. Kilkoro

petentów czekało na rozmowę. Obok Julii siedziała atrakcyjna dziewczyna w jej wieku.

– Cześć! Jestem Sally Connors.

– Julia Stanford.

– Muszę dzisiaj dostać pracę – jęknęła Sally. – Wyrzucają mnie z mieszkania.

Julia usłyszała wywoływane swoje nazwisko.

– Powodzenia! – powiedziała Sally.

– Dzięki.

Julia weszła do gabinetu.

– Proszę usiąść.

– Dziękuję.

– Z pani podania wynika, że ukończyła pani college i pracowała podczas wakacji. I otrzymała pani wysoką ocenę ze szkoły sekretarek. – Urzędniczka spojrzała na dossier leżące na biurku. – Potrafi pani stenografować dziewięćdziesiąt słów na minutę i pisać na maszynie sześćdziesiąt słów na minutę?

– Tak, proszę pani.

– Chyba mam coś akurat dla pani. Pewna mała firma architektoniczna szuka sekretarki. Niestety pensja nie jest bardzo wysoka...

– Nie szkodzi – szybko powiedziała Julia.

– Doskonale. Wyślę tam panią. – Podała Julii karteczkę z nazwiskiem i adresem wypisanym na maszynie. – Jutro w południe przeprowadzą z panią rozmowę kwalifikacyjną.

Julia uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

– Dziękuję pani. – Wypełniała ją radość.

Kiedy wyszła z gabinetu, wywołano nazwisko Sally.

– Mam nadzieję, że coś dostaniesz – powiedziała Julia.

– Dzięki!

Pod wpływem impulsu Julia postanowiła zaczekać. Dziesięć minut później uśmiechnięta Sally wyszła z gabinetu.

– Jutro idę do Amerykańskiego Towarzystwa Ubezpieczeniowego w sprawie posady recepcjonistki. A jak tobie poszło?

– Też jutro się dowiem.

– Na pewno cię przyjmą. Może zjemy razem lunch, żeby to uczcić?

– Świetnie.

Przy lunchu rozmawiały i błyskawicznie nawiązały przyjaźń.

– Oglądałam mieszkanie w Overland Park – powiedziała Sally. – Dwie sypialnie z łazienką, kuchnia i pokój dzienny. Naprawdę ładne. Nie stać mnie w pojedynkę, ale we dwie...

Julia uśmiechnęła się.

– Podoba mi się ten pomysł. – Odpukała w stół. – Jeśli dostanę pracę.

– Dostaniesz! – zapewniła ją Sally.

Po drodze do biura Petersa, Eastmana i Tolkina powtarzała sobie: To moja wielka szansa. Nie wiadomo, do czego mnie doprowadzi. To nie jest zwykła posada. Będę pracowała dla architektów. Wizjonerów, którzy budują i kształtują sylwetkę miasta, którzy tworzą piękno i magię z kamienia, stali i szkła. Może sama zacznę studiować architekturę, będę im pomagać i stanę się częścią wizji.

Biuro znajdowało się w starym obskurnym biurowcu na Amour Boulevard. Julia wjechała windą na drugie piętro, wysiadła i stanęła przed odrapanymi drzwiami z tabliczką: PETERS, EASTMAN & TOLKIN, ARCHITEKCI. Wzięła głęboki oddech i weszła.

Trzej mężczyźni czekali na nią w recepcji, przyglądając się jej, kiedy wchodziła.

– Pani w sprawie posady sekretarki?

– Tak, proszę pana.

– Jestem Al Peters. – Łysy.

– Bob Eastman. – Z kucykiem.

– Max Tolkin. – Z brzuszkiem.

Wszyscy mieli około czterdziestki.

– Rozumiemy, że to pani pierwsza posada – powiedział Al Peters.

– Tak, to prawda – odparła Julia. – Ale szybko się uczę. Potrafię ciężko pracować. – Postanowiła na razie nie wspominać o swoim pomysle, żeby studiować architekturę. Zaczeka, aż ją lepiej poznają.

– No dobrze, wypróbujemy panią – powiedział Bob Eastman – i zobaczymy, jak się pani spisze.

Julia poczuła uniesienie.

– Och, dziękuję! Nie zawiodę panów...

– Co do pensji – wtrącił Max Tolkin. – Obawiam się, że nie możemy płacić zbyt wiele na początek...

– Nie szkodzi – zapewniła Julia.

– Trzysta tygodniowo – poinformował ją Al Peters.

Rzeczywiście, to nie była duża suma. Julia szybko podjęła decyzję.

– Przyjmuję.

Mężczyźni wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się do siebie.

– Doskonale! – powiedział Al Peters. – Oprowadzę panią.

Zwiedzanie zajęło tylko kilka sekund. Poza małą recepcją biuro składało się z trzech niewielkich gabinetów, wyglądających tak, jakby zostały umeblowane przez Armie Zbawienia. Toaleta znajdowała się na dole w holu. Wszyscy trzej pracodawcy byli architektami, ale Al Peters był również biznesmenem, Bob Eastman – sprzedawcą, a Max Tolkin zajmował się konstrukcjami.

– Będzie pani pracowała dla nas wszystkich – oznajmił Peters.

– Świetnie. – Julia wiedziała, że stanie się niezastąpiona.

Al Peters spojrział na zegarek.

– Wpół do pierwszej. Chyba pora na lunch?

Julia poczuła lekki dreszczyk. Teraz należała do zespołu. Zapraszają mnie na lunch.

Peters zwrócił się do Julii:

– Na dole są delikatesy. Wezmę kanapkę z żytniego chleba z peklowaną wołowiną i musztardą, sałatkę ziemniaczaną i pączka.

– Och. – Tyle z zaproszenia na lunch.

– Dla mnie pastrami i rosół z kurczaka – powiedział Tolkin.

– Tak, proszę pana.

– Ja zamawiam gulasz wołowy i zimny napój – odezwał się Bob Eastman.

– Och, proszę dopilnować, żeby wołowina była chuda – dodał Al Peters.

– Chuda peklowana wołowina.

Max Tolkin powiedział:

– Zupa ma być gorąca.

– Dobrze. Gorąca zupa.

Bob Eastman powiedział:

– Niech będzie dietetyczna cola.

– Dietetyczna cola.

– Tu są pieniądze. – Al Peters podał Julii dwudziestodolarowy banknot.

Dziesięć minut później w delikatesach Julia mówiła do mężczyzny za ladą:

– Proszę jedną kanapkę na żytnim chlebie z chudą peklowaną wołowiną z musztardą, sałatkę ziemniaczaną i pączka. Kanapkę z pastrami i bardzo gorący rosół z kurczaka. Gulasz wołowy i dietetyczną colę.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Pracujesz u Petersa, Eastmana i Tolkina, he?

Po tygodniu Julia i Sally wprowadziły się do mieszkania w Overland Park. Mieszkanie składało się z dwóch małych sypialni, saloniku z meblami, które widziały już zbyt wielu lokatorów, kuchenki, kąpielni obiadowej i łazienki. Nie jest to Ritz, pomyślała Julia.

– Będziemy gotować na zmianę – zaproponowała Sally.

– Świetnie.

Sally przygotowała pierwszy posiłek, który smakował wspaniale.

Następnego wieczoru przyszła kolej na Julię. Sally przełknęła jeden kęs potrawy i powiedziała:

– Nie mam dużego ubezpieczenia na życie. Może ty będziesz sprzątać, a ja zajmę się kuchnią?

Współlokatorki bardzo dobrze się dobrały. W weekendy chodziły do kina na Glenwood 4 i robiły zakupy w Bannister Mali. Ubrania kupowały na Super Tanim Pchlim Targu. Raz w tygodniu wychodziły na obiad do taniej restauracji – Starej Farmy Jabłkowej Stephensona albo do Cafe Max na śródziemnomorskie specjały. Kiedy mogły sobie pozwolić, wpadały do Charlie Charliego posłuchać jazzu.

Julia lubiła pracować u Petersa, Eastmana i Tolkina. Powiedzieć, że interesy szły kiepsko, byłoby eufemizmem. Klienci rzadko się trafiali. Julia czuła, że swoją pracą niezbyt przyczynia się do kształtowania sylwetki miasta, ale cieszyło ją posiadanie trzech szefów. Przypominali zastępczą rodzinę, każdy zwierzał się jej ze swoich kłopotów. Sprawna nowa sekretarka bardzo szybko zreorganizowała biuro.

Julia postanowiła, że trzeba jakoś przyciągnąć klientów. Ale jak? Wkrótce znalazła odpowiedź. Przeczytała notatkę w „Kansas City Star” o lunchu wydawanym przez nową organizację kobiet na kierowniczych stanowiskach. Przewodniczącą była niejaka Susan Bandy.

Następnego dnia w południe Julia powiedziała do Ala Petersa:

- Może wrócę trochę później z lunchu.
- Nie szkodzi, Julio – uśmiechnął się Al.

Pomyślał, jakie mieli szczęście, że ją zatrudnili.

Julia zjawiła się w hotelu Plaza i weszła do pokoju, gdzie podawano lunch. Kobieta siedząca za stołem przy drzwiach zapytała:

- Czym mogę służyć?
- Przyszłam na lunch Kobiet Kierowników.
- Pani godność?
- Julia Stanford.

Kobieta spojrzała na listę leżącą na stole.

- Niestety, nie mam tutaj pani...

Julia uśmiechnęła się.

– Cała Susan, prawda? Muszę z nią porozmawiać. Jestem asystentką dyrektora w firmie Peters, Eastman i Tolkin.

Kobieta miała niepewną minę.

- No...
- Proszę się nie martwić. Po prostu wejdę i znajdę Susan.

W sali bankietowej gawędziły grupki dobrze ubranych kobiet. Julia zapytała jedną z nich:

- Gdzie jest Susan Bandy?

– Tam stoi. – Zapytana wskazała wysoką, niezwykle atrakcyjną kobietę około czterdziestki.

Julia podeszła do niej.

- Cześć. Jestem Julia Stanford.
- Witam.
- Pracuję u Petersa, Eastmana i Tolkina. Na pewno pani o nich słyszała.
- No...
- To najszybciej rozwijająca się firma architektoniczna w Kansas City.
- Znakomicie.
- Nie mam zbyt dużo czasu, ale chciałabym zrobić jak najwięcej dla waszej organizacji.
- No, to bardzo miło z pani strony, panno...?
- Stanford.

Taki był początek.

Organizacja Kobiet Kierowników reprezentowała większość przodujących firm z Kansas City. Julia bardzo szybko została aktywną działaczką. Co najmniej raz w tygodniu jadła lunch z jedną z członkiń.

- Nasza firma zamierza wybudować nowy gmach w Olathe.

Julia natychmiast meldowała o tym swoim szefom.

- Pan Hanley chce zbudować letni domek w Tonganoxie.

Zanim ktokolwiek się dowiedział, Peters, Eastman & Tolkin dostali to zlecenie.

Pewnego dnia Bob Eastman wezwał Julię i powiedział:

– Zaslugujesz na podwyżkę, Julio. Robisz wspaniałą robotę. Jesteś sekretarką nie z tej ziemi!

- Mogę cię prosić o przysługę? – zapytała Julia.

– Jasne.

- Nazywaj mnie asystentką dyrektora. To wzbudza większe zaufanie.

Od czasu do czasu Julia czytała artykuły prasowe o swoim ojcu albo oglądała wywiady z nim w telewizji. Nigdy nie wspominała o nim w obecności Sally ani swoich pracodawców.

W dzieciństwie Julia marzyła, że tak jak Dorota w „Czarnoksiężniku ze Szmaragdowego Grodu” pewnego dnia zostanie przeniesiona z Kansas do jakiejś pięknej, czarodziejskiej krainy. Będzie to kraina pełna jachtów, pałaców i prywatnych samolotów. Ale teraz, po śmierci ojca, marzenie prysło.

Nie mam już żadnej rodziny. Chociaż przecież, poprawiła się w myślach, mam przyrodnią siostrę i dwóch przyrodnych braci. To moja rodzina. Czy powinnam ich odwiedzić? Dobry pomysł? Zły pomysł? Ciekawe, jak wypadłoby takie spotkanie?

Decyzja okazała się kwestią życia i śmierci.

Rozdział dwunasty

To było zgromadzenie klanu nieznajomych. Minęły lata, odkąd ostatnio spotkali się lub rozmawiali ze sobą.

Sędzia Tyler Stanford przyleciał samolotem z Bostonu.

Kendall Stanford Renaud przyleciała z Paryża. Marc Renaud przyjechał pociągiem z Nowego Jorku.

Woody Stanford i Peggy przyjechali samochodem z Hobe Sound.

Spadkobierców zawiadomiono, że ceremonia pogrzebowa odbędzie się w Królewskiej Kaplicy. Ulica przed kościołem była zablokowana, policjanci powstrzymywali tłum, który gapił się na przybywających dygnitarzy. Zjawił się wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, a także senatorzy, ambasadorzy i mężowie stanu z krajów tak odległych, jak Turcja i Arabia Saudyjska. Za życia Harry Stanford rzucał długi cień. Wszystkie miejsca w kaplicy były zajęte.

Tyler, Woody i Kendall z małżonkami spotkali się w zakrystii. Spotkanie wypadło niezręcznie. Rodzeństwo było sobie obce, nie łączyło ich nic poza zwłokami mężczyzny, spoczywającymi na karawanie przed kościołem.

– To jest mój mąż, Marc – powiedziała Kendall.

– To moja żona, Peggy. Peggy, poznaj moją siostrę Kendall i mojego brata Tylera.

Wymienili uprzejmie powitania. Potem stali w milczeniu i spoglądali na siebie z zakłopotaniem, dopóki nie zjawił się zakrystian.

– Przepraszam – powiedział ściszym głosem. – Nabożeństwo zaraz się rozpocznie. Proszę za mną.

Zaprowadził ich do zarezerwowanej ławki z przodu kaplicy. Zajęli miejsca i czekali, każde pochłonięte własnymi myślami.

Tyler dziwnie się czuł powróciwszy do Bostonu po tylu latach. Jedyne dobre wspomnienia związane z tym miastem pochodziły z czasów, kiedy żyła jego matka i

Rosemary. W wieku jedenastu lat Tyler zobaczył reprodukcję słynnego obrazu Goi, zatytułowanego: „Saturn pożerający swoje dzieci”. Zawsze utożsamiał go z ojcem.

A teraz Tyler spoglądał na trumnę ojca, wnoszoną do kościoła przez grabarzy, i myślał: Saturn nie żyje.

„Znam twój brudny mały sekret”.

Pastor wszedł na zabytkową kazalnicę w kształcie kielicha.

– Jezus rzekł do niej: Jam jest zmartwychwstanie i żywot, i ktokolwiek uwierzy we mnie, choćby umarł, żyć będzie, a którzy żyją i uwierzą we mnie, żyć będą wiecznie.

Woody czuł radosne ożywienie. Wstrzyknął sobie heroinę przed wejściem do kościoła i działanie narkotyku jeszcze trwało. Zerknął na brata i siostrę. Tyler przybrał na wadze. Wygląda jak sędzia. Kendall stała się piękną, ale ma zmartwioną minę. Ciekawe, czy to z powodu śmierci ojca? Nie. Nienawidziła go równie mocno jak ja. Spojrzał na żonę, siedzącą obok niego. Szkoda, że nie zdążyłem jej przedstawić staremu. Dostałby zawału.

Pastor mówił:

– Jako ojciec lituje się nad dziećmi, tak samo Pan nasz lituje się nad tymi, którzy się go lękają. Gdyż on zna nasze słabości; pamięta, żeśmy jeno prochem.

Kendall nie słuchała kazania. Myślała o czerwonej sukience. Pewnego popołudnia ojciec zadzwonił do niej do Nowego Jorku.

– Więc zostałam ważną projektantką mody, co? No, zobaczmy, co potrafisz. W sobotę wieczorem zabieram moją nową przyjaciółkę na bal dobroczynny. Nosi twój rozmiar. Chcę, żebyś zaprojektowała dla niej suknię.

– Do soboty? Nie mogę, ojciec...

– Poradzisz sobie.

Więc zaprojektowała najbrzydszą sukienkę, jaką zdołała wymyślić. Suknia miała z przodu wielką czarną kokardę, mnóstwo wstążek i koronek. Wyglądała koszmarnie. Wysłała suknię ojcu, a on znowu do niej zadzwonił.

– Dostałem suknię. Niestety moja przyjaciółka nie ma czasu w sobotę, więc ty pójdziesz ze mną i włożysz tę sukienkę.

– Nie!

A wtedy padły te straszne słowa:

– Chyba nie chcesz mnie rozczarować?

Więc poszła, nie ośmieliwszy się zmienić sukienki, i przeżyła najbardziej upokarzający wieczór swojego życia.

– Gdyż niczego nie przynosimy ze sobą na ten świat i zaprawdę niczego nie zabierzemy ze sobą. Pan daje i Pan odbiera; błogosławione niech będzie Jego imię!

Peggy Stanford czuła się nieswojo. Przytłaczał ją przepych ogromnego kościoła i elegancko ubrani ludzie. Nigdy przedtem nie była w Bostonie; dla niej to miasto oznaczało świat Stanfordów, wspaniały i niedostępny. Ci ludzie byli od niej o całe niebo lepsi. Wzięła męża za rękę.

– Wszelkie ciało jest jako trawa, i wszelka chwała człowieka jako kwiat trawy... Uwiędła trawa i kwiat jej opadł, ale słowo Boże trwa na wieki.

Marc przypomniał sobie list szantażysty, który otrzymała jego żona. List został sformułowany bardzo starannie, bardzo sprytnie. Nie można było wyśledzić, kto się za nim kryje. Marc spojrzał na Kendall siedzącą obok niego, bladą i spiętą. Ile ona jeszcze może znieść? – pomyślał. Przyniósł się bliżej do żony.

– ...i oddajemy cię pod Jego miłosierną opiekę. Niechaj Bóg cię strzeże i błogosławi. Pan obróci na ciebie promienne oblicze i przyniesie ci łaskę. Pan ześle na ciebie światło swego oblicza i obdarzy cię spokojem, teraz i na wieki wieków. Amen.

Po zakończeniu nabożeństwa pastor oznajmił:

– Ceremonia pogrzebowa będzie prywatna... tylko członkowie rodziny.

Tyler spojrzał na trumnę i pomyślał o zwłokach, które w niej spoczywały. Poprzedniego wieczoru, zanim zamknięto trumnę, przyjechał prosto z Międzynarodowego Lotniska Logana na czuwanie w domu pogrzebowym.

Chciał zobaczyć swego ojca martwego.

Woody patrzył, jak trumnę wynoszono z kościoła pod ostrzałem spojrzeń tłumu. Uśmiechnął się: Niech ludzie dostaną, czego chcą.

Ceremonia pogrzebowa na starym cmentarzu Mount Auburn w Cambridge trwała krótko. Rodzina patrzyła, jak grabarze opuszczają zwłoki Harry'ego Stanforda na miejsce ostatniego spoczynku. Kiedy na trumnę rzucono garść ziemi, pastor powiedział:

– Nie musicie państwo zostawać dłużej, jeżeli nie chcecie.

– Dobrze – Woody kiwnął głową. Skutki działania heroiny ustępowały i czuł się coraz bardziej roztrzęsiony. – Wyośmy się stąd w cholerę.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Marc.

Tyler odwrócił się do grupy.

– Zamieszkamy w Rose Hill. Wszystko już załatwione. Zostaniemy tam, dopóki nie rozstrzygną się kwestie majątkowe.

Po kilku minutach siedzieli w limuzynach jadących do domu.

Boston wyróżnia się sztywną hierarchią towarzyską. Nuworysze mieszkają na

Commonwealth Avenue, a wschodzące gwiazdy na Newbury Street. Mniej zamożne stare rodziny rezydują na Marlborough Street. Back Bay jest najnowszym i najbardziej prestiżowym adresem w mieście, ale Beacon Hill nadal stanowi twierdzę najstarszych i najbogatszych bostońskich rodzin. Wiktoriańskie ceglane domy sąsiadują tam z kamienicami z piaskowca, stare kościoły stoją obok wytwornych pasażerów handlowych.

Rose Hill, posiadłość Stanforda, zajmowała trzy akry ziemi na Beacon Hill. Piękny, stary wiktoriański dom, w którym dorastały dzieci Stanforda, pełen był przykrych wspomnień. Limuzyna zajęła przed frontowe drzwi, pasażerowie wysiedli i popatrzyli na stary budynek.

– Nie mogę uwierzyć, że ojciec nie czeka na nas w domu – powiedziała Kendall.

Woody uśmiechnął się bez troski.

– Jest zbyt zajęty zarządzaniem interesami w piekle.

Tyler głęboko zaczerpnął tchu.

– Wchodzimy.

Kiedy zbliżyli się do wejścia, drzwi otworzyły się i stanął w nich siwy, dystyngowany kamerdyner Clark. Dobiegał już siedemdziesiątki, a w Rose Hill służył od ponad trzydziestu lat. Patrzył na dorastanie dzieci i przeżywał wraz z nimi wszystkie skandale.

Twarz Clarka rozjaśniła się na widok przybyszów.

– Dzień dobry!

Kendall uścisnęła go serdecznie.

– Clark, jak dobrze znowu cię widzieć.

– Wiele czasu minęło, panienko Kendall.

– Teraz pani Renaud. To jest mój mąż, Marc.

– Witam szanownego pana.

– Żona wiele mi opowiadała.

– Mam nadzieję, że nic strasznego, proszę pana.

– Przeciwnie. Zachowała o was tylko dobre wspomnienia.

– Dziękuję panu. – Clark odwrócił się do Tylera. – Dzień dobry, panie sędzio.

– Witaj, Clark. Wyglądasz bardzo dobrze.

– Pan również, proszę pana. Tak mi przykro z powodu tego smutnego wydarzenia.

– Dziękuję. Jesteś przygotowany, żeby zająć się nami?

– O tak. Postaramy się zapewnić wszystkim wygody.

– Dostanę swój dawny pokój?

Clark uśmiechnął się.

– Naturalnie. – Odwrócił się do Woody'ego. – Miło mi pana widzieć, panie Woodrow.

Chciałbym...

Woody chwycił Peggy za ramię.

– Chodź – rzucił krótko. – Muszę się odświeżyć.

Pozostali patrzyli, jak Woody przepchnął się do drzwi i pociągnął Peggy na górę.

Weszli do wielkiej bawialni. Dominujący akcent pokoju stanowiły dwie masywne, ozdobne szafy w stylu Ludwika XIV. Na środku stał stół z pięknym marmurowym blatem i połączanymi nóżkami, a wokół ustawiono cenne stylowe krzesła i sofy. Z wysokiego sufitu zwisał żyrandol z połączanego brązu. Na ścianach wisiały ciemne w tonacji średniowieczne obrazy.

– Panie sędzio – Clark odwrócił się do Tylera – mam dla pana wiadomość. Pan Simon Fitzgerald prosił, żeby pan do niego zadzwonił w wolnej chwili. Chciał ustalić termin spotkania z rodziną.

– Kto to jest Simon Fitzgerald? – zapytał Marc.

– Rodzinny prawnik – odparła Kendall. – Ojciec zawsze go zatrudniał, ale my nigdy go nie poznaliśmy.

– Przypuszczam, że chce omówić przekazanie majątku – powiedział Tyler. Odwrócił się do pozostałych. – Jeśli nie macie zastrzeżeń, umówię go na jutro rano.

– Doskonale – zgodziła się Kendall.

– Kucharz przygotowuje obiad – poinformował ich Clark. – Czy godzina ósma państwu odpowiada?

– Tak – powiedział Tyler. – Dziękujemy.

– Eva i Millie zaprowadzą państwa do pokojów.

Tyler odwrócił się do siostry i jej męża.

– Spotkamy się na dole o ósmej, dobrze?

Kiedy Woody i Peggy weszli do swojej sypialni na górze, Peggy zapytała męża:

– Dobrze się czujesz?

– Świetnie – warknął Woody. – Zostaw mnie w spokoju.

Patrzyła, jak wchodzi do łazienki i trzaska drzwiami. Stała i czekała.

Woody wyszedł po dziesięciu minutach, uśmiechnięty.

– Cześć, mała.

– Cześć.

– No i jak ci się podoba stary dom?

– Jest... jest ogromny.

– Potworny. – Podeszedł do łóżka i objął Peggy. – To był dawniej mój pokój. Na ścianach wisiały plakaty sportowe Bruinsów, Celtów, Red Soksów. Chciałem zostać sportowcem. Marzyłem o wielkich rzeczach. W ostatniej klasie szkoły średniej byłem kapitanem drużyny futbolowej. Dostałem oferty od trenerów z pół tuzina college'ów.

– Którą przyjąłeś?

Potrząsnął głową.

– Żadnej. Ojciec powiedział, że im zależy tylko na nazwisku Stanfordów, że chcą jedynie

wyciągnąć od niego forszę. Wysłał mnie do szkoły inżynierskiej, gdzie nie grano w piłkę nożną. – Milczał przez chwilę. Potem wymamrotał: – Mogłem im pokazać...

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Co?

Woody podniósł wzrok.

– Nie widziałaś „Na Nabrzeżach”?

– Nie.

– Tak powiedział Marlon Brando w tym filmie. To znaczy, że mnie wydymali.

– Twój ojciec musiał być twardy.

Woody parsknął krótkim, szyderczym śmiechem.

– To najmilsze, co można o nim powiedzieć. Pamiętam, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, spadłem z konia. Chciałem znowu wsiąść i jechać dalej. Ojciec mi nie pozwolił. Powiedział: „Nigdy nie nauczysz się jeździć konno, ty niezdaro”. – Woody spojrzał na żonę. – I dlatego zostałem dziewięciobramkowym graczem w polo.

Razem usiedli do kolacji, zachowując niezręczne milczenie – obcy ludzie, których łączyły jedynie lęki dzieciństwa.

Kendall rozejrzała się po pokoju. Koszmarne wspomnienia mieszały się z podziwem dla piękna otoczenia. Klasyczny francuski stół, wczesny Ludwik XV, otaczały orzechowe krzesła w stylu Dyrektoriatu. W rogu stał francuski, kremowo-błękitny, malowany prowincjonalny kredens. Na ścianach wisiały obrazy Watteau i Fragonarda.

Kendall zwróciła się do Tylera:

– Czytałam o twojej decyzji w sprawie Fiorello. Dostał, na co zasłużył.

– Sędzia to musi być dość ciekawy zawód – odezwała się Peggy.

– Czasami.

– Jakiego rodzaju sprawy prowadzisz? – zapytał Marc.

– Kryminalne... gwałty, narkotyki, morderstwa.

Kendall zbladła i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć.

Marc ostrzegawczo ścisnął jej dłoń.

Tyler uprzejmie powiedział do Kendall:

– Zostałaś słynną projektantką.

Oddychała z trudem.

– Tak.

– Ona jest fantastyczna – wtrącił Marc.

– A ty, Marc, czym się zajmujesz?

– Pracuję w domu brokerskim.

– A więc należysz do tych młodych milionerów z Wall Street.

– No, nie całkiem, panie sędzio. Dopiero zaczynam.

Tyler zmierzył Francuza protekcjonalnym spojrzeniem.

– Więc masz szczęście, że ożeniłeś się z kobietą sukcesu.

Kendall poczerwieniała i szepnęła do męża:

– Nie zwracaj na niego uwagi. Pamiętaj, że cię kocham.

Woody zaczynał odczuwać skutki narkotyku. Popatrzył na żonę.

– Peggy przydałyby się jakieś porządne ubrania – powiedział. – Ale ona nie dba o wygląd. Prawda, aniołku?

Zażenowana Peggy nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Może ładny mundurek kelnerki? – zaproponował Woody.

– Przepraszam – powiedziała Peggy. Wstała od stołu i pobiegła na górę.

Wszyscy gapili się na Woody'ego, który uśmiechnął się szeroko.

– Trochę przewrażliwiona – stwierdził. – No więc jutro pogadamy o testamencie, he?

– Owszem – potwierdził Tyler.

– Założę się, że stary nie zostawił nam ani centa.

– Przecież miał tyle pieniędzy... – odezwał się Marc.

Woody prychnął.

– Nie znałeś naszego ojca. Pewnie zapisał nam co najwyżej jakąś starą marynarkę i pudełko cygar. Lubił posługiwać się pieniędzmi, żeby nami manipulować. Jego ulubiony zwrot brzmiał: „Chyba nie chcesz mnie rozczarować, co?” I wszyscy słuchaliśmy go niczym grzeczne dzieci, ponieważ, jak powiedziałaś, miał tyle pieniędzy. No, założę się, że stary wymyślił jakiś sposób, żeby zabrać wszystko ze sobą.

– Jutro się przekonamy, prawda? – zauważył Tyler.

Nazajutrz wcześniej rano zjawili się Simon Fitzgerald i Steve Sloane. Clark zaprowadził ich do biblioteki.

– Zawiadomię rodzinę, że panowie przyjechali – powiedział.

Olbrzymia biblioteka miała dwa wielkie francuskie okna, wychodzące na ogród. Wzdłuż ścian, wyłożonych ciemną dębową boazerią, stały oszklone szafki, wypełnione cennymi tomami oprawnymi w skórę. Wygodne fotele i włoskie stojące lampy dopełniały umeblowania. W rogu stała wykonana na zamówienie mahoniowa gablota z kryształowymi szybami w ramach ze złoconego brązu, która zawierała imponującą kolekcję broni Harry'ego Stanforda. Specjalnie zaprojektowane szuflady pod gablotą służyły do przechowywania amunicji.

– Zapowiada się interesujący ranek – zauważył Steve. – Ciekawe, jak zareagują.

– Niedługo się dowiemy.

Kendall i Marc pierwsi weszli do pokoju.

– Dzień dobry – powiedział Fitzgerald. – Jestem Simon Fitzgerald. To mój asystent,

Steve Sloane.

– Kendall Renaud, a to mój mąż Marc.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

Do biblioteki weszli Woody i Peggy.

– Woody – zwróciła się do brata Kendall – to Dan Fitzgerald i pan Sloane.

– Cześć. – Woody kiwnął głową. – Przynieśliście forszę ze sobą?

– No, właściwie...

– Tylko żartowałem! To moja żona Peggy. – Woody popatrzył na Steve'a. – Czy stary coś mi zostawił, czy...

Do pokoju wszedł Tyler.

– Dzień dobry.

– Sędzia Stanford?

– Tak.

– Jestem Simon Fitzgerald, a to Steve Sloane, mój współpracownik. Właśnie Steve załatwił sprowadzenie ciała pańskiego ojca z Korsyki.

Tyler odwrócił się do młodego prawnika.

– Jestem panu zobowiązany. Właściwie nie wiemy, co się stało. Prasa podawała tyle różnych wersji. Czy istnieje podejrzenie zamachu?

– Nie. To wygląda na wypadek. Jacht pańskiego ojca wpadł w gwałtowny sztorm u wybrzeży Korsyki. Zgodnie z zeznaniem ochroniarza Dmitrija Kaminskiego, pański ojciec stał na werandzie przed swoją kabiną i wiatr wyrwał mu jakieś papiery z ręki. Pan Stanford sięgnął po nie, stracił równowagę i wypadł za burtę. Zanim wyciągnęli ciało, było już za późno.

– Co za okropna śmierć – zadrżała Kendall.

– Rozmawiał pan z tym Kaminskim? – zapytał Tyler.

– Niestety, nie. Zanim przyleciałem na Korsykę, on już wyjechał.

Fitzgerald zabrał głos:

– Kapitan jachtu radził, żeby nie wypływać w taki sztorm, ale z jakiegoś powodu pański ojciec bardzo się spieszył do domu. Zamówił helikopter, żeby go przywiózł z powrotem. Widocznie miał jakąś pilną sprawę.

– Czy wiadomo, co to była za sprawa? – zapytał Tyler.

– Nie. Przerwałem wakacje, żeby spotkać się z nim tutaj, po jego powrocie. Nie wiem, co...

– To bardzo interesujące – przerwał mu Woody – ale to już prehistoria, prawda? Pogadajmy o testamencie. Zostawił nam coś czy nie? – Nerwowo zaciskał dłonie.

– Może usiądziemy? – zaproponował Tyler.

Zajęli miejsca w fotelach. Simon Fitzgerald usiadł za biurkiem naprzeciwko. Otworzył teczkę i zaczął wyjmować jakieś papiery.

Woody był bliski wybuchu.

– No więc? Na litość boską, zostawił czy nie?

– Woody... – szepnęła Kendall.

– Znam odpowiedź – oświadczył gniewnie Woody. – Nie zostawił nam ani centa.

Fitzgerald spojrział na dzieci Harry’ego Stanforda.

– Prawdę mówiąc – oznajmił – każde z was dziedziczy równą część majątku.

Steve wyczuł nagły przyływ euforii wśród zebranych.

Woody gapił się na Fitzgeralda z otwartymi ustami.

– Co takiego? Poważnie? – Zerwał się z fotela. – To fantastycznie!

Odwrócił się do pozostałych.

– Słyszeliście? Stary drań w końcu zmiękł! – Spojrzął na Simona Fitzgeralda. – O jakiej sumie mówimy?

– Nie mam dokładnych danych. Zgodnie z ostatnimi doniesieniami magazynu „Forbes”, Przedsiębiorstwa Stanforda są warte sześć miliardów dolarów. Większość z tego została zainwestowana w rozmaite korporacje, ale około czterysta milionów jest dostępne w płynnych aktywach.

Kendall słuchała w oszołomieniu.

– To ponad sto milionów dla każdego z nas! Nie mogę uwierzyć! – Jestem wolna, pomyślała. Mogę zapłacić i pozbyć się ich na zawsze. Spojrzała na Marca z rozjaśnioną twarzą i uściśnęła jego dłoń.

– Gratuluję – powiedział Marc. Wiedział lepiej od innych, ile znaczyły te pieniądze.

Simon Fitzgerald zabrał głos:

– Jak państwo wiecie, wasz ojciec posiadał dziewięćdziesiąt dziewięć procent udziałów w Przedsiębiorstwach Stanforda. Akcje te zostaną równo rozdzielone pomiędzy was. W związku ze śmiercią ojca również pozostały jeden procent, trzymany w powiernictwie, przechodzi na własność sędziego Stanforda. Oczywiście pozostają pewne formalności. Co więcej, powinienem poinformować państwa, że może się zgłosić jeszcze jeden spadkobierca.

– Jeszcze jeden spadkobierca? – powtórzył Tyler.

– Testament pańskiego ojca wyraźnie zastrzega, że majątek ma być równo podzielony pomiędzy całą jego progeniturę.

Peggy zapytała niepewnie:

– Co... co to znaczy progenitura?

– Naturalne potomstwo oraz potomstwo legalnie adoptowane – wyjaśnił Tyler.

Fitzgerald kiwnął głową.

– Zgadza się. Każdy nieślubny potomek staje się spadkobiercą zarówno matki, jak ojca, na mocy przepisów prawa spadkowego.

– O czym pan mówi? – rzucił niecierpliwie Woody.

– Mówię, że może się zgłosić jeszcze jeden uprawniony spadkobierca.

Kendall spojrzała na niego.

– Kto?

Simon Fitzgerald zawahał się. Tego nie dało się przekazać taktownie.

– Z pewnością zdajecie sobie państwo sprawę, że kilka lat temu wasz ojciec spłodził dziecko z guwernantką, która tutaj pracowała.

– Rosemary Nelson – powiedział Tyler.

– Tak. Jej córka urodziła się w Szpitalu Świętego Józefa w Milwaukee. Otrzymała imię Julia.

W pokoju zaległo ciężkie milczenie.

– Hej! – krzyknął Woody. – To było dwadzieścia pięć lat temu.

– Dokładnie dwadzieścia sześć.

– Czy ktoś wie, gdzie ona jest? – zapytała Kendall.

Simon Fitzgerald słyszał jeszcze głos Harry’ego Stanforda: „Napisała do mnie, że to dziewczynka. No, jeśli ona sobie wyobraza, że wyciśnie ze mnie choćby centa, to grubo się myli”.

– Nie – odpowiedział powoli Fitzgerald. – Nikt nie wie, gdzie ona jest.

– Więc o czym gadamy, do cholery? – zdenerwował się Woody.

– Chciałem tylko przypomnieć państwu, że jeśli Julia się zjawi, to będzie miała prawo do równej części majątku.

– Uważam, że nie mamy się czym przejmować – oświadczył Woody z przekonaniem. – Ona pewnie nawet nie wie, kto był jej ojcem.

Tyler odwrócił się do Simona Fitzgeralda.

– Powiedział pan, że nie zna dokładnej wielkości majątku. Mogę zapytać, dlaczego?

– Ponieważ nasza firma prowadziła tylko osobiste sprawy pańskiego ojca. Sprawy korporacyjne reprezentowały dwie inne firmy prawnicze. Skontaktowałem się z nimi i poprosiłem, żeby jak najszybciej przygotowali szczegółowy raport finansowy.

– Ile mniej więcej czasu to zajmie? – zapytała niecierpliwie Kendall. Potrzebujemy natychmiast 100 000 \$ na pokrycie wydatków.

– Prawdopodobnie dwa do trzech miesięcy.

Marc ujrzał konsternację na twarzy żony. Odwrócił się do Fitzgeralda.

– Nie można jakoś tego przyspieszyć?

– Obawiam się, że nie – odparł Steve Sloane. – Testament musi przejść przez sąd spadkowy dla potwierdzenia wiarytelności, a oni mają sporo roboty.

– Co to znaczy wiarytelność? – zapytała Peggy.

– „Wiarytelność” pochodzi od słowa „wierzyć” i oznacza...

– Ona nie prosiła o cholerną lekcję angielskiego! – wybuchnął Woody. – Dlaczego nie możemy tego załatwić od ręki?

Tyler odwrócił się do brata.

– Prawo nie działa w ten sposób. Kiedy nastąpił zgon, należy złożyć testament w sądzie spadkowym. Po oszacowaniu wartości wszelkich aktywów – nieruchomości, udziałów w firmie, biżuterii, gotówki – sporządza się inwentarz majątku i przedkłada w sądzie. Trzeba uiścić podatki i wypełnić dokumenty. Następnie pisze się podanie o zezwolenie na podział majątku pomiędzy spadkobierców.

– A co mi tam. – Woody znów był pogodny. – Czekałem prawie czterdzieści lat, żeby zostać milionerem. Mogę zaczekać jeszcze miesiąc czy dwa.

Simon Fitzgerald wstał.

– Poza zapisami dla państwa wasz ojciec ustanowił kilka drobnych legatów, które nie naruszają masy majątkowej. – Prawnik rozejrzał się po pokoju. – No, jeśli nie ma więcej pytań...

Tyler podniósł się z fotela.

– Chyba nie. Dziękujemy panom. Pozostaniemy w kontakcie na wypadek jakichś kłopotów.

Fitzgerald skinął głową w stronę zebranych.

– Żegnam państwa.

Odwrócił się i ruszył do drzwi. Steve Sloane poszedł za nim.

Na podjeździe przed domem Simon Fitzgerald zagadnął Steve'a:

– No, co myślisz o tej rodzinie?

– Wyglądało to bardziej na święto niż na żałobę. Jedno mnie dziwi, Simon. Jeżeli ojciec nienawidził ich tak samo, jak oni nienawidzili jego, dlaczego zapisał im wszystkie pieniądze?

Simon Fitzgerald wzruszył ramionami.

– Tego nigdy się nie dowiemy. Może dlatego chciał się ze mną spotkać, żeby zapisać majątek komuś innemu.

Tej nocy żadne z nich nie mogło zasnąć, przytłoczone nawałą myśli.

Tyler rozmyślał: Stało się. Naprawdę! Teraz mogę ofiarować Lee cały świat. Wszystko! Wszystko, czego zapragnie!

Kendall rozmyślała: Jak tylko dostanę pieniądze, znajdę jakiś sposób, żeby spłacić ich ostatecznie, i już nigdy nie będą mnie dręczyć.

Woody rozmyślał: Będę miał najlepszą stadninę kuców do pola na świecie. Nigdy więcej pożyczania! Zostanę dziesięciobramkowym graczem! Zerknął na Peggy. Przede wszystkim pozbędę się tej głupiej dziwki. Potem pomyślał: Nie, tego nie mogę zrobić.

...Wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił do sypialni, czuł się cudownie.

Następnego ranka przy śniadaniu panowała radosna atmosfera.

– No – zaczął pogodnie Woody – pewnie wszyscy porobiliście jakieś plany.

Marc wzruszył ramionami.

– Jak można coś planować z taką sumą? To straszne pieniądze.

Tyler podniósł wzrok.

– Na pewno zmienią całe nasze życie.

Woody przytaknął.

– Drań powinien nam je dać, kiedy jeszcze żył, byśmy mogli się nimi nacieszyć. Wiem, że nieładnie nienawidzić zmarłego, ale muszę wam powiedzieć...

– Woody – rzuciła karcąco Kendall.

– Skończmy z tą hipokryzją. Wszyscy go nie znosiliśmy. Zasłużył sobie na to. Popatrzcie tylko, co próbował...

Clark wszedł do pokoju i przybrał uniżoną pozę.

– Przepraszam – powiedział. – Przyszła panna Julia Stanford.

POŁUDNIE

Rozdział trzynasty

– Julia Stanford?

Popatrzyli na siebie w oszołomieniu.

– Akurat! – wybuchnął Woody.

Tyler powiedział szybko:

– Proponuję, żebyśmy przeszli do biblioteki. – Spojrzał na Clarka. – Przyślij tam tę młodą damę, dobrze?

– Tak, proszę pana.

Staneła w drzwiach, spoglądając na każdego z nich po kolei z niepewną miną.

– Chyba... chyba nie powinnam była przychodzić – powiedziała.

– Święta racja! – prychnął Woody. – Kim pani jest, do cholery?

– Jestem Julia Stanford. – Niemal jąkała się ze zmieszania.

– Nie, pytam, kim pani jest naprawdę?

Zaczęła coś mówić, potem potrząsnęła głową.

– Ja... moją matką była Rosemary Nelson. Harry Stanford był moim ojcem.

Rodzeństwo wymieniło spojrzenia.

– Ma pani na to jakiś dowód? – zapytał Tyler.

Przełknęła ślinę.

– Chyba nie mam żadnego prawdziwego dowodu.

– Oczywiście, że pani nie ma – warknął Woody. – Jak pani śmiała...

Kendall przerwała:

– To spory wstrząs dla nas wszystkich, sama pani rozumie. Jeśli pani mówi prawdę, to pani jest naszą... naszą przyrodnią siostrą.

Julia kiwnęła głową.

– Pani jest Kendall. – Spojrzała na Tylera. – Pan jest Tyler. – Odwróciła się do Woody'ego. – A pan jest Woodrow. Nazywają pana Woody.

– Jak można przeczytać w magazynie „People” – stwierdził sarkastycznie Woody.

Tyler zabrał głos:

– Z pewnością rozumie pani naszą sytuację, panno... ee... Bez formalnego dowodu nie możemy niestety zaakceptować...

– Rozumiem. – Rozejrzała się nerwowo. – Sama nie wiem, dlaczego tutaj przyszłam.

– Och, myślę, że pani wie – odparł Woody. – To się nazywa pieniądze.

– Nie zależy mi na pieniądzech – obruszyła się. – Tak naprawdę przyszłam, bo... chciałam poznać moją rodzinę.

Kendall przyglądała się jej badawczo.

– Gdzie jest pani matka?

– Umarła. Kiedy przeczytałam, że nasz ojciec nie żyje...

– Postanowiła pani nas obejrzyć – rzucił drwiąco Woody.

– Więc nie ma pani żadnego formalnego dowodu tożsamości? – podjął Tyler.

– Formalnego? Nie... chyba nie. Nie pomyślałam o tym. Ale są pewne fakty, których nie mogłabym znać, gdybym nie dowiedziała się o nich od matki.

– Na przykład? – podsunął Marc.

Namyślała się przez chwilę.

– Pamiętam, że moja matka opowiadała o cieplarni za domem. Kochała rośliny i kwiaty, spędziła tam wiele godzin...

– Fotografie tej cieplarni były w wielu czasopismach – wtrącił Woody.

– Co jeszcze opowiadała pani matka? – zapytał Tyler.

– Och, mówiła tyle rzeczy! Uwielbiała opowiadać o was wszystkich i wspominać dobre czasy. – Zastanowiła się. – Pewnego dnia zabrała was na łódki, kiedy byliście jeszcze mali. Jedno z was o mało nie wypadło za burtę. Nie pamiętam, które.

Woody i Kendall spojrzeli na Tylera.

– To byłem ja – powiedział.

– Zabrała was na zakupy do Filene. Jedno się zgubiło i wszyscy wpadli w panikę.

Kendall powiedziała powoli:

– To ja się zgubiłam tamtego dnia.

– Co jeszcze? – zapytał Tyler.

– Zabrała was do rybnej restauracji i pierwszy raz w życiu jedliście ostrygi, i pochorowaliście się.

– Pamiętam.

Popatrzyli po sobie w milczeniu.

Spojrzała na Woody'ego.

– Pojechał pan z moją matką do portu w Charlestown, żeby obejrzyć okręt USS „Constitution”, i nie chciał pan wracać. Musiała pana odciągać siłą. – Odwróciła się do Kendall. – A pani pewnego dnia zrywała kwiaty w miejskim ogrodzie i o mało pani nie aresztowali.

Kendall przelknęła ślinę.

– Zgadza się.

Teraz wszyscy słuchali jej uważnie, zafascynowani.

– Pewnego dnia matka zabrała was do Muzeum Historii Naturalnej, a wy przeraziliście się szkieletów mastodonta i węża morskiego.

Kendall powiedziała powoli:

– Potem nie mogliśmy spać w nocy.

Julia odwróciła się do Woody’ego.

– Kiedyś na gwiazdkę zabrała pana na łyżwy. Upadł pan i złamał ząb. Kiedy pan miał siedem lat, spadł pan z drzewa i trzeba było zszywać nogę. Miał pan bliznę.

– Ciągle mam – przyznał niechętnie Woody.

Odwróciła się do pozostałych.

– Jedno z was ugryzł pies. Nie pamiętam, które. Matka zawiozła go na ostry dyżur w Szpitalu Massachusetts.

Tyler kiwnął głową.

– Musiałem brać zastrzyki przeciwko wściekliznie.

Teraz jej słowa płynęły strumieniem.

– Woody, w wieku ośmiu lat uciekł pan z domu. Chciał pan pojechać do Hollywood, żeby zostać aktorem. Pana ojciec był wściekły. Odesłał pana do pokoju bez obiadu. Moja matka przemyciła panu trochę jedzenia.

Woody przytaknął w milczeniu.

– Nie wiem... co jeszcze mogę wam powiedzieć. Ja... – Nagle coś sobie przypomniała. – Mam zdjęcie. – Otworzyła torebkę, wyjęła zdjęcie i podała Kendall.

Wszyscy podeszli bliżej, żeby je obejrzeć. Zdjęcie pokazywało ich troje, kiedy byli dziećmi, stojących obok atrakcyjnej młodej kobiety w stroju guwernantki.

– Matka mi to dała.

Tyler zapytał:

– Zostawiła pani coś jeszcze?

Julia potrząsnęła głową.

– Nie. Przepraszam. Nie chciała, żeby coś jej przypominało Harry’ego Stanforda.

– Oczywiście oprócz pani – rzucił Woody.

Odwróciła się do niego gwałtownie.

– Wszystko mi jedno, czy mi wierzycie. Pan nie rozumie. Miałam... miałam taką nadzieję... – urwała.

Tyler ponownie zabrał głos:

– Jak powiedziała moja siostra, pani niespodziewana wizyta stanowi dla nas pewien wstrząs. To znaczy... ktoś pojawia się znikąd i twierdzi, że jest członkiem rodziny... rozumie pani naszą sytuację. Potrzebujemy trochę czasu, żeby to przedyskutować.

– Oczywiście, rozumiem.

– Gdzie pani mieszka?

– W Tremont House.

– Może pani tam wrócić? Samochód panią odwiezie. Wkrótce się do pani odezwiemy.

Kiwnęła głową.

– Dobrze. – Popatrzyła na każde z nich po kolei, a potem powiedziała cicho: – Nieważne, co myślicie, jesteście moją rodziną.

– Odprowadzę panią do drzwi – zaproponowała Kendall.

Julia uśmiechnęła się.

– Nie trzeba. Sama trafię. Wydaje mi się, jakbym znała każdy centymetr tego domu.

Patrzyli, jak wychodzi z pokoju.

– No – stwierdziła Kendall – wygląda na to... że mamy siostrę.

– Nie wierzę – prychnął Woody.

– Mnie się wydaje... – odezwał się Marc.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Tyler podniósł rękę.

– W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Zastanówmy się logicznie. W pewnym sensie ta osoba staje przed sądem, a my jesteśmy sędziami przysięgłymi. Mamy ustalić, czy jest winna, czy nie. W procesie sądowym decyzja musi być jednomyślna. Wszyscy musimy być zgodni.

– Racja – przytaknął Woody.

– Wobec tego będę głosował jako pierwszy. Uważam, że ta pani jest oszustką.

– Oszustką? Jak to możliwe? – zaprotestowała Kendall. – Przecież nie mogłaby znać tych wszystkich osobistych szczegółów, gdyby tylko udawała.

Tyler odwrócił się do niej.

– Kendall, ilu służących przewinęło się przez ten dom, kiedy byliśmy dziećmi?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Dlaczego pytasz?

– Dziesiątki, prawda? I niektórzy z nich wiedzieli o wszystkim, co nam opowiedziała ta młoda dama. Mieliśmy szoferów, lokajów, kucharki, pokojówki. Każde z nich mogło jej dać tę fotografię.

– To znaczy... uważasz, że jest z kimś w zмовie?

– Z jedną osobą lub kilkoma – potwierdził Tyler. – Nie zapominajmy, że chodzi o ogromną sumę pieniędzy.

– Mówiła przecież, że nie chce pieniędzy – przypomniał im Marc.

Woody kiwnął głową.

– Jasne, ona tak mówiła. – Popatrzył na Tylera. – Ale jak udowodnimy, że jest oszustką? Nie ma sposobu...

– Owszem, jest sposób – odparł Tyler z namysłem.

Wszyscy odwrócili się do niego.

- Jaki? – zapytał Marc.
- Jutro wam powiem.

Simon Fitzgerald powiedział powoli:

- Mówi pan, że Julia Stanford pojawiła się po tylu latach?
- Kobieta, która twierdzi, że jest Julią Stanford – sprostował Tyler.
- I pan jej nie wierzy? – zapytał Steve Sloane.

– Ani trochę. Jedyne tak zwane dowody tożsamości, które przedstawiła, to zdarzenia z naszego dzieciństwa, znane co najmniej kilkunastu byłym służącym, oraz stara fotografia, która sama w sobie nie stanowi żadnego dowodu. Ona może być z kimś w zмовie. Zamierzam udowodnić, że jest oszustką.

Steve zmarszczył brwi.

- Jak zamierza pan to zrobić?
- To bardzo proste. Zażądam przeprowadzenia testu DNA.

Steve Sloane był zdumiony.

- To oznaczałoby ekshumację pańskiego ojca.
- Tak. – Tyler odwrócił się do Simona Fitzgeralda. – Będą z tym kłopoty?
- W tych okolicznościach prawdopodobnie uzyskam zezwolenie. Czy ona zgodziła się poddać testowi?
- Jeszcze jej nie pytałem. Jeśli odmówi, to znaczy, że obawia się wyników. – Tyler zawahał się. – Muszę wyznaczyć, że niechętnie to robię. Uważam jednak, że to jedyny sposób ustalenia prawdy.

Fitzgerald zastanawiał się przez chwilę.

- Doskonale. Załatwisz to? – zwrócił się do Steve'a.
- Oczywiście. – Steve spojrzał na Tylera. – Chyba zna pan procedurę. Najbliższy krewny... w tym przypadku któreś z osieroconych dzieci... musi złożyć w biurze koronera podanie o zezwolenie na ekshumację. Prośbę należy umotywować. Jeżeli koroner udzieli zgody, jego biuro skontaktuje się z domem pogrzebowym i przekaże im zezwolenie. Ktoś z biura koronera musi być obecny przy ekshumacji.
- Ile czasu to zajmie? – zapytał Tyler.
- Powiedziałbym, że jakieś trzy do czterech dni, zanim uzyska pan zgodę. Dzisiaj jest środa. Powinniśmy załatwić ekshumację na poniedziałek.
- Dobrze. – Tyler zawahał się. – Będziemy potrzebowali eksperta od DNA, kogoś, kto potrafi przekonać sąd, jeżeli sprawa zajdzie tak daleko. Miałem nadzieję, że kogoś mi polecicie.
- Znam odpowiedniego człowieka – oznajmił Steve. – Nazywa się Perry Winger. Mieszka tutaj, w Bostonie. Występował jako biegły sądowy w procesach w całym kraju. Zadzwoń do niego.

– Będę panu zobowiązany. Im szybciej to załatwimy, tym lepiej dla wszystkich.

O dziesiątej rano następnego dnia Tyler wszedł do biblioteki w Rose Hill, gdzie czekali już Woody, Peggy, Kendall i Marc. Razem z Tylerem zjawił się nieznajomy mężczyzna.

– Przedstawiam wam Perry’ego Wingera – powiedział Tyler.

– Kto to jest? – zapytał Woody.

– To nasz ekspert od DNA.

Kendall spojrzała na Tylera.

– Po co nam ekspert od DNA?

Tyler odpowiedział:

– Żeby udowodnić, iż ta wygadana obca osoba, która pojawiła się znikąd, jest oszustką. Nie pozwolę, by to jej uszło płazem.

– Chcesz wykopać starego? – zapytał Woody.

– Właśnie. Nasi prawnicy już załatwiają zezwolenie na ekshumację. Jeżeli ta kobieta jest naszą przyrodnią siostrą, DNA to udowodni. Jeżeli nie, również to udowodni.

Marc odezwał się:

– Obawiam się, że nie rozumiem, o co chodzi z tym DNA.

Perry Winger odchrząknął.

– W uproszczeniu, kwas dezoksyrybonukleinowy – czyli DNA – stanowi molekułę dziedziczności. Każda cząsteczka kwasu zawiera niepowtarzalny kod genetyczny danego osobnika. DNA można wyodrębnić ze śladowych ilości krwi, nasienia, śliny, korzonków włosów, nawet kości. Te substancje zachowują się w włókach przez ponad pięćdziesiąt lat.

– Rozumiem. Więc to całkiem proste – stwierdził Marc.

Perry Winger zmarszczył brwi.

– Wcale nie, proszę mi wierzyć. Istnieją dwa rodzaje testów DNA. Test PCR, który daje wyniki po trzech dniach, oraz bardziej skomplikowany test RFLP, który zajmuje sześć do ośmiu tygodni. Do naszych celów wystarczy prostszy test.

– Jak się go przeprowadza? – zapytała Kendall.

– W kilku etapach. Najpierw pobiera się próbki i rozcina łańcuch DNA na kawałki. Te kawałki są sortowane według długości poprzez umieszczenie na warstwie żelu i podłączenie prądu elektrycznego. DNA, które ma ujemny ładunek, przesuwa się w stronę dodatniej elektrody i po kilku godzinach fragmenty łańcucha układają się według długości. – Winger nabierał rozpędu. – Za pomocą alkalicznych chemikaliów rozszczepia się fragmenty DNA, następnie przenosi się je na nylonową podkładkę zanurzoną w kąpeli i radioaktywne sondy...

Spojrzenia słuchaczy stawały się coraz bardziej szkliste.

– Jak dokładny jest test? – wtrącił Woody.

– Stuprocentowo dokładny przy ustalaniu, że dany mężczyzna nie jest ojcem. Jeżeli wynik wypadnie pozytywnie, dokładność wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć

dziesiątych procenta.

Woody odwrócił się do brata.

– Tyler, jesteś sędzią. Przyjmijmy dla dobra dyskusji, że ona naprawdę jest córką Harry’ego Stanforda. Jej matka i nasz ojciec nigdy nie byli małżeństwem. Dlaczego ona ma coś dostać?

– Na mocy prawa – wyjaśnił Tyler – jeżeli ojcostwo zostanie potwierdzone, ona dziedziczy taką samą część spadku, co każde z nas.

– No to zróbmy ten cholerny test DNA, żeby ją zdemaskować!

Tyler, Woody, Kendall, Marc i Julia siedzieli przy stoliku w restauracji w Tremont House.

Peggy została w Rose Hill. „Całe to gadanie o wykopywaniu zwłok przyprawia mnie o dreszcze”, oświadczyła.

Teraz znaleźli się twarzą w twarz z kobietą, która twierdziła, że nazywa się Julia Stanford.

– Nie rozumiem, czego ode mnie chcecie.

– To bardzo proste – zapewnił ją Tyler. – Lekarz pobierze od pani próbkę skóry, żeby porównać z próbką naszego ojca. Jeżeli molekuly DNA będą pasowały, to znaczy, że pani naprawdę jest jego córką. Z drugiej strony, jeżeli nie chce pani poddać się testowi...

– Ja... wolałabym tego nie robić.

– Dlaczego? – wtrącił Woody.

– Nie wiem. – Zadrżała. – Sam pomyśl, by wykopać zwłoki mojego ojca...

– Chcemy udowodnić pani tożsamość.

Popatrzyła na ich twarze.

– Szkoda, że...

– Tak?

– Nie mam innego sposobu, by was przekonać, prawda?

– Tak – potwierdził Tyler. – Niech się pani zgodzi na test.

Zapadło długie milczenie.

– W porządku. Zgadzam się.

Zezwolenie na ekshumację okazało się nadspodziewanie trudne do uzyskania. Simon Fitzgerald osobiście rozmawiał z koronerem.

– Nie! Na litość boską, Simon! Nie mogę tego zrobić! Wiesz, jaki smród się rozniesie? My tutaj nie mamy do czynienia z panem Nikim, tylko z Harrym Stanfordem. Jeżeli będą jakieś przecieki, prasa obedrze nas ze skóry!

– Marvin, to ważne. Chodzi o miliony dolarów. Więc dopilnuj, żeby nie było przecieków.

– Czy nie można w inny sposób...?

– Niestety nie. Ta kobieta jest bardzo przekonująca.

– Ale rodziny nie przekonała.

– Nie.

– Uważasz, że to oszustka, Simon?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale moja opinia się nie liczy. W istocie niczyja opinia się nie liczy. Sąd zażąda dowodu, czyli wyników testu DNA.

Koroner potrząsnął głową.

– Znałem starego Harry’ego Stanforda. On nigdy by się nie zgodził. Naprawdę nie powinienem pozwolić...

– Ale pozwolisz.

Koroner westchnął.

– Chyba tak. Zrobisz mi przysługę?

– Oczywiście.

– Załatw wszystko po cichu. Bez tego cyrku z prasą.

– Masz moje słowo. Ściśle tajne. Zawiadomię tylko rodzinę.

– Kiedy chcesz to zrobić?

– Planowaliśmy na poniedziałek.

Koroner znowu westchnął.

– No dobrze. Zadzwoń do domu pogrzebowego. Jesteś mi winien przysługę, Simon.

– Nie zapomnę.

W poniedziałek o dziewiątej rano wejście do sekcji cmentarza Mount Auburn, gdzie pochowano Harry’ego Stanforda, było czasowo zamknięte z powodu „prac konserwatorskich”. Nikogo nie wpuszczano na teren. Woody, Peggy, Tyler, Kendall, Marc, Julia, Simon Fitzgerald, Steve Sloane i doktor Collins, przedstawiciel biura koronera, stali nad grobem Harry’ego Stanforda patrząc, jak grabarze wyciągają trumnę. Perry Winger czekał z boku.

Kiedy trumnę wydobyto z ziemi, brygadzysta zwrócił się do zebranych:

– Co mamy teraz robić?

– Proszę otworzyć – polecił Fitzgerald. Odwrócił się do Perry’ego Wingera: – Ile czasu to zajmie?

– Najwyżej minutę. Wezmę tylko próbkę skóry.

– W porządku – powiedział Fitzgerald. Kiwnął głową do brygadzysty: – Otwierajcie.

Grabarze zaczęli odbijać wieko trumny.

– Nie chcę tego oglądać – powiedziała Kendall. – Czy musimy?

– Tak! – odparł Woody. – Naprawdę musimy.

Wszyscy patrzyli zafascynowani, jak grabarze powoli unoszą wieko trumny i odsuwają na bok. Wyrzeczyli oczy.

– O mój Boże! – krzyknęła Kendall.

Trumna była pusta.

Rozdział czternasty

Tyler właśnie skończył rozmawiać przez telefon.

– Fitzgerald mówi, że nie będzie żadnych przecieków do prasy. Zarząd cmentarza z pewnością nie życzy sobie takiej reklamy. Koroner kazał doktorowi Collinsowi trzymać gębę na kłódkę, a Wingerowi można zaufać, że się nie wygada.

Woody nie zwracał uwagi na brata.

– Nie wiem, jak ta dziwka to zrobiła! – syknął. – Ale nie ujdzie jej to na sucho. – Zmierzył pozostałych gniewnym wzrokiem. – Pewnie nie wierzycie, że to ukartowała?

Tyler powiedział powoli:

– Obawiam się, że muszę zgodzić się z tobą Woody. Nikt inny nie miał motywu, żeby ukraść ciało. Ta kobieta jest sprytna i pomysłowa, i na pewno nie działa w pojedynkę. Nie wiadomo, z czym właściwie walczymy.

– Co teraz zrobimy? – zapytała Kendall.

Tyler wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Chciałbym wiedzieć. Ona na pewno odda sprawę do sądu, żeby podważyć testament.

– Ma jakieś szansę? – zapytała Peggy.

– Niestety tak. Jest bardzo przekonująca. Przekonała niektórych z nas.

– Na pewno możemy coś zrobić – zawołał Marc. – Może wciągnijmy w to policję?

– Fitzgerald mówi, że policja już bada zniknięcie ciała, ale utknęli w martwym punkcie. Przepraszam za ten dwuznacznik – ciągnął Tyler. – Co więcej, policja chce wyciszyć całą sprawę, bo inaczej każdy świr w mieście zacznie szukać ciała.

– Możemy im kazać, żeby śledzili tę oszustkę!

– To nie jest zadanie dla policji. – Tyler potrząsnął głową. – To prywatna... – urwał, potem dodał z namysłem: – No wiecie...

– Co?

– Możemy wynająć prywatnego detektywa, żeby spróbował ją zdemaskować.

– Niezły pomysł. Znasz jakiegoś?

– Nie, nie na miejscu. Możemy poprosić Fitzgeralda, żeby kogoś znalazł. Albo... – zawahał się. – Nigdy go nie spotkałem, ale słyszałem o prywatnym detektywie, którego często zatrudnia prokurator okręgowy w Chicago. Facet ma doskonałą reputację.

– Dlaczego go nie wynająć? – zaproponował Marc.

Tyler rozejrzył się.

– To zależy od was wszystkich.

– Co mamy do stracenia? – odezwała się Kendall.

– On może być kosztowny – ostrzegł Tyler.

Woody prychnął.

– Kosztowny? Chodzi o miliony dolarów.

– Oczywiście. – Tyler przytaknął. – Masz rację.

– Jak on się nazywa?

– Nie pamiętam. Simpson... Simmons... Nie, inaczej. Coś w tym rodzaju. Zadzwońię do prokuratury okręgowej w Chicago.

Patrzyli, jak Tyler podnosi słuchawkę telefonu i wystukuje numer. Dwie minuty później rozmawiał z zastępcą prokuratora okręgowego.

– Mówi sędzia Tyler Stanford. Słyszałem, że wasze biuro wynajmuje czasami prywatnego detektywa, który robi dla was wspaniałą robotę. Nazywa się Simmons czy tak jakoś...

Głos na drugim końcu linii powiedział:

– Och, pewnie chodzi panu o Franka Timmonsa.

– Timmons! Tak, to on. – Tyler uśmiechnął się. – Czy może pan podać mi jego telefon?

Zapisawszy numer, Tyler odłożył słuchawkę. Odwrócił się do rodzeństwa i oświadczył:

– No, jeśli wszyscy się zgadzacie, zadzwonię do niego.

Zgodnie kiwnęli głowami.

Tego samego dnia po południu Clark wszedł do bawialni.

– Przyszedł pan Timmons.

Był to mężczyzna około czterdziestki, zbudowany solidnie jak bokser. Miał bladą cerę, złamany nos i bystre, przenikliwe oczy. Spojrzał kolejno na Tylera, Marca i Woody'ego pytającym wzrokiem.

– Sędzia Stanford?

– To ja – odezwał się Tyler.

– Frank Timmons – przedstawił się przybysz.

– Proszę usiąść, panie Timmons.

– Dziękuję. – Przybyły usiadł. – To pan telefonował, tak?

– Owszem.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co mogę dla pana zrobić. Nie mam tutaj żadnych

oficjalnych kontaktów.

– Sprawa jest całkowicie nieoficjalna – zapewnił go Tyler. – Chcemy tylko zbadać życiorys pewnej młodej kobiety.

– Powiedział mi pan przez telefon, że ona podaje się za państwa przyrodnią siostrę i że nie można przeprowadzić testu DNA.

– Zgadza się – potwierdził Woody.

– A państwo nie wierzycie, że ona jest waszą przyrodnią siostrą?

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia.

– Nie, nie wierzymy – przyznał Tyler. – Z drugiej strony jest to możliwe. Chcemy, żeby dostarczył pan niepodważalnego dowodu na to, czy ona mówi prawdę, czy kłamie.

– Zrozumiałe. To będzie was kosztować tysiąc dolarów dziennie plus wydatki.

– Tysiąc...? – powtórzył Tyler.

– Zapłacimy – uciął Woody.

– Potrzebuję wszelkich informacji o tej kobiecie.

– Nie jest tego dużo – odezwała się Kendall.

– Ona nie przedstawiła żadnego dowodu – wtrącił Tyler. – Naopowiadała mnóstwo historyjek z czasów naszego dzieciństwa, które podobno usłyszała od matki...

Timmons podniósł rękę.

– Chwileczkę. Kim była jej matka?

– Jej rzekoma matka była naszą guwernantką. Nazywała się Rosemary Nelson.

– Co się z nią stało?

Wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Miała romans z naszym ojcem i zaszła w ciążę – powiedział Woody. – Uciekła i urodziła dziewczynkę. – Wzruszył ramionami. – Zniknęła.

– Rozumiem. A ta kobieta twierdzi, że jest jej córką?

– Właśnie.

– Nie jest to zbyt wiele. – Timmons przez chwilę zastanawiał się. Wreszcie podniósł wzrok. – No dobrze. Zobaczę, co się da zrobić.

– Tylko o to prosimy – powiedział Tyler.

Pierwszym jego krokiem była wizyta w Bostońskiej Bibliotece Publicznej, gdzie przeczytał wszystkie mikrofiszki o skandalu sprzed dwudziestu sześciu lat, dotyczącym Harry'ego Stanforda, guwernantki oraz samobójstwa pani Stanford. Znalezione materiały wystarczyłyby na powieść.

Następnym etapem była rozmowa z Simonem Fitzgeraldem.

– Nazywam się Frank Timmons. Jestem...

– Wiem, kim pan jest, panie Timmons. Sędzia Stanford prosił mnie, żebym z panem współpracował. Co mogę dla pana zrobić?

– Chciałbym wytropić nieślubną córkę Harry’ego Stanforda. Ona ma teraz jakieś dwadzieścia sześć lat, prawda?

– Tak. Urodziła się 9 sierpnia 1969 roku w Szpitalu Świętego Józefa w Milwaukee, stan Wisconsin. Matka dała jej na imię Julia. – Wzruszył ramionami. – Potem obie znikły. Niestety nie posiadamy więcej informacji.

– To dopiero początek – powiedział Timmons. – Początek.

Pani Dougherty, dyrektorka Szpitala Świętego Józefa w Milwaukee, była siwowłosą kobietą około sześćdziesiątki.

– Tak, oczywiście, że pamiętam – powiedziała. – Jak mogłabym zapomnieć? Wybuchł straszny skandal. Wszystkie gazety o tym pisały. Miejscowi reporterzy dowiedzieli się, kim ona jest, i nie dawali spokoju tej biednej dziewczynie.

– Dokąd pojechała, kiedy stąd wyszła z dzieckiem?

– Nie wiem. Nie zostawiła adresu.

– Czy przed wyjazdem zapłaciła wszystkie szpitalne rachunki, pani Dougherty?

– Właściwie... nie zapłaciła.

– Dlaczego zapamiętała to pani?

– Ponieważ to było takie smutne. Pamiętam, jak siedziała na tym samym krześle, na którym pan teraz siedzi, i mówiła, że może zapłacić tylko część rachunku, ale obiecała wysłać mi pieniądze na pokrycie reszty należności. Oczywiście było to niezgodne ze szpitalnymi przepisami, ale tak bardzo jej żałowałam, była taka chora, kiedy stąd odchodziła, że powiedziałam „tak”.

– I przysłała resztę pieniędzy?

– Oczywiście, że przysłała. Jakies dwa miesiące później. Teraz sobie przypominam. Dostała gdzieś pracę jako sekretarka.

– Przypadkiem nie pamięta pani, gdzie to było?

– Nie. Boże drogi, to się działo dwadzieścia pięć lat temu, panie Timmons.

– Pani Dougherty, czy przechowuje pani karty wszystkich pacjentów?

– Oczywiście. – Spojrzała na niego. – Chce pan, żebym zajrzała do rejestru?

– Gdyby pani mogła. – Detektyw uśmiechnął się przymilnie.

– Czy to pomoże Rosemary?

– To dla niej bardzo ważne.

– Przepraszam na chwilę. – Pani Dougherty wyszła z gabinetu.

Wróciła po piętnastu minutach, niosąc kartkę papieru.

– Jest tutaj. Rosemary Nelson. Adres zwrotny: Agencja Maszynopisania Elita, Omaha w stanie Nebraska.

Agencję Maszynopisania Elita prowadził pan Otto Broderick, mężczyzna około

sześćdziesiątki.

– Tyle osób przewinęło się przez nasze biuro – protestował. – Jak mam pamiętać kogoś, kto tutaj pracował tak dawno temu?

– To był dosyć wyjątkowy przypadek. Samotna kobieta przed trzydziestką, słabego zdrowia. Niedawno urodziła dziecko i...

– Rosemary!

– Zgadza się. Dlaczego pan ją zapamiętał?

– Lubię zabawę w skojarzenia, panie Timmons. Wie pan, co to jest mnemotechnika?

– Tak.

– No więc właśnie to stosuję. Kojarzę słowa. Był taki film: „Dziecko Rosemary”. Kiedy Rosemary tutaj przyszła i powiedziała mi, że urodziła dziecko, połączyłem ze sobą te dwie rzeczy i...

– Jak długo Rosemary Nelson pracowała u pana?

– Och, chyba około roku. Potem prasa wywęszyła, kim ona jest, jakoś to wykryli i nie dawali jej spokoju. Uciekła z miasta w środku nocy.

– Panie Broderick, czy nie orientuje się pan, dokąd pojechała?

– Chyba na Florydę. Szukała cieplejszego klimatu. Zarekomendowałem ją w agencji, którą tam znałem.

– Pamięta pan jakiej?

– Naturalnie. Agencja Gale. Pamiętam, bo skojarzyłem to z wielkimi sztormami*, które mają na Florydzie co roku.

W dziesięć dni po spotkaniu z rodziną Stanfordów wrócił do Bostonu. Uprzedził ich telefonicznie, więc czekali na niego. Siedzieli półkołem, obserwując go, kiedy wszedł do bawialni w Rose Hill.

– Podobno ma pan dla nas nowiny, panie Timmons – zagał Tyler.

– Owszem. – Detektyw otworzył teczkę i wyjął kilka dokumentów. – To wyjątkowo interesująca sprawa – ciągnął. – Jak tylko zacząłem...

– Do rzeczy – przerwał mu niecierpliwie Woody. – Czy ona jest oszustką, czy nie?

Timmons podniósł wzrok.

– Jeśli pan pozwoli, panie Stanford, wolałbym to przedstawić na swój własny sposób.

Tyler rzucił Woody’emu ostrzegawcze spojrzenie.

– Oczywiście. Proszę kontynuować.

Patrzyli, jak Timmons przegląda notatki.

– Guwernantka państwa Stanfordów, Rosemary Nelson, urodziła córkę spłodzoną przez Harry’ego Stanforda. Wyjechała z dzieckiem do Omaha w Nebrasce, gdzie pracowała w Agencji Maszynopisania Elita. Jej pracodawca powiedział mi, że klimat jej nie służył.

* gale (ang.) – burza, sztorm (przyp. tłum.)

Następnie odnalazłem ślad na Florydzie, gdzie pracowała w Agencji Gale. Często się przeprowadzała razem z córką. Prześledziłem ich trop do San Francisco, gdzie mieszkały jeszcze dziesięć lat temu. Na tym trop się urwał. Obie zniknęły.

– To wszystko, Timmons? – wybuchnął Woody. – Zgubił pan trop przed dziesięcioma laty?

– Nie, to nie wszystko. – Detektyw sięgnął do teczki i wyjął następną kartkę. – Córka Julia złożyła podanie o prawo jazdy, kiedy miała siedemnaście lat.

– Co nam to daje? – zapytał Marc.

– W stanie Kalifornia kierowcom zdejmuje się odciski palców. – Podniósł dokument. – To są odciski palców prawdziwej Julii Stanford.

– Rozumiem! – Tyler zawołał z podnieceniem: – Więc jeśli odciski się zgadzają...

– Ona jest naszą prawdziwą siostrą – dokończył Woody.

Detektyw kiwnął głową.

– Właśnie. Przyniosłem ze sobą przenośny zestaw do daktyloskopii na wypadek, gdybyście chcieli od razu ją sprawdzić. Czy ona jest tutaj?

– Mieszka w pobliskim hotelu – powiedział Tyler. – Rozmawiałem z nią codziennie rano i namawiałem, żeby tam została, dopóki nie wyjaśnimy sprawy.

– Mamy ją! – zawołał Woody. – Jedźmy tam zaraz!

Pół godziny później weszli do hotelowego pokoju w Tremont House. Lokatorka właśnie pakowała walizkę.

– Dokąd pani się wybiera? – zapytała całkiem zaskoczona Kendall.

Kobieta popatrzyła na nich.

– Do domu. Zrobiłam błąd, że w ogóle tutaj przyjechałam.

– Nie może pani mieć do nas pretensji... – zaczął Tyler.

Szarpnęła się ze złością.

– Nie spotkało mnie tu nic poza insynuacjami. Myślicie, że przyjechałam odebrać wam pieniądze. No więc nie. Przyjechałam, bo chciałam odnaleźć swoją rodzinę... Zresztą nieważne. – Wróciła do pakowania.

– To jest Frank Timmons – powiedział Tyler – prywatny detektyw.

Kobieta podniosła wzrok.

– Co takiego? Czy jestem aresztowana?

– Nie, proszę pani. Julia Stanford otrzymała prawo jazdy w San Francisco, kiedy miała siedemnaście lat.

Kobieta znieruchomiała.

– Tak, otrzymałam. Czy to przestępstwo?

– Nie, proszę pani. Chodzi o to, że...

– Chodzi o to – nie wytrzymał Tyler – że na tym prawie jazdy są odciski palców Julii

Stanford.

Spojrzała na nich.

– Nie rozumiem. Co...?

Woody zabrał głos:

– Chcemy je porównać z pani odciskami palców.

Zacisnęła usta.

– Nie! Nie zgadzam się!

– To znaczy, że nie pozwoli pani zdjąć swoich odcisków palców?

– Właśnie.

– Dlaczego nie? – zapytał Marc.

Całe jej ciało zeszywniało.

– Ponieważ wszyscy traktujecie mnie jak kryminalistkę. Mam już tego dość! Zostawcie mnie w spokoju.

Kendall powiedziała łagodnie:

– Ma pani szansę, żeby udowodnić swoją prawdziwą tożsamość. Dla nas to jest równie nieprzyjemne jak dla pani. Chcielibyśmy wreszcie to załatwić.

Popatrzyła kolejno na ich twarze. W końcu powiedziała ze znużeniem:

– No dobrze.

– Doskonale.

– Panie Timmons... – zaczął Tyler.

– W porządku. – Detektyw wyjął mały zestaw do daktyloskopii i rozłożył na stoliku.

Otworzył pudełko, w którym leżała poduszeczka z tuszem. – Zechce pani podejść tutaj.

Pozostali patrzyli, jak kobieta podchodzi do stolika. Detektyw ujął jej dłoń i jeden po drugim przycisnął jej palce do poduszeczki. Następnie przycisnął je do białej kartki papieru.

– Już po wszystkim. Nie było takie straszne, prawda?

Położył odbitkę prawa jazdy obok świeżych odcisków palców. Podeszli do stolika i spojrzeli na dwa zestawy odcisków.

Były identyczne.

Woody odezwał się pierwszy:

– One... one są jednakowe.

Kendall wpatrywała się w Julię z mieszanymi uczuciami.

– Więc naprawdę jesteś naszą siostrą?

Julia uśmiechnęła się przez łzy.

– Właśnie to próbowałam wam powiedzieć.

Wszyscy nagle zaczęli mówić jednocześnie.

– To niewiarygodne...!

– Po tylu latach...

– Dlaczego twoja matka nigdy nie wróciła...?

– Przepraszamy, że tak cię potraktowaliśmy...

Jej uśmiech rozjaśnił cały pokój.

– Wszystko w porządku. Teraz już wszystko w porządku.

Woody podniósł kartkę z odciskami palców i spojrzał na nią z podziwem.

– Mój Boże! To kartka warta miliard dolarów! – Włożył kartkę do kieszeni. – Każę ją pozłocić.

Tyler odwrócił się do reszty zebranych.

– Powinniśmy to uczcić! Proponuję, żebyśmy wszyscy wrócili do Rose Hill. – Uśmiechnął się do Julii. – Wydamy powitalne przyjęcie na twoją cześć. Chodź, wymeldujemy cię stąd.

Popatrzyła na nich błyszczącymi oczami.

– Zupełnie jakby marzenia się spełniły. Wreszcie mam rodzinę!

Pół godziny później, po powrocie do Rose Hill, Julię zaprowadzono do jej nowego pokoju. Reszta rodzeństwa została na dole, rozmawiając z podnieceniem.

– Zachowaliśmy się gorzej niż inkwizycja – zadumał się Tyler.

– Rzeczywiście – przyznała Peggy. – Nie wiem, jak to wytrzymała.

– Ciekawe, jak ona się przystosuje do nowego życia – zadumała się Kendall.

– Tak samo, jak my wszyscy – odparł sucho Woody. – Z pomocą mnóstwa kawioru i szampana.

Tyler wstał.

– Co do mnie, cieszę się, że wszystko się wyjaśniło. Pójdę na górę i zobaczę, czy nie trzeba jej pomóc.

Wszedł na piętro i ruszył korytarzem do jej pokoju. Zapukał do drzwi i powiedział głośno:

– Julio?

– Otwarte. Wejdz.

Stanął w drzwiach. Oboje popatrzyli na siebie w milczeniu. A potem Tyler starannie zamknął drzwi, wyciągnął ręce i uśmiechnął się powoli.

– Udało się, Margo! – powiedział. – Udało się!

NOC

Rozdział piętnasty

Zaplanował wszystko z nieomylną precyzją mistrza szachowego. Była to najbardziej lukratywna partia szachów w historii. Grał o miliardy dolarów – i wygrał! Przepędziła go świadomość niepokonanej potęgi. Czy tak się czułeś po ubiciu wielkiego interesu, ojczu? No, takiego interesu nigdy w życiu nie zrobiłeś. Zaplanowałem zbrodnię stulecia i uszło mi to na sucho.

W pewnym sensie wszystko zaczęło się od Lee. Piękny, cudowny Lee. Człowiek, którego kochał najbardziej na świecie. Poznali się w Berlinie, gejowskim barze na West Belmont Avenue. Lee był wysoki, muskularny i jasnowłosy – najpiękniejszy mężczyzna, jakiego Tyler widział w życiu.

Znajomość rozpoczęła się od pytania:

– Mogę ci postawić drinka?

Lee przyjrzał się Tylerowi i kiwnął głową.

– Bardzo proszę.

Po drugiej kolejce Tyler zaproponował:

– Może pojedziemy na drinka do mnie?

Lee uśmiechnął się.

– Jestem kosztowny.

– Jak bardzo kosztowny?

– Pięćset dolarów za noc.

Tyler nie wahał się ani przez chwilę.

– Chodźmy.

Spędzili wspólnie noc w domu Tylera.

Lee był ciepły, czuły i wrażliwy. Przy nim Tyler poznał takie uczucie bliskości, jakiego nie doświadczył z żadną inną istotą ludzką. Zawładnęły nim emocje, jakich dotąd nie znał. Do rana Tyler zakochał się na śmierć.

Dawniej podrywał młodych mężczyzn w Cairo, Bijou, Theater i innych gejowskich knajpach w Chicago, teraz jednak wiedział, że to się zmieni. Odtąd pragnął jedynie Lee.

Rano, przygotowując śniadanie, Tyler zapytał:

– Co chciałbyś robić wieczorem?

Lee spojrział na niego ze zdumieniem.

– Przepraszam, ale wieczorem mam randkę.

Tyler poczuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek.

– Ale Lee, myślałem, że ty i ja...

– Tyler, skarbie, jestem cennym artykułem handlowym. Sprzedaję się temu, kto najwięcej zapłaci. Lubię cię, ale wątpię, czy możesz sobie na mnie pozwolić.

– Dam ci wszystko, czego zechcesz – powiedział Tyler.

Lee uśmiechnął się leniwie.

– Czyżby? No więc chcę popłynąć do St.-Tropez pięknym białym jachtem. Stać cię na to?

– Lee, jestem bogatszy niż wszyscy twoi przyjaciele razem wzięci.

– Och? Przecież mówiłeś, że jesteś sędzią.

– No tak, ale kiedyś będę bogaty. To znaczy... bardzo bogaty.

Lee objął go ramieniem.

– Nie martw się, Tyler. Jestem wolny od czwartku za tydzień. Te jajka wyglądają smakowicie.

Taki był początek. Pieniądze zawsze liczyły się dla Tylera, ale teraz stały się jego obsesją. Potrzebował pieniędzy dla Lee. Nie mógł o nim zapomnieć. Nie mógł znieść samej myśli, że Lee kocha się z innymi mężczyznami. Muszę go mieć dla siebie.

Od dwunastego roku życia Tyler wiedział, że jest homoseksualistą. Pewnego dnia ojciec przyłapał go na całowaniu i obmacywaniu szkolnego kolegi. Tyler poznał wtedy całą siłę ojcowskiego gniewu.

– Nie mogę uwierzyć, że mam syna pedała! Teraz, kiedy już znam twój brudny mały sekrecik, nie spuszczę cię z oka, siostró.

Małżeństwo Tylera było kosmicznym żartem, wykoncypowanym przez jakiegoś boga obdarzonego makabrycznym poczuciem humoru.

– Chcę, żebyś kogoś poznał – powiedział Harry Stanford.

Właśnie minęły święta Bożego Narodzenia, które Tyler tradycyjnie spędzał w Rose Hill. Kendall i Woody już wyjechali, a Tyler również zbierał się do wyjazdu, kiedy bomba wybuchła.

– Musisz się ożenić.

– Ożenić? To wykluczone! Ja...

– Słuchaj no, siostró. Ludzie zaczynają gadać o tobie, a tego nie zniosę. Nie pozwolę sobie zniszczyć reputacji. Jeżeli się ożenisz, zamkniesz im gęby.

Tyler opierał się.

– Nie obchodzi mnie, co ludzie gadają. To moje życie.

– I powinieneś żyć w bogactwie, Tyler. Starzeję się. Już niedługo... – Harry Stanford

wzruszył ramionami.

Kij i marchewka.

Naomi Schuyler pochodziła ze średniozamożnej rodziny, miała dość przeciętną powierzchowność i namiętnie pragnęła dojść do czegoś w życiu. Nazwisko Harry'ego Stanforda tak jej imponowało, że gotowa była poślubić jego syna, nawet gdyby pracował na stacji benzynowej, a nie jako sędzia.

Harry Stanford parę razy przespał się z Naomi. Gdyby ktoś go zapytał, dlaczego, Stanford odpowiedziałby: „Bo była pod ręką”.

Szybko znudził się nią i zdecydował, że ta kobieta idealnie nadaje się dla Tylera.

Harry Stanford zawsze stawiał na swoim.

Ślub odbył się dwa miesiące później. Wesele było skromne – sto pięćdziesiąt osób – a potem nowożeńcy spędzili miesiąc miodowy na Jamajce. Okazał się zupełną klapą.

W noc poślubną Naomi zawołała:

– Za kogo ja wyszłam, na litość boską? Po co ci fiut?

Tyler próbował jej perswadować:

– Nie potrzebujemy seksu. Możemy prowadzić oddzielne życie. Zostaniemy razem, ale każde będzie miało własnych... przyjaciół.

– No pewnie, cholera!

Naomi mściła się na nim, urządzając orgie zakupów. Kupowała mnóstwo rzeczy w najdroższych sklepach w mieście i jeździła na zakupy do Nowego Jorku.

– Nie stać mnie na twoje ekstrawagancje – protestował Tyler.

– Więc wystąp o podwyżkę. Jestem twoją żoną. Masz obowiązek mnie utrzymywać.

Tyler poszedł do ojca i wyjaśnił mu sytuację. Harry Stanford wybuchnął śmiechem.

– Kobiety bywają cholernie kosztowne, no nie? Musisz jakoś wytrzymać.

– Ale ojcze, potrzebuję trochę...

– Pewnego dnia będziesz najbogatszym człowiekiem świata.

Tyler próbował to wyjaśnić Naomi, ale nie zamierzała czekać do „pewnego dnia”. Wyczuwała, że może nigdy nie nadejść. Wycisnąwszy z Tylera, ile się dało, wystąpiła o rozwód, opróżniła do czysta jego rachunek bankowy i zniknęła.

Kiedy Harry Stanford usłyszał tę nowinę, powiedział:

– Durny pedał.

I na tym sprawa się zakończyła.

Ojciec zawsze poniżał Tylera. Pewnego dnia, kiedy ten właśnie przewodniczył rozprawie, w samym środku procesu woźny podszedł do niego i szepnął:

– Przepraszam, Wysoki Sądzie...

Tyler obejrzał się niecierpliwie.

– Słucham?

– Telefon do pana.

– Co?! Nie widzisz, że jestem w trakcie...

– Dzwoni pański ojciec, Wysoki Sądzie. Mówi, że to bardzo pilne i że natychmiast musi z panem rozmawiać.

Tyler był wściekły. Ojciec nie miał prawa mu przeszkadzać. Kusiło go, żeby zignorować telefon. Ale z drugiej strony, skoro to takie pilne...

Wstał.

– Sąd odracza rozprawę na piętnaście minut.

Wpadł do swojej kancelarii i chwycił słuchawkę.

– Ojczy?

– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam, Tyler. – W głosie Harry’ego Stanforda brzmiała złośliwa satysfakcja.

– Owszem, przeszkadzasz. Jestem w trakcie procesu i...

– No to wypisz mi mandat i puść do domu.

– Ojczy...

– Potrzebuję twojej pomocy w poważnej sprawie.

– W jakiej sprawie?

– Mój kucharz mnie okrada.

Tyler nie wierzył własnym uszom. Gniew prawie odebrał mu mowę.

– Przerwałeś mi proces z powodu...?

– Jesteś przedstawicielem prawa, tak? No więc on łamie prawo. Chcę, żebyś przyleciał do Bostonu i przesłuchał mój personel. Okradają mnie na moich oczach!

Tyler z najwyższym wysiłkiem powstrzymał się od wybuchu.

– Ojczy...

– Nie można wierzyć tym cholernym agencjom zatrudnienia.

– Jestem w trakcie procesu. Nie mogę jechać teraz do Bostonu.

Zapadło złowieszcze milczenie.

– Coś ty powiedział? – po chwili zapytał Harry Stanford.

– Powiedziałem...

– Chyba nie chcesz kolejny raz mnie rozczarować, co, Tyler? Może powinienem pogadać z Fitzgeraldem o zmianach w testamencie.

Znowu pojawiła się marchewka. Pieniądze. Miliardy dolarów czekające na niego po śmierci ojca.

Tyler odchrząknął.

– Gdybyś mógł po mnie wysłać samolot...

– Do diabła, nie! Jeżeli dobrze rozegrasz swoje karty, Tyler, ten samolot będzie pewnego dnia twój. Pomyśl o tym. Tymczasem polecisz zwykłym rejssem jak każdy. Rusz dupę i nie każ mi czekać!

Połączenie zostało przerwane.

Tyler siedział bez ruchu, upokorzony. Ojciec traktował mnie jak śmiecia przez całe życie. Do diabła z nim! Nie pojedę. Nie pojedę.

Tego samego wieczoru poleciał do Bostonu.

Harry Stanford zatrudniał dwadzieścia dwie osoby – sekretarki, kamerdynerów, pokojówki, sprzątaczkę, kucharzy, szoferów, ogrodników oraz ochroniarza.

– Złodzieje, każde z nich – poskarżył się Tylerowi.

– Jeżeli tak się martwisz, dlaczego nie wynajmiesz prywatnego detektywa albo nie pójdziesz na policję?

– Bo mam ciebie – uśmiechnął się Harry Stanford. – Jesteś sędzią, prawda? No więc osądzisz ich dla mnie.

Robił to z czystej złośliwości.

Tyler rozglądał się po ogromnej rezydencji, wypełnionej cennymi meblami i obrazami, i myślał o nędznym małym domku, w którym sam mieszkał. Zasługuję na ten dom, powiedział sobie. I pewnego dnia go zdobędę.

Tyler porozmawiał z kamerdynerem Clarkiem i innymi starszymi członkami personelu. Przesłuchał służących jednego po drugim i sprawdził ich zeznania. Większość pracowała od niedawna, ponieważ Harry Stanford był nieznośnym szefem. Ludzie bez przerwy się zmieniali, niektórzy zostawali tylko dzień lub dwa. Kilku nowych pracowników miało na sumieniu drobne kradzieże, jeden był alkoholikiem, ale poza tym Tyler nie wykrył niczego podejrzanego.

Z wyjątkiem Dmitrija Kaminskiego.

Kaminskij był zatrudniony przez ojca w charakterze ochroniarza oraz masażysty. Zasiadając na ławie sędziowskiej, Tyler stał się dobrym sędzią charakterów, a coś w Dmitriju natychmiast wzbudziło jego nieufność. Dmitrij był najnowszym nabytkiem. Poprzedni ochroniarz Harry'ego Stanforda odszedł – Tyler nie musiał pytać o przyczyny – i polecił na swoje miejsce Kaminskiego.

Był to potężny mężczyzna z beczkowatą klatką piersiową i wielkimi, muskularnymi ramionami. Mówił po angielsku z silnym rosyjskim akcentem.

– Pan mnie wzywał?

– Tak. – Tyler wskazał mu krzesło. – Siadaj.

Przejrzał referencje Kaminskiego i dowiedział się bardzo niewiele, tyle tylko, że facet niedawno przyjechał z Rosji.

– Urodziłeś się w Rosji?

– Tak. – Kaminskij czujnie obserwował Tylera.

– W jakiej części?

– Smoleńsk.

– Dlaczego przyjechałeś do Ameryki?

Kaminskij wzruszył ramionami.

– Tutaj są większe możliwości.

Jakie możliwości? – zastanowił się Tyler. Ten facet był nieszczerzy. Rozmawiali przez dwadzieścia minut i pod koniec Tyler miał pewność, że Dmitrij Kaminskij coś ukrywa.

Tyler zadzwonił do Freda Mastersona, znajomego z FBI.

– Fred, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

– Jasne. Pod warunkiem, że jeśli kiedyś będę w Chicago, skasujesz moje mandaty.

– Mówię poważnie.

– Strzelaj.

– Chcę, żebyś sprawdził jednego Rosjanina, który przyjechał tutaj przed sześcioma miesiącami.

– Tu by się bardziej przydała CIA?

– Może, ale nie znam nikogo w CIA.

– Ani ja.

– Fred, jeżeli zrobisz to dla mnie, naprawdę będę wdzięczny.

Tyler usłyszał westchnienie.

– Okay. Jak on się nazywa?

– Dmitrij Kaminskij.

– Powiem ci, co zrobić. Znam kogoś w rosyjskiej ambasadzie w Waszyngtonie. Zobaczę, czy nie mają jakichś informacji. Jeżeli nie, niestety nie będę mógł nic zrobić.

– Bardzo dziękuję.

Tego wieczoru Tyler jadł obiad z ojcem. Podświadomie miał nadzieję, że ojciec się zestarzeje, że z upływem czasu stanie się bardziej kruchy i bezbronny. Lecz Harry Stanford wyglądał krzepko i zdrowo, emanował siłą. On będzie żył wiecznie, pomyślał Tyler z rozpaczą. Przeżyje nas wszystkich.

Rozmowa przy obiedzie była całkowicie jednostronna.

– Niedawno podpisałem umowę na kupno elektrowni na Hawajach...

– W przyszłym tygodniu lecę do Amsterdamu, żeby wyjaśnić pewne komplikacje z GATT...

– Sekretarz stanu zaprosił mnie, bym mu towarzyszył w podróży do Chin...

Tyler właściwie nie mógł wtrącić słowa. Pod koniec posiłku ojciec wstał.

– Jak ci idzie ze służbą?

– Dalej ich sprawdzam, ojcze.

– No, nie grzeb się z tym do końca świata – burknął ojciec i wyszedł z jadalni.

Następnego ranka Tyler odebrał telefon od Freda Mastersona z FBI.

– Tyler?

– Tak.

– Trafiłeś w dziesiątkę.

– Och?

– Dmitrij Kaminskij był cynglem „połogoprudnieńców”.

– Co to takiego?

– Zaraz wyjaśnię. W Moskwie działa osiem grup kryminalnych. Wszystkie walczą pomiędzy sobą, ale dwie najpotężniejsze to mafia czeczeńska i połogoprudnieńska. Twój przyjaciel Kaminskij pracował dla tej drugiej. Trzy miesiące temu zawarli z nim kontrakt na jednego z przywódców mafii czeczeńskiej. Zamiast go wypełnić, Kaminskij poszedł do faceta, wytargować lepszą cenę. Połogoprudnieńcy dowiedzieli się o tym i wystawili kontrakt na Kaminskiego. Tamtejsze gangi mają ciekawe zwyczaje. Najpierw odrąbują ofierze palce, potem pozwalają trochę się wykrwawić i wreszcie strzelają w łeb.

– Mój Boże!

– Kaminskij przesznuł się do Ameryki, ale ciągle go szukają. Szukają bardzo energicznie.

– To niesamowite – powiedział Tyler.

– Posłuchaj dalej. Również państwowa policja ściga go za kilka morderstw. Jeśli wiesz, gdzie on jest, ozłocą cię za tę informację.

Tyler myślał przez chwilę. Nie mógł sobie pozwolić na wplątanie w tę sprawę. To oznacza składanie zeznań i ogromną stratę czasu.

– Nie mam pojęcia. Sprawdzalem go tylko dla przyjaciela Rosjanina. Dzięki, Fred.

Tyler znalazł Kaminskiego w jego pokoju. Ochroniarz przeglądał ostre pornograficzne pismo. Na widok Tylera wstał.

– Spakuj swoje rzeczy i wynoś się stąd.

Dmitrij wytrzeszczył na niego oczy.

– Co się stało?

– Daję ci wybór. Albo wyniesiesz się przed wieczorem, albo zawiadomię rosyjską policję, gdzie jesteś.

Dmitrij zbladł.

– Rozumiesz?

– *Da*. Rozumiem.

Tyler poszedł porozmawiać z ojcem. Stary będzie zadowolony, myślał. Zrobiłem mu prawdziwą przysługę. Znalazł ojca w gabinecie.

– Sprawdziłem cały personel – zaczął Tyler – i...

– Imponujące. Znalazłeś jakichś chłopaczków, których chcesz zaciągnąć do łóżka?

Tyler oblał się czerwienią.

– Ojczy...

– Jesteś ciotką, Tyler, i zawsze będziesz cholerną ciotką. Nie rozumiem, jak coś takiego mogło wyjść z moich łędźwi. Wracaj do Chicago, do swoich pedziów.

Tyler stał bez ruchu, walcząc o panowanie nad sobą.

– Dobrze – powiedział sztywno i ruszył do drzwi.

– Wykryłeś coś, o czym powinienem wiedzieć?

Tyler odwrócił się i przez chwilę patrzył na ojca.

– Nie – odparł powoli. – Nic nie wykryłem.

Tyler wszedł do pokoju Kaminskiego, który właśnie się pakował.

– Wyjeżdżam – oznajmił Kaminskij ponuro.

– Zostań. Zmieniłem zdanie.

Zdumiony Dmitrij podniósł wzrok.

– Co?

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. Chcę, żebyś dalej pracował u mojego ojca.

– A co z... no wie pan, z tamtym?

– O tamtym zapomnimy.

Dmitrij czujnie obserwował Tylera.

– Dlaczego? Czego pan chce ode mnie?

– Chcę, żebyś był moimi oczami i uszami. Potrzebuję kogoś na miejscu, żeby śledził mojego ojca i informował mnie na bieżąco.

– Dlaczego mam to robić?

– Bo jeśli się zgodzisz, nie wydam cię Rosjanom. I dlatego, że dzięki mnie zostaniesz bogatym człowiekiem.

Dmitrij Kaminskij wpatrywał się w niego przez chwilę. Na jego twarz powoli wypełził uśmiech.

– Dobrze.

W ten sposób Tyler wykonał gambit otwarcia. Przetawił pierwszego pionka.

Minęły dwa lata. Od czasu do czasu Dmitrij przekazywał Tylerowi informacje. Najczęściej były to nieważne plotki o najnowszym romansie Harry'ego Stanforda albo urywki rozmów o interesach, które Dmitrij podsłuchał. Tyler stopniowo dochodził do wniosku, że popełnił błąd, nie wydając Rosjanina policji. A potem ten telefon z Sardynii i nagle gra się opłacała.

– Jestem z pańskim ojcem na jachcie. Właśnie dzwonił do swojego prawnika. Spotyka się z nim w Bostonie w poniedziałek, żeby zmienić testament.

Tyler pomyślał o wszystkich upokorzeniach, które ojciec kazał mu znosić przez lata. Ogarnęła go straszliwa furia.

Jeżeli on zmieni testament, lata poniżania pójdą na marne. Nie pozwolę, żeby mu to uszło bezkarnie! Jest tylko jeden sposób, żeby go powstrzymać.

– Dmitrij, zadzwoń do mnie znowu w sobotę.

– Dobrze.

Tyler odłożył słuchawkę i zamyślił się głęboko.

Czas wprowadzić do gry skoczka.

Rozdział szesnasty

Przez Obwodowy Sąd Okręgu Cook nieustannie przepływał strumień przestępców, oskarżonych o gwałt, podpalenie, handel narkotykami, morderstwo oraz inne nielegalne i niesympatyczne postęпки. W ciągu miesiąca sędzia Stanford miał do czynienia z co najmniej pięcioma sprawami o morderstwo. Większość wcale nie trafiała przed sąd, gdyż adwokaci proponowali przyznanie się do winy w zamian za złagodzenie kary, a władze stanowe zwykle wyrażały zgodę, ze względu na przepełnione sądy i więzienia. Wówczas strony zawierały ugodę i występowały do sędziego Stanforda o zatwierdzenie.

Sprawa Hala Bakera stanowiła wyjątek.

Hal Baker był facetem, który chciał dobrze, ale mu nie wyszło. W wieku piętnastu lat starszy brat namówił go do pomocy przy napadzie na sklep spożywczy. Hal próbował wyperswadować bratu pomysł, ale nie potrafił, więc poszedł z nim. Został schwytany, a jego brat uciekł. Dwa lata później Hal Baker wyszedł z poprawczaka, solennie obiecując sobie nigdy więcej nie wchodzić w kolizję z prawem. Po miesiącu poszedł z przyjacielem okraść sklep jubilerski.

– Chcę zwinąć pierścioneł dla mojej dziewczyny.

W sklepie przyjaciel wyciągnął broń i zawołał:

– To jest napad!

W zamieszaniu zastrzelono sprzedawcę. Hal Baker został schwytany i aresztowany za napad z bronią z ręku. Przyjaciel zbiegł.

Kiedy Baker siedział w więzieniu, pracownica socjalna Helen Gowan, która czytała o jego przypadku, powodowana litością przyszła go odwiedzić. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Po wyjściu z więzienia Baker ożenił się z Helen. Przez następne osiem lat dochowali się czwórki uroczych dzieci.

Hal Baker uwielbiał swoją rodzinę. Jako były skazaniec nie mógł znaleźć pracy, więc żeby zarobić na utrzymanie, choć niechętnie, zgodził się pracować u brata, to znaczy brać udział w rozmaitych napadach, rabunkach i podpaleniach. Niestety został przyłapany *flagrante delicto* na miejscu włamania. Aresztowano go, zamknięto w więzieniu i wytoczono

mu proces. Jako sędzia występował Tyler Stanford.

Nadeszła pora na wydanie wyroku. Baker był recydywistą, notowanym jako młodociany przestępca, więc sprawa wydawała się tak oczywista, że zastępcy prokuratora okręgowego zakładali się, ile lat zasądzi sędzia Stanford.

– Założę się, że przysoli mu dwadzieścia. Nie na darmo nazywają go Sędzią Szubienicą.

Hal Baker, który w głębi duszy czuł, że jest niewinny, występował jako własny obrońca. Stał przed stołem sędziowskim, ubrany w najlepszy garnitur, i mówił:

– Wysoki Sądzie, wiem, że popełniłem błąd, ale przecież wszyscy jesteśmy ludźmi. Mam cudowną żonę i czworo dzieci. Szkoda, że pan ich nie zna, panie sędzio... są wspaniali. To, co zrobiłem, zrobiłem dla nich.

Tyler Stanford siedział słuchając z niewzruszoną miną. Czekał, aż Baker skończy, żeby ogłosić wyrok. Czy ten dureń naprawdę myśli, że wykręci się taką idiotyczną łzawą historyjką?

Hal Baker kończył swoje wystąpienie:

– ...więc sam pan widzi, Wysoki Sądzie, chociaż postąpiłem źle, ale z dobrych pobudek: dla rodziny. Nie muszę panu tłumaczyć, jakie to dla mnie ważne. Jeśli pójdę do więzienia, moja żona i czworo dzieci będą głodowały. Wiem, że popełniłem błąd, ale chcę to naprawić. Zrobię wszystko, czego pan zażąda, Wysoki Sądzie...

I ten zwrot przyciągnął uwagę Stanforda. Sędzia spojrzał na oskarżonego z nowym zainteresowaniem. „Wszystko, czego pan zażąda”. Nagle doznał takiego samego przeczucia, jak w przypadku Dmitrija Kaminskiego. Oto człowiek, który pewnego dnia może się bardzo przydać.

Ku całkowitemu zaskoczeniu oskarżyciela, Tyler powiedział:

– Panie Baker, w tej sprawie istnieją pewne okoliczności łagodzące. Ze względu na nie oraz ze względu na pańską rodzinę, skazuję pana na pięć lat w zawieszeniu. Oczekuję od pana, że odpracuje pan sześćset godzin w służbie publicznej. Proszę przyjść do mojego gabinetu, żeby to omówić.

W zaciszu własnego pokoju Tyler zwrócił się do Bakera:

– Ciągle jeszcze mogę pana posłać do więzienia na wiele, wiele lat.

– Ależ panie sędzio! – Hal Baker zbladł. – Powiedział pan...

Tyler pochylił się do przodu.

– Czy wie pan, co jest w panu najbardziej imponujące?

Hal Baker próbował odgadnąć, co takiego ma w sobie imponującego.

– Nie, panie sędzio.

– Pańskie przywiązanie do rodziny – wyjaśnił cnotliwie Tyler. – Naprawdę pana za to podziwiam.

Hal Baker rozjaśnił się.

– Dziękuję, panie sędzio. Rodzina jest dla mnie najważniejsza na świecie. Ja...

– Więc nie chce pan ich stracić, prawda? Gdybym posłał pana do więzienia, dzieci dorastałyby bez ojca, a żona pewnie znalazłaby sobie innego mężczyznę. Rozumie pan, do czego zmierzam?

Hal Baker był całkiem zbity z tropu.

– N... nie, panie sędzio. Nie całkiem.

– Ocaliłem dla pana rodzinę, Baker. Powinien pan być wdzięczny.

– Och, jestem panu bardzo wdzięczny, panie sędzio! – zawołał z zapalem Hal Baker. – Nie potrafię wyrazić, jaki jestem wdzięczny.

– Może udowodni pan tę wdzięczność w przyszłości. Będę miał dla pana różne drobne zlecenia.

– Zrobię wszystko!

– Dobrze. Oddaję pana pod nadzór sądowy i jeżeli dowiem się o czymś nagannym...

– Niech pan tylko powie, czego pan chce – błagał Baker.

– Dam panu znać, kiedy przyjdzie pora. Tymczasem ta rozmowa jest ściśle poufna i pozostanie między nami.

Hal Baker położył rękę na sercu.

– Prędeż umrę, zanim komuś powiem.

– Pewnie – potwierdził Tyler.

Wkrótce Tyler odebrał telefon od Dmitrija Kaminskiego. „Pański ojciec właśnie dzwonił do swojego prawnika. Spotyka się z nim w Bostonie w poniedziałek, żeby zmienić ostatnią wolę”.

Tyler wiedział, że musi zobaczyć testament. Nadeszła pora, by zadzwonić do Hala Bakera.

– ...firma nazywa się Renquist, Renquist i Fitzgerald. Niech pan zrobi kopię i przyniesie do mnie.

– Żaden kłopot. Zajmę się tym, panie sędzio.

Dwanaście godzin później Tyler trzymał w ręku kopię testamentu. Przeczytał ją i wypełniło go uniesienie. On, Woody i Kendall byli jedynymi dziedzicami. Ale w poniedziałek ojciec zamierza zmienić testament. Drań chce nam odebrać pieniądze! Po wszystkim, przez co przeszliśmy, rozmyślał z goryczą Tyler, te miliardy należą do nas. Zarobiliśmy sobie na nie! Był tylko jeden sposób, żeby powstrzymać Harry’ego Stanforda.

Kiedy Dmitrij zadzwonił po raz drugi, Tyler powiedział:

– Chcę, żebyś go zabił. Dzisiaj w nocy.

Zapadła długa cisza.

– Ale jeśli mnie złapią...

– Nie daj się złapać. Będziecie na morzu. Tam wiele się może zdarzyć.

– No dobrze. A po wszystkim...?

– Pieniądze i bilet na samolot do Australii będą na ciebie czekać.

A później ostatni, cudowny telefon.

– Zrobiłem to. Łatwizna.

– Nie! Nie! Nie! Chcę znać szczegóły. Opowiedz mi wszystko. Niczego nie pomijaj...

Słuchając, Tyler widział w wyobraźni całą scenę.

– Wpadliśmy w silny sztorm po drodze na Korsykę. On zadzwonił i kazał mi przyjść do kabiny, żebym mu zrobił masaż.

Tyler zorientował się, że coraz mocniej ściska słuchawkę telefonu.

– Tak. Mów dalej...

Dmitrij szedł do kabiny Harry’ego Stanforda, z trudem utrzymując równowagę na rozkołysanym pokładzie. Zapukał do drzwi i po chwili usłyszał głos:

– Wejź! – jego szef leżał wyciągnięty na stole do masażu. – Boli mnie w krzyżach.

– Zajmę się tym.

Podszedł do stołu i nasmarował oliwką plecy Stanforda. Silne palce masażysty przystąpiły do pracy, zręcznie ugniatając zeszywniałe mięśnie. Stanford zaczął się odpręzać.

– Przyjemne uczucie – westchnął.

– Dziękuję panu.

Masaż trwał godzinę, a kiedy Dmitrij skończył, Stanford prawie zasypiał.

– Zrobię panu gorącą kąpiel – zaproponował Rosjanin.

Wszedł do łazienki, zataczając się od gwałtownych przechyłów jachtu. Odkręcił kran z ciepłą morską wodą nad czarną onyksową wanną i wrócił do sypialni. Stanford leżał na stole do masażu, oczy miał zamknięte.

– Proszę pana...

Stanford otworzył oczy.

– Kąpiel gotowa.

– Chyba nie mam ochoty...

– Po kąpieli będzie pan dobrze spał.

Dmitrij pomógł Stanfordowi zejść ze stołu i zaprowadził go do łazienki. Patrzył, jak jego pracodawca zanurza się w wannie.

Kiedy ten podniósł wzrok, napotkał zimne spojrzenie Dmitrija i w tym ułamku sekundy instynkt ostrzegł go, co się stanie.

– Nie! – krzyknął. Próbował wstać.

Dmitrij położył wielkie dłonie na czubku głowy Stanforda i wepchnął go pod wodę. Stanford walczył rozpaczliwie o dostęp do powietrza, ale nie mógł się mierzyć z olbrzymem. Dmitrij przytrzymał go, aż morską wodą wypełniła płuca ofiary i wszelkie poruszenia ustały. Stał bez ruchu, dysząc ciężko.

Potem wyszedł na pokład, walcząc z kołysaniem jachtu. Rozsunął szklane drzwi werandy i wpuścił do środka wyjąca wicher. Rozrzucił papiery na podłodze, kilka wyrzucił za burtę.

Zadowolony, wrócił do łazienki i wyciągnął z wanny ciało Stanforda. Ubrał go w piżamę, szlafrok i kapcie. Zaniósł ciało na werandę. Przez chwilę stał przy relingu, potem wyrzucił ciało za burtę. Odczekał pięć sekund, podniósł słuchawkę interkomu i krzyknął:

– Człowiek za burtą!

Słuchając, jak Dmitrij zdaje sprawozdanie z przebiegu morderstwa, Tyler poczuł seksualny dreszczyk. Smakował słoną morską wodę wypełniającą płuca ojca, delectował się jego przerażeniem i walką o powietrze. A potem... pustka.

Skończone, pomyślał Tyler. Jednak zaraz poprawił się: Nie, partia dopiero się zaczyna. Pora wprowadzić do gry królową.

Rozdział siedemnasty

Ostatnia figura szachowa trafiła na swoje miejsce przez przypadek. Tyler rozmyślał o testamencie ojca i wściekał się, że Woody i Kendall otrzymają taką samą część majątku jak on. Nie zasługują na to. Gdyby nie ja, żadne nie dostałoby ani centa. Wykreśliłby ich z testamentu. To niesprawiedliwe, ale co mogę poradzić?

Nadal miał jedną akcję, którą podarowała mu dawno temu matka. Przypomniał sobie słowa ojca: „I co on takiego zrobi z tą jedną akcją? Przejmie firmę”? Razem, pomyślał Tyler, Woody i Kendall mają dwie trzecie akcji Przedsiębiorstw Stanforda. Jak mogę przejąć kontrolę za pomocą tylko jednej dodatkowej akcji? A potem nadeszła odpowiedź, tak genialna w swej prostocie, że aż się zdziwił.

„Powinienem poinformować państwa, że może się zgłosić jeszcze jeden spadkobierca... Testament wyraźnie zastrzega, że majątek ma być równo podzielony pomiędzy jego progeniturę... Kilka lat temu wasz ojciec spłodził dziecko z guwernantką, która tutaj pracowała...”

Jeżeli Julia się zjawi, będzie nas czworo, pomyślał Tyler. I jeżeli przejmę kontrolę nad jej akcjami, będę miał pięćdziesiąt procent udziałów w ojcowskiej firmie plus jeden procent, który już mam. Mogę przejąć Przedsiębiorstwa Stanforda. Następnie pomyślał: Rosemary nie żyje i z pewnością nie powiedziała córce, kto był jej ojcem. Dlaczego to musi być prawdziwa Julia Stanford?

Margo Posner rozwiązała problem.

Zobaczył ją po raz pierwszy dwa miesiące wcześniej, kiedy zwołano sesję sądową. Woźny zwrócił się do publiczności:

– Proszę o ciszę. Sąd Obwodowy Okręgu Cook otwiera sesję, przewodniczy sędzia Tyler Stanford. Proszę wstać.

Tyler zajął miejsce za stołem sędziowskim. Spojrzał na rejestr spraw. Na pierwszym miejscu figurowała sprawa: „Stan Illinois przeciw Margo Posner”. Oskarżenie o napaść i

usiłowanie morderstwa.

Oskarżyciel wstał.

– Wysoki Sądzie, oskarżona jest niebezpieczną osobą, której nie wolno wypuścić na ulice Chicago. Stan udowodni, że oskarżona ma za sobą bogatą kryminalną przeszłość. Była skazana za kradzieże w sklepach, złodziejstwo i prostytutkę. Należała do stajni osławionego sutenera imieniem Rafael. W styczniu tego roku doszło między nimi do kłótni i oskarżona świadomie, z zimną krwią postrzeliła jego i towarzyszącą mu kobietę.

– Czy któraś z ofiar zmarła? – zapytał Tyler.

– Nie, Wysoki Sądzie. Zabrano ich do szpitala z poważnymi obrażeniami. Margo Posner posłużyła się nielegalnie posiadaną bronią.

Tyler spojrział na podsądną i ogarnęło go zdziwienie. Kobieta nie pasowała do wizerunku nakreślonego przez oskarżyciela. Atrakcyjna, dobrze ubrana trzydziestolatka miała w sobie jakąś spokojną elegancję, która zadawała kłam wszelkim oskarżeniom. To jeszcze trzeba udowodnić, pomyślał kwaśno Tyler, nigdy nic nie wiadomo.

Słuchał argumentów obu stron, ale nie mógł oderwać oczu od podsądnej. Coś w niej przypominało mu siostrę.

Po wygłoszeniu przemówień oskarżyciela i obrońcy sprawę przekazano sędziom przysięgłym, którzy wrócili po niecałych czterech godzinach, przynosząc werdykt: winna. Tyler spojrział z góry na oskarżoną i powiedział:

– Sąd nie znajduje żadnych okoliczności łagodzących. Skazuję oskarżoną na pięć lat w Ośrodku Poprawczym Dwighta... Następna sprawa.

Dopiero kiedy Margo Posner wyprowadzono z sali, Tyler uświadomił sobie, co w niej tak bardzo przypominało mu Kendall. Margo miała takie same ciemnoszare oczy. Oczy Stanfordów.

Tyler nie pamiętał o Margo Posner, dopóki nie odebrał telefonu od Dmitrija.

Początek partii szachów okazał się udany. Tyler starannie zaplanował każde posunięcie. Zastosował klasyczny gambit królowej: debiut zamknięty, ruch pionkiem hetmańskim o dwa pola. Teraz nadszedł czas na rozpoczęcie środkowej gry.

Odwiedził Margo w więzieniu kobiecym.

– Pamiętasz mnie? – zapytał.

Wpatrywała się w niego posepnie.

– Jak mogłabym pana zapomnieć? Pan mnie tutaj wysłał.

– Jak ci się powodzi? – zapytał Tyler.

Skrzywiła się.

– Pan żartuje! To piekło.

– Czy chciałabyś stąd wyjść?

– Czy chciałabym...? Pan mówi poważnie?

- Całkiem poważnie. Mogę to załatwić.
- No... to wspaniale! Dziękuję. Ale co muszę w zamian zrobić?
- Rzeczywiście, chcę, żebyś coś zrobiła dla mnie.

Uśmiechnęła się zalotnie.

- Jasne. To żaden problem, panie sędzio.
- Nie o to mi chodzi.

Spojrzała na niego nieufnie.

- Więc o co panu chodzi, panie sędzio?
- Chcę, żebyś mi pomogła zrobić komuś kawał.
- Jaki kawał?
- Chcę, żebyś kogoś udawała.
- Ja mam kogoś udawać? Nie potrafię...
- Dostaniesz za to dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Wyraz jej twarzy zmienił się nagle.

– Jasne – powiedziała szybko. – Mogę udawać każdego. Proszę mi tylko powiedzieć kogo.

Tyler nachylił się ku niej i zaczęli rozmawiać. Potem załatwił Margo Posner zwolnienie warunkowe pod jego nadzorem. Jak wyjaśnił Keithowi Percy'emu, głównemu sędziemu:

– Dowiedziałem się, że ona jest utalentowaną artystką i bardzo chce prowadzić normalne, przyzwoite życie. Uważam, że powinniśmy wykorzystać każdą sposobność, żeby przyczynić się do rehabilitacji takich ludzi, zgadzasz się ze mną, prawda?

Keith był zdumiony i pełen podziwu.

– Oczywiście, Tyler. Robisz wspaniałą rzecz.

Tyler zabrał Margo do swojego domu i przez pełne pięć dni szkolił ją w historii rodziny Stanfordów.

- Jak mają na imię twoi bracia?
- Tyler i Woodruff.
- Woodrow.
- Właśnie, Woodrow.
- Jak na niego mówimy?
- Woody.
- Czy masz siostrę?
- Tak, Kendall. Jest projektantką.
- Czy jest zamężna?
- Wyszła za Francuza. Nazywa się... Marc Renoir.
- Renaud.
- Renaud.
- Jak się nazywała twoja matka?

- Rosemary Nelson. Była guwernantką dzieci Stanfordów.
- Dlaczego odeszła?
- Stary ją nadmuchał...
- Margo! – skarcił ją Tyler.
- To znaczy zaszła w ciążę z Harrym Stanfordem.
- Co się stało z panią Stanford?
- Popelniła samobójstwo.
- Co ci opowiadała matka o dzieciach Stanfordów?

Margo umilkła i zamyśliła się na chwilę.

- No?
- Jednego razu wypadłeś z łódki na stawie.
- Wcale nie wypadłem! – sprostował Tyler. – Prawie wypadłem.
- Racja. Woody’ego o mało nie aresztowali za zrywanie kwiatów w miejskim parku...
- To była Kendall.

Tyler nie znał litości. Przerabiali scenariusz wciąż od nowa, do późnej nocy, aż Margo była całkiem wyczerpana.

- Kendall ugryzł pies.
- To mnie ugryzł pies.

Przetarła oczy.

- Nie potrafię już jasno myśleć. Jestem taka zmęczona. Muszę się przespać.
- Później będziesz spała!
- Jak długo będziesz to ciągnął? – zapytała buntowniczo.
- Dopóki nie uznam, że jesteś gotowa. Teraz jedziemy od początku.

I powtarzali w kółko jedno i to samo, aż Margo idealnie opanowała rolę. Tego dnia, kiedy wreszcie odpowiedziała poprawnie na wszystkie pytania, Tyler oświadczył:

- Jesteś gotowa – i podał jej kilka prawniczych dokumentów.
- Co to jest?
- Czysta formalność – odparł niedbale.

To, co kazał jej podpisać, było przekazaniem jej udziałów w Przedsiębiorstwach Stanforda na rzecz korporacji kontrolowanej przez drugą korporację, która z kolei była kontrolowana przez zagraniczną fundację, należącą w całości do Tylera Stanforda. Wyśledzenie transakcji wstecz aż do niego było niemożliwe.

Tyler wręczył Margo pięć tysięcy dolarów gotówką.

– Resztę dostaniesz po wykonaniu zadania – oznajmił. – Jeżeli ich przekonasz, że jesteś Julią Stanford.

Od chwili, kiedy Margo pojawiła się w Rose Hill, Tyler odgrywał rolę adwokata diabła. To był klasyczny pozycyjny manewr szachowy.

„Z pewnością rozumie pani naszą sytuację, panno... ee... Bez formalnego dowodu nie możemy niestety zaakceptować...”

„...uważam, że ta pani jest oszustką...”

„...ilu służących pracowało w tym domu, kiedy byliśmy dziećmi?... Dziesiątki, prawda? I niektórzy z nich wiedzieli o wszystkim, co nam opowiedziała ta młoda dama... Każde z nich mogło jej dać tę fotografię... Nie zapominajmy, że chodzi o ogromną sumę pieniędzy”.

Wykonał swój koronny ruch, kiedy zażądał przeprowadzenia testu DNA. Zadzwoił do Bakera i przekazał mu nowe instrukcje: „Wykop ciało Harry’ego Stanforda i pozbądź się go”.

A potem wpadł na pomysł, żeby wynająć prywatnego detektywa. W obecności rodziny zadzwonił do prokuratury okręgowej w Chicago.

„Mówi sędzia Tyler Stanford. Słyszałem, że wasze biuro wynajmuje czasami prywatnego detektywa, który robi dla was wspaniałą robotę. Nazywa się Simmons czy jakoś tak...”

„Och, pewnie chodzi panu o Franka Timmonsa”.

„Timmons! Tak, to on. Czy może pan podać mi jego telefon, żebym porozumiał się z nim bezpośrednio?”

Zamiast tego zadzwonił do Hala Bakera i przedstawił go jako Franka Timmonsa.

Z początku Tyler planował, że Hal Baker będzie tylko na niby sprawdzał Julię Stanford, ale potem doszedł do wniosku, że raport z prawdziwego śledztwa zrobi znacznie większe wrażenie. Rodzina bez zastrzeżeń zaakceptowała informacje dostarczone przez Bakera.

Plan Tylera powiódł się na całej linii. Margo Posner doskonale odegrała swoją rolę, a odciski palców stanowiły ostateczny argument. Wszyscy dali się przekonać, że Margo jest prawdziwą Julią Stanford.

„Co do mnie, cieszę się, że wszystko się wyjaśniło. Pójdę na górę i zobaczę, czy nie trzeba jej pomóc”.

Wszedł na piętro i ruszył korytarzem do jej pokoju. Zapukał do drzwi i powiedział głośno:

– Julio?

– Otwarte. Wejdz.

Stanął w drzwiach i oboje popatrzyli na siebie w milczeniu. A potem Tyler starannie zamknął drzwi, wyciągnął ręce i uśmiechnął się.

– Udało się, Margo! – powiedział. – Udało się!

Rozdział osiemnasty

W biurze firmy Renquist, Renquist & Fitzgerald młody Steve Sloane pił kawę z Simonem Fitzgeraldem.

– Jak powiedział wielki bard: „Źle się dzieje w państwie duńskim”.

– Czym się martwisz? – zapytał Fitzgerald.

Steve westchnął.

– Sam nie wiem. Chodzi o rodzinę Stanfordów. Nie mogę ich rozgryźć.

Simon Fitzgerald prychnął.

– Nie ty jeden.

– Ciągłe powraca do mnie jedno pytanie, Simon, ale nie mogę znaleźć odpowiedzi.

– Jakie pytanie?

– Rodzinie zależało na ekshumacji ciała Harry’ego Stanforda, żeby porównać jego DNA z DNA tej kobiety. Więc chyba musimy przyjąć, że usunięto ciało, aby uniemożliwić to porównanie. Tylko ta kobieta może na tym skorzystać... jeżeli jest oszustką.

– Tak.

– A jednak prywatny detektyw, Frank Timmons... sprawdziłem w prokuraturze okręgowej w Chicago, on rzeczywiście ma świetną opinię... przedstawił odciski palców, które wskazały niezbicie, że ona jest prawdziwą Julią Stanford. Więc pytam: Kto, do cholery, wykopał ciało Harry’ego Stanforda i po co?

– To jest pytanie za miliard dolarów. Jeżeli...

Zabrzączał interkom.

– Panie Sloane – odezwała się sekretarka – telefon do pana na drugiej linii.

Steve Sloane sięgnął po słuchawkę.

– Halo...

– Panie Sloane, mówi sędzia Stanford. Byłbym wdzięczny, gdyby pan wpadł dzisiaj rano do Rose Hill.

Steve Sloane zerknął na Fitzgeralda.

– Dobrze. Będę za jakąś godzinę, czy odpowiada to panu?

– Doskonale. Dziękuję.

Steve odłożył słuchawkę.

– Wymagana jest moja obecność w domu Stanfordów.

– Ciekawe, czego chcą?

– Dziesięć do jednego, że przyspieszyć postępowanie spadkowe, by położyć łapy na tych ślicznych pieniążkach.

– Lee? Mówi Tyler. Co u ciebie?

– Świetnie, dziękuję;

– Bardzo tęsknię za tobą.

Zapadło krótkie milczenie.

– Ja też za tobą tęsknię, Tyler.

Te słowa przyprawiły go o dreszcz.

– Lee, mam wspaniałe nowiny. Nie mogę rozmawiać przez telefon, ale to ci się bardzo spodoba. Kiedy ty i ja...

– Tyler, muszę iść. Ktoś na mnie czeka.

– Ale...

Połączenie zostało przerwane.

Tyler siedział przez chwilę bez ruchu. Wreszcie pomyślał: Gdyby za mną nie tęsknił, nie powiedziałby tego.

Cała rodzina, z wyjątkiem Woody’ego i Peggy, zebrała się w bawialni Rose Hill. Steve przyglądał się ich twarzom.

Sędzia Stanford wyglądał na całkiem odprężonego.

Kendall z kolei wydawała się nienaturalnie spięta. Jej mąż przyjechał poprzedniego dnia z Nowego Jorku. Steve zlustrował Marca. Francuz był przystojny, młodszy od żony o kilka lat.

No i jeszcze Julia. Raczej spokojnie odebrała fakt przyjęcia do rodziny. Ktoś, kto właśnie odziedziczył miliard dolarów, powinien chyba bardziej się przejmować, pomyślał Steve.

Ponownie przesunął wzrokiem po twarzach zebranych osób, zastanawiając się, czy któraś z nich jest odpowiedzialna za kradzież ciała Harry’ego Stanforda. A jeśli tak, to która? I dlaczego?

Tyler zabrał głos:

– Panie Sloane, znane mi jest prawo spadkowe stanu Illinois, ale nie wiem, jak bardzo różni się od przepisów obowiązujących w Massachusetts. Chcielibyśmy wiedzieć, czy nie ma jakiegoś sposobu, żeby przyspieszyć procedurę.

Steve uśmiechnął się w duchu. Szkoda, że nie założyłem się z Simonem. Na głos powiedział tylko:

– Pracujemy nad tym, panie sędzio.

– Nazwisko Stanford może przyspieszyć sprawę – podsunął Tyler.

On ma rację, pomyślał Steve. Kiwnął głową.

– Zrobię, co w mojej mocy. Jeśli w ogóle da się coś...

Na schodach rozległy się głosy:

– Zamknij się, ty głupia dziwko! Nie chcę więcej słyszeć ani słowa. Zrozumiano?

Woody i Peggy zeszli na dół, do bawialni. Peggy miała mocno opuchniętą twarz i podbite oko. Woody uśmiechał się szeroko, oczy mu błyszczały.

– Witam wszystkich. Mam nadzieję, że zdążyliśmy przed końcem imprezy.

Zebrani zaszokowani patrzyli na Peggy. Kendall wstała.

– Co ci się stało?

– Nic. Ja... wpadłam na drzwi.

Woody usiał. Peggy zajęła miejsce obok niego. Mąż poklepał ją po ręce i zapytał troskliwie:

– Dobrze się czujesz, moja droga?

Peggy kiwnęła głową, najwyraźniej bojąc się odezwać.

– Doskonale. – Woody odwrócił się do pozostałych. – No więc, co straciłem?

Tyler popatrzył na niego karcącym wzrokiem.

– Właśnie pytałem pana Sloane'a, czy nie można przyspieszyć zalegalizowania testamentu.

Woody uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Miła perspektywa. – Odwrócił się do Peggy. – Przydałyby ci się nowe stroje, prawda, kochanie?

– Nie potrzebuję żadnych nowych strojów – odparła bojaźliwie.

– Racja. Przecież ty nigdzie nie wychodzisz. – Zwrócił się do pozostałych: – Peggy jest bardzo nieśmiała. Nie wie, o czym mogłaby rozmawiać, prawda?

Peggy zerwała się i wybiegła z pokoju.

– Zobaczę, co z nią – powiedziała Kendall. Pobiegnęła za żoną brata.

Mój Boże! – pomyślał Steve. Jeżeli Woody zachowuje się tak przy ludziach, to co wyprawia, kiedy jest z nią sam na sam?

– Jak długo pan pracuje w firmie Fitzgeralda? – Woody zwrócił się do Steve'a.

– Pięć lat.

– Nigdy nie zrozumiem, jak oni mogli wytrzymać z moim ojcem.

Steve powiedział ostrożnie:

– No cóż, przypuszczam, że rzeczywiście pański ojciec był... trudny.

– Trudny? – Woody prychnął pogardliwie. – Był potworem w ludzkiej skórze. Wie pan, że nadał nam wszystkim przezwiska? Mnie nazywał Charlie. Od Charliego McCarthy'ego, kukielki, którą miał brzuchomówca nazwiskiem Edgar Bergen. Moją siostrę nazywał Pony, bo twierdził, że ma końską twarz. Tylera nazywał...

Steve wtrącił z zakłopotaniem:

– Naprawdę nie powinien pan...

– Nic nie szkodzi. Miliard dolarów leczy wszelkie rany.

– No, skoro to wszystko, chyba już lepiej pójdę. – Steve wstał. Marzył, żeby wydostać się na zewnątrz, na świeże powietrze.

Kendall znalazła Peggy w łazience. Młoda kobieta przykładła do zapuchniętego policzka ręcznik zmoczony zimną wodą.

– Peggy? Jak się czujesz?

Kobieta odwróciła się.

– Nic mi nie jest, dziękuję. Prze... przepraszam za to, co się stało na dole.

– Przepraszasz? Powinnaś być wściekła. Od jak dawna on cię bije?

– On mnie nie bije – zaprzeczyła Peggy z uporem. – Wpadłam na drzwi.

Kendall przysunęła się do niej bliżej.

– Peggy, dlaczego to znosisz? Wcale nie musisz, sama wiesz.

Peggy milczała przez chwilę.

– Tak, wiem.

– Więc dlaczego? – powtórzyła Kendall.

Peggy odwróciła twarz.

– Ponieważ go kocham. – Słowa popłynęły strumieniem. – On też mnie kocha. Wierz mi, on nie zawsze tak się zachowuje. Chodzi o to, że... czasami nie jest sobą.

– To znaczy, kiedy się narkotyzuje.

– Nie!

– Peggy...

– Nie!

– Peggy...

Peggy zawahała się.

– Chyba tak – przyznała niechętnie.

– Kiedy to się zaczęło?

– Zaraz... zaraz po naszym ślubie. – Głos Peggy drżał. – Zaczęło się z powodu gry w polo. Woody spadł z konia i ciężko się poranił. Kiedy leżał w szpitalu, podawali mu narkotyki, żeby złagodzić ból. To oni go wciągnęli. – Spojrzała błagalnie na Kendall. – Więc widzisz, to nie była jego wina, prawda? Po wyjściu ze szpitala Woody dalej... dalej brał narkotyki. Za każdym razem, kiedy próbowałam go namówić, żeby przestał... bił mnie.

– Peggy, na litość boską! On potrzebuje pomocy! Nie rozumiesz tego? Sama nic nie poradzisz. Jest uzależniony. Co bierze? Kokainę?

– Nie. – Krótkie milczenie. – Heroinę.

– Mój Boże! Nie możesz go nakłonić do leczenia?

– Próbowałam. – Zniżyła głos do szeptu. – Przecież wiesz, jak bardzo się starałam! Był w trzech szpitalach odwykowych. – Potrząsnęła głową. – Na jakiś czas przestaje, a potem... znowu zaczyna. On... on nie panuje nad sobą.

Kendall objęła Peggy ramieniem.

– Tak mi przykro – powiedziała.

Peggy uśmiechnęła się z przymusem.

– Woody na pewno się wyleczy. Bardzo się stara. Naprawdę. – Jej twarz rozjaśniła się. – Kiedy się pobraliśmy, był taki zabawny. Śmialiśmy się przez cały czas. Przynosił mi drobne prezenty i... – Jej oczy zaszyły łzami. – Tak bardzo go kocham!

– Jeśli mogę ci pomóc...

– Dziękuję – szepnęła Peggy. – Jestem ci wdzięczna.

Kendall uściśniła jej dłoń.

– Później porozmawiamy.

Zeszła na dół, żeby dołączyć do pozostałych. Myślała: Kiedy byliśmy dziećmi, zanim mama umarła, mieliśmy takie wspaniałe plany. Ty zostaniesz sławną projektantką, siostrzyczko, a ja będę największym sportowcem świata! A najsmutniejsze, pomyślała, że to było możliwe. A teraz...

Sama nie wiedziała, kogo bardziej żałuje, Woody'ego czy Peggy.

U stóp schodów podszedł do niej Clark, niosąc list na tacy.

– Przepraszam, panienko Kendall. Poślaniec właśnie to doręczył.

Podał jej kopertę. Ze zdumieniem spojrzała na list.

– Kto...? – Skinęła głową. – Dziękuję, Clark.

Otworzyła kopertę, zaczęła czytać i zbladła.

– Nie! – zawołała bezgłośnie. Serce jej waliło, poczuła zawrót głowy. Oparła się o stół, próbując odzyskać równowagę.

Po chwili wyprostowała się i weszła do bawialni.

– Marc... – Zmusiła się do zachowania spokoju. – Mogę cię prosić na chwilę?

Spojrzał na nią z niepokojem.

– Tak, oczywiście.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Tyler.

Zdobyła się na uśmiech.

– Doskonale, dziękuję.

Wzięła Marca za rękę i poprowadziła na piętro. Kiedy weszli do sypialni, Kendall zamknęła drzwi.

– Co się stało? – zapytał Marc.

Podawała mu kopertę. List brzmiał następująco:

Droga pani Renaud,

Gratulacje! Towarzystwo Ochrony Dzikich Zwierząt z radością dowiedziało się o pani powrocie. Wiemy, jak bardzo interesuje panią nasza praca, liczymy więc na dalsze poparcie. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała pani zdeponować 1 milion dolarów USA na naszym rachunku bankowym w Zurychu w ciągu dziesięciu dni. Prosimy o szybką odpowiedź.

Tak jak w poprzednich listach, wszystkie litery „e” były pęknięte.

– Dranie! – wybuchnął Marc.

– Skąd wiedzieli, że jestem tutaj? – zapytała Kendall.

– Wystarczyło zajrzeć do gazety – rzucił z goryczą.

Ponownie przeczytał list i potrząsnął głową.

– Oni nie zrezygnują. Musimy zawiadomić policję.

– Nie! – zawołała Kendall. – Nie możemy! Za późno! Nie rozumiesz? To byłby koniec wszystkiego! Wszystkiego!

Marc objął żonę i przytulił mocno.

– No dobrze. Znajdziemy jakieś wyjście.

Ale Kendall wiedziała, że nie ma wyjścia.

To się wydarzyło przed kilkoma miesiącami, w piękny wiosenny dzień. Kendall pojechała na urodzinowe przyjęcie przyjaciółki do Ridgefield w Connecticut. Zabawa udała się wspaniale. Gawędziła ze starymi znajomymi. Wypiła kieliszek szampana. W środku rozmowy nagle spojrzała na zegarek.

– Ojej! Nie wiedziałam, że już tak późno. Marc na mnie czeka.

Pożegnała się pospiesznie, wsiadła do samochodu i odjechała. Wracając do Nowego Jorku, wybrała krętą wiejską drogę prowadzącą do autostrady I-684. Jechała z prędkością prawie pięćdziesięciu mil na godzinę, kiedy za ostrym zakrętem zobaczyła samochód zaparkowany po prawej stronie drogi. Automatycznie odbiła w lewo. W tej samej chwili kobieta z koszykiem świeżo zerwanych kwiatów ruszyła na drugą stronę wąskiej drogi. Kendall rozpaczliwie próbowała ją wyminąć, ale było za późno.

Wszystko jakby się zamazało. Kendall usłyszała głuchy huk, kiedy trafiła kobietę lewym przednim zderzakiem. Zahamowała z piskiem opon, dygocząc gwałtownie na całym ciele. Wyskoczyła z wozu i pobiegła do kobiety, która leżała na jezdni, zalana krwią.

Kendall zmartwiała z przerażenia. Po chwili przewyciężyła bezwład, pochyliła się, obróciła kobietę i spojrzała w jej niewidzące oczy.

– O mój Boże! – wyszeptała. Mdłości podeszły jej do gardła. Przerażona rozejrzała się, nie wiedząc, co robić. W zasięgu wzroku nie było żadnych samochodów. Ona nie żyje, pomyślała. Nie mogę jej pomóc. To nie była moja wina, ale oskarżą mnie o niebezpieczną jazdę po pijanemu. Badanie wykaże alkohol we krwi. Pójdę do więzienia!

Po raz ostatni spojrzała na ciało kobiety i pobiegła z powrotem do samochodu. Lewy przedni zderzak był wgnieciony, pokryty plamkami krwi. Muszę odstawić samochód do garażu. Policja będzie go szukać. Wsiadła do auta i odjechała.

Przez resztę drogi do Nowego Jorku wciąż spoglądała we wsteczne lusterko; spodziewała się, że lada chwila zobaczy czerwone migające światła i usłyszy jęk syreny. Dojechała do garażu na Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy, gdzie trzymała samochód. Jego właściciel, Sam, rozmawiał z mechanikiem Redem. Wsiadła z samochodu.

– Brywieczór, pani Renaud – powitał ją Sam.

– Do... dobry wieczór. – Z trudem powstrzymywała szczykowanie zębami.

– Odstawić na noc?

– Tak... tak, proszę.

Red oglądał zderzak.

– Ma pani tutaj paskudne wgniecenie, pani Renaud. To chyba krew.

Mężczyźni popatrzyli na nią.

Kendall głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Tak. Po... potrafiłam na szosie jelenia.

– Ma pani szczęście, że nie narobił więcej szkód – stwierdził Sam. – Mój kumpel potrafił jelenia i rozbił samochód na proszek. – Uśmiechnął się. – Jeleń też nieźle oberwał.

– Ja go tylko potrafiłam – oświadczyła sztywno Kendall.

– Jasne.

Podeszła do drzwi garażu i obejrzała się przez ramię. Dwaj mężczyźni uważnie oglądali zderzak.

Kiedy Kendall wróciła do domu i opowiedziała Marcowi o koszmarnym wypadku, objął ją i powiedział:

– O mój Boże! Kochanie, jak mogłaś...

Kendall szlochała.

– Nie... nie byłam w stanie nic zrobić. Ona wyszła na drogę tuż przede mną. Zrywała kwiaty i...

– Sza! To na pewno nie była twoja wina. Tylko wypadek. Musimy zawiadomić policję.

– Wiem. Masz rację. Ja... powinnam tam zostać i poczekać na nich. Po prostu... wpadłam w panikę, Marc. Teraz doszła ucieczka z miejsca wypadku. Ale nie mogłam jej pomóc. Była martwa. Powinieneś być widzieć jej twarz. Wyglądała okropnie.

Marc długo tulił żonę, dopóki się nie uspokoiła.

Wreszcie zapytała niepewnie:

– Marc... czy musimy iść na policję?

Zmarszczył brwi.

– O co ci chodzi?

Kendall walczyła ze wzbierającą histerią.

– No, przecież już się stało, prawda? Nie możemy jej wskrzesić. Czy to coś zmieni, jeśli mnie ukarzą? Nie chciałam tego zrobić. Dlaczego po prostu nie możemy udawać, że nic się nie wydarzyło?

– Jeżeli kiedyś wyśledzą...

– Jakim cudem? Tam nikogo nie było.

– A co z twoim samochodem? Masz jakieś uszkodzenia?

– Tylko wgniecenie. Powiedziałam właścicielowi garażu, że potraçałam jelenia. – Próbowała się opanować. – Marc, nikt nie widział wypadku... Wiesz, co ze mną będzie, jeśli mnie aresztują i wsadzą do więzienia? Stracę pozycję, wszystko, co budowałam od tylu lat, i za co? Przecież tamtego i tak już nie naprawię. Co się stało, to się nie odstanie! – Znowu zaczęła płakać.

Marc przytulił ją mocniej.

– Cii! Zobaczmy. Zobaczmy.

Poranne gazety rozdmuchały całą historię. Szczególnego dramatyizmu dodawał fakt, że ofiara jechała właśnie na Manhattan, by stanąć na ślubnym kobiercu. „The New York Times” potraktował to jak zwykłą wiadomość, natomiast „Daily News” i „Newsday” przedstawiły całe wydarzenie jako tragedię, obliczoną na wzruszenie czytelników.

Kendall kupowała wszystkie gazety i była coraz bardziej przerażona swoim postępkiem. W jej myślach powracały niezliczone „gdyby”:

Gdybym nie pojechała do Connecticut na urodziny przyjaciółki...

Gdybym została w domu tamtego dnia...

Gdybym nie piła żadnego alkoholu...

Gdyby ta kobieta zrywała kwiaty kilka sekund dłużej albo kilka sekund krócej...

Jestem odpowiedzialna za śmierć człowieka!

Kendall uświadomiła sobie straszliwy cios, jaki spadł na rodzinę tej kobiety i jej narzeczonego; znowu ogarnęły ją mdłości.

W prasie pojawiło się wezwanie policji, by każdy obywatel, który może udzielić wskazówek dotyczących ucieczki winnego z miejsca wypadku, zgłosił się do nich.

Nie mogą mnie znaleźć, myślała Kendall. Muszę tylko udawać, że nic się nie stało.

Nazajutrz rano, kiedy Kendall weszła do garażu po samochód, Red czekał na nią.

– Zmyłem krew – oznajmił. – Chce pani, żebym wyklepał wgniecenie?

Oczywiście! Powinnałam być wcześniej o tym pomyśleć.

– Tak, proszę.

Red dziwnie się jej przyglądał. Czy może tylko ponosiła ją wyobraźnia?

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Samem – powiedział. – Wie pani, jeleni powinien

bardziej uszkodzić samochód.

Serce Kendall załomotało gwałtownie. Nagle tak jej zaschło w ustach, że ledwie mogła mówić.

– To był... mały jeleni.

Red kiwnął tylko głową.

– Fakt, musiał być bardzo mały.

Kendall czuła jego spojrzenie, kiedy wyjeżdżała z garażu. Gdy tylko weszła do biura, jej sekretarka Nadine zawołała:

– Co się pani stało?

Kendall zamarła.

– Co... o co ci chodzi?

– Przecież widzę, że jest pani zdenerwowana. Zrobię kawy.

– Dzięki.

Podeszła do lustra. Twarz miała bladą i ściągniętą. Zdradziła mnie własna twarz!

Nadine przyniosła jej do gabinetu kubek gorącej kawy.

– Proszę. Od razu lepiej się pani poczuje. – Zerknęła na pracodawczynię z ciekawością. –

Wszystko w porządku?

– Miałam... miałam wczoraj drobny wypadek – powiedziała Kendall.

– Och? Ktoś został ranny?

Kendall zobaczyła w wyobraźni twarz martwej kobiety.

– Nie. Potrąciłam... jelenia.

– Co z samochodem?

– Jest w naprawie.

– Zadzwoń do towarzystwa ubezpieczeniowego.

– O nie, Nadine, proszę, nie dzwoń.

Zobaczyła zdziwienie w oczach sekretarki.

Dwa dni później przyszedł pierwszy list.

Droga pani Renaud,

jestem prezesem Towarzystwa Ochrony Dzikich Zwierząt, które boryka się z wielkimi trudnościami. Wiem, że pani zechce nam pomóc. Nasza organizacja potrzebuje pieniędzy na ochronę dzikich zwierząt. Szczególnie interesują nas jelenie. Proszę przesłać 50 000 \$ na konto numer 804072-A do banku Credit Suisse w Zurychu. Bardzo nam zależy, żeby pieniądze dotarły tam w ciągu pięciu dni.

Podpisu nie było. Wszystkie litery „e” miały pęknięcie. W kopercie znajdował się także

wycinek z gazety dotyczący wypadku.

Groźba była wyraźna. Kendall dwukrotnie przeczytała list. Nie wiedziała, co robić. Marc miał rację, pomyślała. Powinnam była pójść na policję. Ale teraz sytuacja znacznie się pogorszyła. Kendall ukrywała się przed prawem. Gdyby wszystko się wydało, czekałoby ją więzienie, hańba i koniec kariery.

W porze lunchu poszła do banku.

– Chcę przekazać pięćdziesiąt tysięcy dolarów do Szwajcarii...

Wieczorem, po powrocie do domu, Kendall pokazała list Marcowi. Był oszołomiony.

– Mój Boże! – zawołał. – Kto mógł to wysłać?

– Nikt... nikt niczego nie wie. – Zaczęła dygotać.

– Kendall, ktoś wie.

Drżała gwałtownie na całym ciele.

– Nikogo tam nie było, Marc! Ja...

– Zaczekaj chwilę. Spróbujmy to dokładnie wyjaśnić. Co się stało, kiedy wróciłaś do miasta?

– Nic. Odstawiłam samochód do garażu i... – urwała. „Ma pani tutaj paskudne wgniecenie, pani Renaud. To chyba krew”.

– Co...? – Marc patrzył na jej ściągniętą przestraczem twarz.

Powiedziała powoli:

– Właściciel i mechanik byli w garażu. Zobaczyli krew na zderzaku. Powiedziałam im, że potrafiłam jelenia, a oni na to, że uszkodzenia powinny być dużo większe. – Przypomniała sobie coś jeszcze. – Marc...

– Tak?

– Nadine, moja sekretarka. Powiedziałam jej to samo. Ale widziałam, że mi nie wierzy. Więc to musi być jedno z tej trójki.

– Nie – powiedział powoli Marc.

Zaskoczona podniosła na niego wzrok.

– Co masz na myśli?

– Usiądź, Kendall, i posłuchaj uważnie. Jeżeli któreś z nich cię podejrzewało, mogło o tym komuś opowiedzieć. Wszystkie gazety piszą o wypadku. Ta osoba dodała dwa do dwóch. Myślę, że list był blefem. Ktoś chciał cię sprawdzić. Popełniłaś okropny błąd, wysyłając pieniądze.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ teraz wiedzą, że jesteś winna, rozumiesz? Dostarczyłaś im dowodu, którego potrzebowali.

– O Boże! Co ja mam robić? – jęknęła.

Marc myślał przez chwilę.

– Mam pomysł, jak możemy wyśledzić tych drani.

Następnego dnia o dziesiątej rano siedzieli w gabinecie Russella Gibbonsa, wiceprezesa First Security Bank na Manhattanie.

- Czym mogę państwu służyć? – zapytał pan Gibbons.
- Chcielibyśmy sprawdzić numerowe konto bankowe w Zurychu – powiedział Marc.
- Tak?
- Chcemy dowiedzieć się, czyje to konto.

Gibbons potarł dłonią podbródek.

- Czy chodzi o przestępstwo?
- Nie! – odparł szybko Marc. – Dlaczego pan pyta?

– No, skoro nie ma podejrzenia o działalność przestępczą, jak pranie pieniędzy albo pogwałcenie prawa szwajcarskiego czy amerykańskiego, Szwajcaria nie naruszy tajemnicy numerowych kont bankowych. Zbudowali swoją reputację na zaufaniu klientów.

- Z pewnością jest jakiś sposób...
- Niestety, nie. Przykro mi.

Kendall i Marc wymienili spojrzenia. Na twarzy Kendall malowała się rozpacz. Marc wstał.

- Dziękuję, że poświęcił nam pan swój czas.
- Żałuję, że nie mogłem państwu pomóc. – Odprowadził ich do drzwi.

Tego wieczoru, kiedy Kendall wjechała do garażu, nie było w pobliżu ani Sama, ani Reda. Zaparkowała i kiedy mijała mały kantorek, zobaczyła przez szybę maszynę do pisania. Przystanąła i wbiła w nią spojrzenie, zastanawiając się, czy ma pękniętą literę „e”. Muszę sprawdzić, pomyślała.

Podeszła do drzwi, zawahała się chwilę, potem otworzyła je i weszła do środka. Kiedy pochyliła się nad maszyną, nagle jakby znikąd pojawił się Sam.

- Brywieczór, pani Renaud – powiedział. – Czym mogę służyć?

Zaskoczona Kendall drgnęła.

- Ja... ja tylko zostawiłam samochód. Dobranoc.
- Dobranoc, pani Renaud.

Rano, kiedy Kendall przechodziła obok kantorka, ujrzała w miejscu maszyny komputer osobisty.

Sam zauważył, że Kendall wpatruje się w komputer.

- Ładny, co? Postanowiłem dogonić dwudziesty wiek.

Odkąd go na to stać?

Kiedy wieczorem powiedziała o tym Marcowi, odparł z namysłem:

- Może masz rację, ale potrzebujemy dowodu.

W poniedziałek rano, kiedy Kendall weszła do biura, Nadine czekała na nią.

– Lepiej się pani czuje, pani Renaud?

– Tak, dziękuję.

– Wczoraj były moje urodziny. Proszę spojrzeć, co mąż mi podarował! – Nadine podeszła do szafy i wyjęła luksusowe futro z norek. – Czyż nie piękne?

Rozdział dziewiętnasty

Julia Stanford polubiła swoją współlokatorkę, zawsze pogodną i pełną werwy. Miała za sobą nieudane małżeństwo i przysięgała, że nigdy nie zwiąże się z żadnym mężczyzną. Julia nie była pewna, co znaczy „nigdy” w słowniku Sally, która co tydzień spotykała się z kimś innym.

– Najlepsi są żonaci – filozofowała. – Mają poczucie winy, więc ciągle kupują prezenty. Z kawalerem zadajesz sobie pytanie: dlaczego on jeszcze nikogo nie złapał?

Popatrzyła na Julię.

– Nie spotykasz się z nikim, prawda?

– Nie. – Julia pomyślała o mężczyznach, którzy zapraszali ją na randki. – Nie chcę się z nikim spotykać tylko dla zabicia czasu, Sally. Chcę być z kimś, na kim mi naprawdę zależy.

– No, to mam dla ciebie faceta! – zawołała Sally. – Zakochasz się! Nazywa się Tony Vinetti. Opowiadałam mu o tobie i strasznie chce cię poznać.

– Naprawdę nie uważam...

– Przyjedzie po ciebie jutro wieczorem o ósmej.

Tony Vinetti był wysoki, bardzo wysoki i atrakcyjny na swój niezgrabny sposób. Miał gęste, ciemne włosy, a na widok Julii błysnął rozbajającym uśmiechem.

– Sally nie przesadzała. Jesteś wystrzałowa!

– Dziękuję – powiedziała Julia. Poczła dreszczyk satysfakcji.

– Byłaś kiedyś u Houstona?

To była jedna z najlepszych restauracji w Kansas City.

– Nie. – Prawdę mówiąc, Julia nie mogła sobie pozwolić na Houstona. Nawet po podwyżce, którą ostatnio dostała.

– No więc tam mamy rezerwację.

Przy obiedzie Tony mówił głównie o sobie, ale Julii to nie przeszkadzało. Był zabawny i czarujący. „On jest zabójczy”, twierdziła Sally. I miała rację.

Obiad był przepyszny. Na deser Julia zamówiła suflet czekoladowy, a Tony wziął lody. Kiedy marudzili nad kawą, Julia myślała: Czy on mnie zaprosi do siebie? A jeśli tak, czy

pójdę? Nie, nie mogę. Nie na pierwszej randce. Pomyśli, że jestem łatwa. Kiedy się znowu spotkamy...

Przyniesiono rachunek. Tony sprawdził go.

– Wygląda w porządku – powiedział. Podliczył pozycje na rachunku. – Ty miałaś pasztet i homara...

– Tak.

– Frytki i sałatkę, i suflet?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Zgadza się.

– Okay. – Szybko podsumował. – Twój udział wynosi pięćdziesiąt dolarów i czterdzieści centów.

Julia była zaszokowana.

– Co takiego?

Tony błysnął zębami w uśmiechu.

– Wiem, jakie niezależne są teraz kobiety. Nie pozwalacie, żeby facet cokolwiek za was robił. Ale – dodał wielkodusznie – zapłacę twoją część napiwku.

– Żałuję, że się nie udało – powiedziała Sally. – On jest naprawdę miły. Spotkasz się z nim jeszcze?

– Nie stać mnie na niego – odparła zgryźliwie Julia.

– No, ale mam dla ciebie kogoś innego. Zakochasz się...

– Nie, Sally. Naprawdę nie chcę...

– Zaufaj mi.

Ted Riddle był mężczyzną przed czterdziestką, całkiem atrakcyjnym, musiała przyznać Julia. Zabrał ją na historyczne Wzgórze Truskawkowe, do restauracji słynącej z autentycznej kuchni chorwackiej.

– Mam wielki dług wdzięczności wobec Sally – powiedział Riddle. – Jesteś bardzo ładna.

– Dziękuję.

– Czy Sally ci mówiła, że prowadzę agencję reklamową?

– Nie, nie mówiła.

– Tak, jedną z największych firm w Kansas City. Wszyscy mnie znają.

– To miło. Ja...

– Obsługujemy kilku najważniejszych klientów w kraju.

– Naprawdę? Ja nie...

– O tak. Obsługujemy banki, wielkie firmy, supermarkety...

– No...

– ...całe sieci sklepów. O co zapytasz, reprezentujemy wszystko.

– To...

– Opowiem ci, jak zaczynałem...

Przez cały wieczór nie przestawał gadać i jedynym tematem był Ted Riddle.

– Pewnie po prostu się denerwował – wyjaśniała Sally.

– No, mnie na pewno doprowadził do szału. Jeżeli chcesz coś wiedzieć o życiu Teda Riddle’a od narodzin do chwili obecnej, nie krępuj się, pytaj śmiało!

– Jerry McKinley.

– Co?

– Jerry McKinley. Właśnie sobie przypomniałam. Spotykał się z moją przyjaciółką. Szalała za nim.

– Dziękuję, Sally, ale nie skorzystam.

– Zadzwońię do niego.

Następnego wieczoru zjawił się Jerry McKinley. Był przystojny i zachowywał się bardzo miło. Kiedy Julia otworzyła mu drzwi, powiedział:

– Randki w ciemno zawsze są krępujące. Sam jestem raczej nieśmiały, więc wiem, jak się czujesz, Julio.

Natychmiast go polubiła.

Poszli na obiad do chińskiej restauracji Evergreen na State Avenue.

– Pracujesz w firmie architektonicznej? To na pewno ciekawa praca. Ludzie często nie rozumieją, jak ważni są architekci.

On jest wrażliwy, pomyślała uszczęśliwiona Julia. Uśmiechnęła się.

– Zgadzasz się z tobą w pełni – powiedziała.

Wieczór był uroczy. Im dłużej rozmawiali, tym większą czuła sympatię do swego towarzysza. Zdecydowała się na zuchwały krok.

– Wpadniesz do mnie na pożegnalny kieliszek? – zapytała.

– Nie. Lepiej pojedźmy do mnie.

– Do ciebie?

Nachylił się do niej i ścisnął ją za rękę.

– Tam trzymam baty i łańcuchy.

Henry Wesson miał firmę księgową w tym samym budynku, gdzie pracowali Peters, Eastman & Tolkin. Dwa lub trzy razy w tygodniu Julia spotykała go rano w windzie. Wyglądał na miłego faceta po trzydziestce. Miał spokojną, inteligentną twarz, piaskowe włosy i nosił okulary w czarnych oprawkach.

Ich znajomość zaczęła się od uprzejmych ukłonów, potem „Dzień dobry”, następnie „Świetnie dzisiaj pani wygląda”, a po kilku miesiącach „Czy mógłbym kiedyś zaprosić panią na obiad?” Patrzył błagalnie, czekając na odpowiedź. Julia uśmiechnęła się.

– Zgoda.

Ze strony Henry'ego to była miłość od pierwszego wejrzenia. Na pierwszej randce zabrał Julię do EBT, jednej z najlepszych restauracji w Kansas City. Był wyraźnie przejęty tym spotkaniem.

Opowiedział jej trochę o sobie.

– Urodziłem się tutaj, w starym Kansas City. Mój ojciec też się tutaj urodził. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Wiesz, co mam na myśli?

Julia wiedziała, co miał na myśli.

– Zawsze chciałem zostać księgowym. Kiedy skończyłem szkołę, pracowałem w korporacji finansowej Bigelow & Benson. Teraz prowadzę własną firmę.

– To miło – powiedziała Julia.

– Tyle mam do powiedzenia na swój temat. Kolej na ciebie.

Julia milczała przez chwilę. Jestem nieślubną córką jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Pewnie o nim słyszałeś. Niedawno utonął. Jestem dziedziczką jego fortuny. Rozejrzała się po eleganckiej sali. Mogłabym kupić tę restaurację, gdybym zechciała. Pewnie mogłabym kupić całe miasto. Henry wpatrywał się w nią.

– Julio?

– Och! Przepraszam. Urodziłam się w Milwaukee. Mój... mój ojciec zmarł, kiedy byłam mała. Mama i ja wiele podróżowałyśmy. Kiedy odeszła, postanowiłam zostać tutaj i znaleźć pracę.

Mam nadzieję, że nos mi nie rośnie.

Henry Wesson nakrył jej rękę swoją dłonią.

– Więc nigdy nie miałaś mężczyzny, który się tobą opiekował. – Pochylił się i oświadczył z przejęciem: – Chciałbym opiekować się tobą do końca życia.

Julia spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie zamierzam odgrywać Doris Day, ale prawie się nie znamy.

– Więc zmienimy to.

Kiedy Julia wróciła do domu, Sally czekała na nią.

– No? – zapytała. – Jak się udała randka?

Julia powiedziała w zamyśleniu:

– On jest bardzo miły i...

– Szaleje za tobą!

– Chyba mi się oświadczył – uśmiechnęła się niepewnie Julia.

Sally szeroko otworzyła oczy.

– Chyba ci się oświadczył? Boże drogi! Nawet nie wiesz, czy facet się oświadczył?

– Powiedział, że chciałby opiekować się mną do końca życia.

– To oświadczyń! – wykrzyknęła Sally. – To oświadczyń! Wyjdź za niego! Szybko! Wyjdź za niego, zanim się rozmyśli!

Julia parsknęła śmiechem.

– Po co ten pośpiech?

– Posłuchaj. Zaproś go tutaj. Przygotuję obiad, a ty powiesz, że to ty ugotowałaś.

Julia śmiała się coraz bardziej.

– Nie, dziękuję. Kiedy znajdę mężczyznę mojego życia, będziemy jadali chińskie jedzenie na wynos, ale za to na pięknie nakrytym stole, ze świecami i kwiatami.

Na następnej randce Henry powiedział:

– Wiesz, Kansas City to wspaniałe miejsce do wychowywania dzieci.

– Tak, rzeczywiście. – Tylko że Julia nie była pewna, czy chce wychowywać jego dzieci.

Był porządnym, rozsądnym, odpowiedzialnym człowiekiem, ale...

– Ciągłe prosi, żebym za niego wyszła – powiedziała do Sally.

– Jaki on jest? – zapytała przyjaciółka.

Julia zastanawiała się przez chwilę, próbując wymyślić jakieś romantyczne określenia pasujące do Henry'ego Wessona.

– Jest porządny, rozsądny, odpowiedzialny...

Sally popatrzyła na nią uważnie.

– Znaczy, że jest nudny.

– Właściwie nie jest nudny... – zaprotestowała urażona Julia.

Sally mądrze pokiwała głową.

– Jest nudny. Wyjdź za niego.

– Co?

– Wyjdź za niego. Trudno jest znaleźć dobrego, nudnego męża.

Pomiędzy jedną wypłatą a drugą rozciągało się finansowe pole minowe. Czyny, potrącenia z pensji, koszty jedzenia, ubrania i utrzymania samochodu... Julia miała toyotę tercel i czasami myślała, że więcej wydaje na samochód niż na siebie. Ciągłe pożyczala pieniądze od Sally.

Pewnego wieczoru, kiedy Julia ubierała się do wyjścia, Sally zagadnęła:

– Kolejny szampański wieczór z Henrym, co? Dokąd cię dzisiaj zabiera?

– Idziemy do Symphony Hali. Występuje Cleo Laine.

– Henry znowu się oświadczył?

Julia zawahała się. Prawdę mówiąc, Henry oświadczał się jej za każdym spotkaniem. Czuli się przyparta do muru, ale jakoś nie mogła powiedzieć „tak”.

– Nie strać go – ostrzegła Sally.

Sally pewnie ma rację, pomyślała Julia. Henry Wesson byłby dobrym mężem. Jest taki porządny, rozsądny, odpowiedzialny... Zawahała się. Czy to nie wystarczy?

Kiedy Julia już była w drzwiach, Sally zawołała:

– Mogę pożyczyć twoje czarne buty?

– Jasne. – Julia wyszła.

Sally weszła do sypialni współlokatorki i otworzyła szafę. Pantofle, które chciała pożyczyć, stały na górnej półce. Kiedy po nie sięgnęła, strąciła kartonowe pudełko ustawione ryzykownie na samej krawędzi półki. Zawartość rozsypała się po całej podłodze.

– Cholera! – Sally uknęła, żeby pozbiierać papiery. Znalazła mnóstwo wycinków prasowych, fotografii i artykułów, dotyczących rodziny Harry’ego Stanforda. Olbrzymia kolekcja.

Nagle Julia wpadła z pośpiechem do pokoju.

– Zapomniałam mojej... – Zatrzymała się na widok rozsypanych papierów. – Co ty robisz?

– Przepraszam – usprawiedliwiała się Sally. – Pudełko spadło.

Zarumieniona Julia schyliła się i zaczęła wkładać papiery z powrotem do pudełka.

– Nie miałam pojęcia, że tak bardzo interesujesz się sławnymi ludźmi – powiedziała Sally.

Julia w milczeniu zbierała papiery. Kiedy podniosła stos fotografii, znalazła pod nim mały złoty medalionik w kształcie serduszka, który matka dała jej przed śmiercią. Sally przyglądała się jej ze zdumieniem.

– Julio?

– Co?

– Dlaczego tak się interesujesz Harrym Stanfordem?

– Wcale nie. To... należało do mojej matki.

Sally wzruszyła ramionami.

– Okay.

Sięgnęła po wycinek z jakiegoś brukowca. Nagłówek przyciągnął jej wzrok: **MAGNAT UWODZI GUWERNANTKĘ – NARODZINY DZIECKA Z NIEPRAWEGO ŁOŻA – MATKA I DZIECKO ZNIKAJĄ!**

Sally zagapiła się na Julię z otwartymi ustami.

– Mój Boże! Jesteś córką Harry’ego Stanforda!

Julia zacisnęła usta, potrząsnęła głową i dalej składała papiery.

– Jesteś czy nie?

Julia znieruchomiała.

– Proszę cię, wolałabym o tym nie mówić.

Sally skoczyła na równe nogi.

– Wolałabyś o tym nie mówić?! Jesteś córką jednego z najbogatszych ludzi na świecie i wolałabyś o tym nie mówić? Czyś ty oszalała?!

– Sally...

– Wiesz, ile on miał? Miliardy dolarów.

– To nie moja sprawa.

– Jeżeli jesteś jego córką, to właśnie twoja sprawa! Dziedziczysz po nim! Musisz tylko

powiedzieć rodzinie, kim jesteś i...

– Nie.

– Co: nie?

– Nie rozumiesz. – Julia podniosła się z podłogi i usiadła na łóżku. – Harry Stanford był okropnym człowiekiem. Porzucił moją matkę, Nienawidziła go i ja też go nienawidzę.

– Nie możesz nienawidzić kogoś, kto ma tyle pieniędzy. Możesz najwyżej go zrozumieć.

Julia potrząsnęła głową

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Julio, dziedziczki fortuny nie mieszkają w obskurnych norach, nie kupują używanych ciuchów i nie pożyczają, żeby zapłacić komorne. Twoja rodzina dostałaby szału, gdyby zobaczyła, jak żyjesz. Byliby upokorzeni.

– Oni nawet nie wiedzą, że żyję.

– Więc musisz im powiedzieć.

– Sally...

– Tak?

– Skończmy ten temat.

Sally patrzyła na nią przez długą chwilę.

– Jasne. Przy okazji, możesz mi pożyczyć milion albo dwa do wypłaty?

Rozdział dwudziesty

Tylera ponosiły nerwy. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny ciągle nakręcał domowy numer Lee, ale nikt nie odpowiadał. Z kim on jest? – zadreśla się Tyler. Co on robi?

Podniósł słuchawkę i ponownie wybrał numer. Telefon dzwonił przez długi czas i Tyler chciał już zrezygnować, kiedy usłyszał głos Lee.

– Halo.

– Lee! Jak się masz?

– Kto mówi, do cholery?

– Tyler.

– Tyler? – Krótkie milczenie. – Ach tak.

Tyler poczuł ukłucie rozczarowania.

– Co u ciebie?

– W porządku – powiedział Lee.

– Mówiłem ci, że będę miał dla ciebie cudowną niespodziankę.

– Tak? – Znudzony głos.

– Pamiętasz, co mi powiedziałeś o podróży do St.-Tropez pięknym białym jachtem?

– No i co?

– Chciałbyś popłynąć w przyszłym miesiącu?

– Mówisz poważnie?

– Jeszcze jak.

– No, nie wiem. Masz przyjaciela z jachtem?

– Sam zamierzam kupić jacht.

– Naćpałeś się czegoś, sędzio?

– Na... Nie, nie! Właśnie dostałem trochę pieniędzy. Sporo pieniędzy.

– St.-Tropez, he? Taak, to brzmi wspaniale. Jasne, bardzo chciałbym z tobą popłynąć.

Tylera ogarnęła głęboka ulga.

– Cudownie! Na razie wolałbym, żebyś nie... – Nawet nie mógł o tym myśleć. – Odezwę

się do ciebie, Lee.

Odłożył słuchawkę i usiadł na brzegu łóżka. „Bardzo chciałbym z tobą popłynąć”. Wyobrażał sobie ich dwóch na pięknym jachcie, razem podróżujących dookoła świata. Razem. Sięgnął po książkę telefoniczną i otworzył ją na żółtych kartkach.

Biura firmy John Alden Yachts, Inc. znajdują się na bostońskim handlowym nabrzeżu. Kierownik sprzedaży natychmiast podszedł do Tylera.

– Czym mogę panu służyć?

Tyler zmierzył go wzrokiem i rzucił niedbale:

– Chciałbym kupić jacht. – Słowa wibrowały mu na języku.

Jacht ojca prawdopodobnie stanowił część masy spadkowej, ale Tyler nie zamierzał dzielić się z rodzeństwem.

– Motorowy czy żaglowy?

– Ee... nie jestem pewien. Chciałbym popłynąć dookoła świata.

– Więc mówimy raczej o motorowym.

– Musi być biały.

Sprzedawca spojrzał na niego dziwnym wzrokiem.

– Tak, oczywiście. Jak dużą łódź pragnie pan nabyć?

„Blue Skies” ma sto osiemdziesiąt stóp.

– Dwieście stóp.

Sprzedawca zamrugał.

– Ach. Rozumiem. Oczywiście taki jacht będzie bardzo kosztowny, panie... hm...

– Sędzia Stanford. Moim ojcem był Harry Stanford.

Twarz sprzedawcy rozjaśniła się uśmiechem.

– Pieniądze nie grają roli – dodał Tyler.

– Oczywiście! A więc, panie sędzio, znajdziemy panu jacht, którego wszyscy będą zazdrościć. Biały, oczywiście. Oto katalog jachtów wystawionych na sprzedaż. Proszę zadzwonić, kiedy pan zdecyduje, które z nich pana interesują.

Woody Stanford myślał o kucach do polo. Przez całe życie jeździł na kucach przyjaciół, ale teraz stać go było na kupno najlepszej stadniny na świecie.

Zadzwoił do Mimi Carson.

– Chcę kupić twoje kuce – powiedział. W jego głosie dźwięczało podniecenie. Słuchał przez chwilę. – Tak, zgadza się, całą stadninę. Mówię całkiem poważnie. Właśnie...

Rozmowa trwała pół godziny i wreszcie rozpromieniony Woody odłożył słuchawkę. Poszedł poszukać Peggy.

Siedziała samotnie na werandzie. Woody widział sińce na jej twarzy w miejscu, gdzie ją uderzył.

– Peggy...

Z obawą podniosła wzrok.

– Tak?

– Muszę z tobą pomówić. Ja... nie wiem, od czego zacząć.

Czekała.

Woody głęboko zaczerpnął powietrza.

– Wiem, że byłem fatalnym mężem. Czasami postępowałem w sposób niewybaczalny. Ale, kochanie, teraz wszystko się zmieni. Nie rozumiesz? Jesteśmy bogaci. Naprawdę bogaci. Chcę ci wszystko wynagrodzić. – Wziął ją za rękę. – Tym razem kończę z narkotykami. Naprawdę. Zaczniemy zupełnie nowe życie.

Spojrzała mu w oczy i zapytała bezbarwnie:

– Naprawdę, Woody?

– Tak. Przysięgam. Wiem, że przysiękałem wcześniej, ale tym razem dotrzymam słowa. Podjąłem decyzję. Pójdę do jakiejś kliniki, gdzie mnie wyleczą. Chcę się wreszcie wyrwać z tego piekła. Peggy... – W jego głosie zabrzmiała prawdziwa rozpacz. – Nie mogę tego zrobić bez ciebie. Wiesz, że nie potrafię...

Patrzyła na niego przez długi czas, potem objęła go i przytuliła.

– Moje biedactwo – szepnęła. – Wiem. Pomogę ci...

Nadeszła pora wyjazdu Margo Posner.

Tyler znalazł ją w gabinecie. Zamknął drzwi.

– Jeszcze raz chcę ci podziękować, Margo.

Uśmiechnęła się.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę dobrze się bawiłam. – Zerknęła na niego spod oka. – Może powinnam zostać aktorką.

Tyler uśmiechnął się.

– Masz zdolności. Szybko podbiłaś naszą publiczność.

– Udało mi się, prawda?

– Oto reszta twoich pieniędzy. – Wyjął z kieszeni kopertę. – I bilet na samolot do Chicago.

– Dziękuję.

Spojrzał na zegarek.

– Lepiej już idź.

– Racja. Chcę tylko powiedzieć, że jestem ci wdzięczna. Za to, że wyciągnąłeś mnie z więzienia i w ogóle.

Tyler uśmiechnął się.

– W porządku. Życzę udanej podróży.

– Dzięki.

Patrzył, jak Margo idzie na górę, żeby się spakować. Gra była skończona. Szach i mat.

Margo Posner kończyła pakowanie, kiedy do sypialni weszła Kendall.

– Cześć. Julio. Chciałam tylko... – urwała. – Co ty robisz?

– Jadę do domu.

Kendall spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Tak szybko? Dlaczego? Myślałam, że spędzimy razem trochę czasu i lepiej się poznamy. Mamy tyle lat do nadrobienia.

– Jasne. No, może innym razem.

Kendall usiadła na brzegu łóżka.

– To istny cud, prawda? Odnaleźć się po tylu latach.

Margo nie przerwała pakowania.

– Taak. To rzeczywiście cud.

– Pewnie czujesz się jak Kopciuszek. To znaczy, żyjesz sobie zwyczajnie i nagle otrzymujesz miliard dolarów.

Margo przerwała pakowanie.

– Co?

– Mówiłam...

– Miliard dolarów?

– Tak. Zgodnie z testamentem ojca, tyle każde z nas dziedziczy.

Oszołomiona Margo wpatrywała się w Kendall.

– Wszyscy dostaniemy po miliardzie dolarów?

– Nie powiedzieli ci?

– Nie – odparła powoli Margo. – Nie powiedzieli.

Popatrzyła na Kendall z namysłem.

– Wiesz, masz rację. Chyba powinniśmy lepiej się poznać.

Tyler był w solarium i oglądał fotografie jachtów, kiedy zjawił się Clark.

– Przepraszam, panie sędzio. Telefon do pana.

– Odbiorę tutaj.

Dzwonił Keith Percy z Chicago.

– Tyler?

– Tak.

– Mam dla ciebie wspaniałą nowinę!

– O?

– Odchodzę na wcześniejszą emeryturę, co powiesz na stanowisko głównego sędziego?

Tyler z najwyższym trudem powstrzymał chichot.

– To byłoby cudownie, Keith.

– No więc załatwione!

– Ja... nie wiem, jak wyrazić wdzięczność. – Co powinienem powiedzieć? „Miliarderzy nie zasiadają za stołem sędziowskim w małych, brudnych sądach w Chicago, żeby wydawać wyroki na drobnych złodziejasków?” Albo: „Nie mam czasu, bo wybieram się w podróż jachtem dookoła świata?”

– Jak szybko możesz wrócić do Chicago?

– To trochę potrwa – odparł Tyler. – Mam tutaj jeszcze sporo spraw.

– No więc wszyscy czekamy na ciebie.

Nie czekajcie za długo.

– Do widzenia. – Tyler odłożył słuchawkę i spojrzął na zegarek. Margo powinna już wyjechać na lotnisko. Wszedł na górę sprawdzić.

W sypialni Margo rozpakowywała walizkę. Tyler spojrzął na nią ze zdumieniem.

– Nie jesteś gotowa.

Podniosła na niego wzrok z uśmiechem.

– Nie. Zmieniłam zdanie. Podoba mi się tutaj. Postanowiłam zostać dłużej.

Tyler zmarszczył brwi.

– Co ty wygadujesz? Spóźnisz się na samolot.

– Będą jeszcze inne samoloty, panie sędzio – uśmiechnęła się Margo. – Może nawet kupię sobie własny.

– Co ty bredzisz?

– Mówiłeś, że chcesz, żebym ci pomogła zrobić komuś kawał.

– Tak?

– No, najlepszy kawał zrobiłeś sam sobie. Jestem warta miliard dolarów.

Rysy twarzy Tylera stwardniały.

– Wynoś się stąd. Natychmiast.

– Doprawdy? Wyniosę się, kiedy będę gotowa – odparła Margo. – Jeszcze nie jestem gotowa.

Tyler wpatrywał się w nią uważnie.

– Czego... czego chcesz?

Margo kiwnęła głową.

– Tak lepiej. Miliarda dolarów, który mam odziedziczyć. Chciałeś zatrzymać go dla siebie, tak? Domyślałam się, że planujesz jakiś szwindel, żeby zgarnąć więcej forsy, ale miliard dolarów! To całkiem inna historia. Uważam, że zasłużyłam na swoją dolę.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Przepraszam państwa – powiedział Clark. – Podano lunch.

Margo odwróciła się do Tylera.

– Idź sam. Nie zejdem na lunch. Mam kilka ważnych spraw do załatwienia.

Później tego samego popołudnia do Rose Hill zaczęły nadchodzić paczki. Pudła sukienek od Armaniego, sportowe stroje ze Scaasi Boutique, bielizna od Jordana Marsha, futro z soboli od Neimana Marcusa i brylantowa bransoletka od Cartiera. Wszystkie paczki były zaadresowane do panny Julii Stanford.

Kiedy Margo wróciła o wpół do piątej, czekał na nią wściekły Tyler.

– Co ty wyprawiasz? – warknął.

Uśmiechnęła się.

– Potrzebowałam kilku drobiazgów. Ostatecznie twoja siostra musi się dobrze ubierać, prawda? Zdziwiające, jaki kredyt dostajesz w sklepach na nazwisko Stanford. Zajmiesz się rachunkami, dobrze?

– Julio...

– Margo – poprawiła go. – Przy okazji, widziałam na stole zdjęcia jachtów. Zamierzasz kupić jacht?

– Nie twój interes.

– Na pewno? Może ty i ja popłyniemy na wycieczkę. Nazwiemy jacht „Margo”. Czy raczej powinniśmy go nazwać „Julia”? Razem wyruszymy w podróż dookoła świata. Nie lubię samotności.

Tyler myślał przez chwilę.

– Chyba cię nie doceniałem. Bardzo sprytna z ciebie dziewczyna.

– Z twoich ust to prawdziwy komplement.

– Mam nadzieję, że jesteś również rozsądna.

– To zależy. Co nazywasz rozsądkiem?

– Milion dolarów. Gotówką.

Serce jej szybciej zabiło.

– I mogę zatrzymać rzeczy, które dzisiaj kupiłam?

– Zatrzymaj wszystko.

Margo odetchnęła głęboko.

– Umowa stoi.

– Dobrze. Dostarczę ci pieniądze jak najszybciej. Za kilka dni wracam do Chicago. – Wyjął z kieszeni klucz. – To do mojego domu. Zatrzymaj się tam i czekaj na mnie. I nie rozmawiaj z nikim.

– W porządku. – Z trudem ukrywała podniecenie. Może powinnam zażądać więcej, pomyślała.

– Zarezerwuję ci miejsce w najbliższym samolocie.

– A co z moimi zakupami...?

– Każę je wysłać.

– Dobrze. Hej, oboje nieźle na tym wyszliśmy, no nie?

Tyler kiwnął głową.

– Owszem.

Tyler odwiózł Margo na Międzynarodowe Lotnisko Logana. Przed wejściem do hali odlotów zapytała:

– Co powiesz tamtym? No wiesz, dlaczego wyjechałam.

– Powiem, że pojechałaś odwiedzić serdeczną przyjaciółkę, która ciężko zachorowała, przyjaciółkę z Ameryki Południowej.

Spojrzała na niego z namysłem.

– Wiesz co, panie sędzio? Szkoda mi tej wycieczki jachtem.

Przez głośniki zapowiedziano jej lot.

– Chyba muszę iść.

– Przyjemnej podróży.

– Dziękuję. Do zobaczenia w Chicago.

Tyler patrzył, jak Margo wchodzi do hali odlotów. Zaczekał na start samolotu. Potem wrócił do limuzyny i powiedział do szofera:

– Rose Hill.

W domu poszedł prosto do swojego pokoju i zadzwonił do głównego sędziego, Keitha Percy'ego.

– Wszyscy na ciebie czekamy, Tyler. Kiedy wracasz? Planujemy małą uroczystość na twoją cześć.

– Już niedługo, Keith – odparł. – Na razie chciałbym, żebyś mi pomógł w pewnej kłopotliwej sprawie.

– Oczywiście. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chodzi o tę kryminalistkę, której próbowałem pomóc. Margo Posner. Chyba ci o niej mówiłem.

– Pamiętam. Jakiś kłopot?

– Nieszczęsna kobieta wmówiła sobie, że jest moją siostrą. Pojechała za mną do Bostonu i próbowała mnie zamordować.

– Wielki Boże! To straszne!

– Właśnie wraca do Chicago, Keith. Ukradła klucz do mojego domu i nie wiem, co zamierza zrobić. Ta kobieta jest niebezpieczną psychopatką. Groziła, że zabije całą moją rodzinę. Chcę, żeby ją zamknięto w Ośrodku Zdrowia Psychicznego Reeda. Prześlij mi skierowanie, to je podpiszę. Sam załatwię dla niej badania psychiatryczne.

– Oczywiście. Zajmę się tym natychmiast, Tyler.

– Będę ci wdzięczny. Ona leci samolotem United Airlines, lot 307. W Chicago będzie wieczorem o ósmej piętnaście. Proponuję, żebyś wysłał po nią ludzi na lotnisko. Powiedz im, żeby byli ostrożni. Trzeba ją umieścić na oddziale zamkniętym i nie wpuszczać żadnych odwiedzających.

– Dopilnuję wszystkiego, Tyler. Przykro mi, że coś takiego cię spotkało.

W głosie Tylera brzmiało znużenie.

– Wiesz, jak to mówią, Keith: „Żaden dobry uczynek, nawet najmniejszy, nie ujdzie bezkarnie”.

Wieczorem przy obiedzie Kendall zapytała:

– Czy Julia dzisiaj nie przyjdzie?

– Niestety, nie – odparł Tyler ze smutkiem. – Prosiła mnie, żebym was pożegnał w jej imieniu. Pojechała do przyjaciółki w Ameryce Południowej, która miała zawał. To był nagły wypadek.

– Ale testament jeszcze nie został...

– Julia udzieliła mi pełnomocnictwa i prosiła, żebym przekazał jej część majątku na fundusz powierniczy.

Służący postawił przed Tylerem talerz bostońskiej zupy z mięczaków.

– Ach! – powiedział Tyler. – To wygląda smakowicie. Umieram z głodu.

Samolot linii United Airlines, rejs 307, podchodził do lądowania na Międzynarodowym Lotnisku O’Hara w Chicago zgodnie z rozkładem. Metaliczny głos przemówił z głośników:

– Panie i panowie, proszę zapiąć pasy.

Margo Posner wspaniale spędziła podróż. Przez większość czasu oddawała się marzeniom, co zrobi z milionem dolarów oraz strojami i biżuterią, które kupiła. I wszystko dlatego, że mnie zapudłowali! Ale numer!

Kiedy samolot wylądował, Margo Posner zabrała bagaż podręczny i zeszła po schodkach. Za nią ruszył steward. W pobliżu samolotu stał ambulans, obok czekało dwóch pielęgniarzy w białych fartuchach i lekarz. Steward wskazał im Margo.

Kiedy dotarła do końca schodów, jeden z oczekujących mężczyzn podszedł do niej.

– Przepraszam – powiedział.

Podniosła na niego wzrok.

– Tak?

– Czy pani Margo Posner?

– Owszem, o co...?

– Jestem doktor Zimmerman. – Wziął ją pod ramię. – Pozwoli pani z nami.

Pociągnął ją w stronę ambulansu. Margo próbowała się wyrwać.

– Chwileczkę! Co pan robi?

Dwaj pielęgniarze przysunęli się z obu stron i przytrzymali ją za ramiona.

– Proszę zachować spokój, panno Posner – powiedział lekarz.

– Ratunku! – krzyknęła Margo. Szarpała się z całych sił. – Na pomoc!

Inni pasażerowie przystanęli i zaczęli się gapić.

– Co z wami? – wrzasnęła Margo. – Ślepi jesteście? Porywają mnie! Jestem Julia Stanford! Jestem córką Harry’ego Stanforda!

– Tak, oczywiście – powiedział doktor Zimmerman uspokajającym tonem. – Tylko proszę nie robić sceny.

Pasażerowie patrzyli ze zdumieniem, jak wrzeszczącą i wierzgającą Margo wniesiono od tyłu do ambulansu.

W środku lekarz wyjął strzykawkę i przycisnął igłę do jej ramienia.

– Proszę się odprężyć – powiedział. – Wszystko będzie dobrze.

– Wyście chyba zwariowali! – zawołała. – Wyście powariowali. – Powieki zaczęły jej opadać.

Zamknięto tylne drzwi i karetka odjechała.

Po wysłuchaniu raportu Tyler roześmiał się głośno. Wyobrażał sobie, jak pielęgniarze obezwładniają tę chciwą dziwkę. Załatwi, żeby trzymano ją w szpitalu wariatów do końca życia.

Teraz gra naprawdę jest skończona, pomyślał. Udało mi się! Stary przewróciłby się w grobie, gdyby w ogóle miał jakiś grób i wiedział, że przejąłem kontrolę nad Przedsiębiorstwami Stanforda. Dam Lee wszystko, o czym tylko zamarzy.

Idealnie. Wszystko układało się idealnie.

Przeżycia tego dnia napęłniły Tylera seksualnym podnieceniem. Muszę się odprężyć. Otworzył walizkę i z samego dna wyciągnął książkę adresową. W spisie znalazł kilka gejowskich barów w Bostonie.

Wybrał Quest na Boylston Street. Opuścę sobie obiad. Pojadę prosto do klubu.

Julia i Sally ubierały się do pracy.

– Jak tam twoja wczorajsza randka z Henrym? – zapytała Sally.

– Jak zwykle.

– Aż tak źle? Czy już rozesłano zaproszenia na ślub?

– Broń Boże! – wzdrygnęła się Julia. – Henry jest miły, ale... – westchnęła – ...nie dla mnie.

– Ale to jest dla ciebie – powiedziała Sally i wręczyła Julii pięć kopert.

Wszystkie zawierały rachunki. Trzy miały adnotację ZALEGŁE, a na jednej widniał napis: TRZECIE PONAGLENIE. Julia wpatrywała się w nie przez chwilę.

– Sally, czy mogłabyś mi pożyczyć...

Sally popatrzyła na nią ze zdumieniem.

– Nie rozumiem cię – oświadczyła.

– Jak to?

– Harujesz jak niewolnica, nie masz z czego zapłacić rachunków, a przecież wystarczy ci

kiwnąć palcem, żeby zgarnąć ładnych kilka milionów.

– To nie moje pieniądze.

– Oczywiście, że twoje! – warknęła Sally. – Harry Stanford był twoim ojcem, prawda? Ergo, masz prawo do udziału w jego majątku. A ja rzadko używam słowa „ergo”.

– Daj spokój. Mówiłam ci, jak on potraktował moją matkę. Na pewno nie zostawił mi ani grosza.

Sally westchnęła.

– Cholera! A już myślałam, że będę mieszkać z miliarderką!

Zeszły na parking. Miejsce samochodu Julii było puste. Wstrząśnięta, gapiała się na prostokąt betonu.

– Nie ma samochodu!

– Na pewno wczoraj wieczorem go tutaj zostawiłaś? – zapytała Sally.

– Tak.

– Ktoś go ukradł!

Julia potrząsnęła głową.

– Nie – powiedziała powoli.

– Jak to?

Odwróciła się i spojrzała na przyjaciółkę.

– Widocznie go zabrali. Zalegam z trzema ratami.

– Cudownie – stwierdziła Sally bezbarwnie. – Po prostu cudownie.

Sally nie mogła przestać myśleć o sytuacji swojej współlokatorki. To jak w bajce, rozmyślała. Księżniczka, która nie wie, że jest księżniczką. Tylko w tym przypadku księżniczka wie o wszystkim, ale jest za dumna, żeby cokolwiek zrobić. To niesprawiedliwe! Rodzina ma tyle pieniędzy, a ona nie ma nic. No, jeśli ona nic nie zrobi, sama się tym zajmę. A ona jeszcze mi podziękuje.

Tego wieczoru, po wyjściu Julii, Sally ponownie przejrzała pudełko z wycinkami. Wyjęła najnowszy artykuł z gazety informujący, że potomkowie Stanforda wrócili do Rose Hill na uroczystości pogrzebowe.

Jeśli księżniczka do nich nie przyjdzie, pomyślała Sally, to oni przyjdą do księżniczki. Usiadła i zaczęła pisać list. List był adresowany do sędziego Tylera Stanforda.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Tyler Stanford podpisał skierowanie Margo Posner do Ośrodka Zdrowia Psychicznego Reed. Trzej psychiatry musieli wyrazić zgodę na przyjęcie pacjentki, ale Tyler wiedział, że załatwi to bez trudu.

Podsumował w pamięci wszystko, co zrobił od samego początku, i doszedł do wniosku, że jego plan nie miał żadnych luk. Dmitrij zniknął w Australii, a Margo Posner została usunięta ze sceny. Pozostawał Hal Baker, ale on nie będzie sprawiał kłopotów. Każdy ma swoją piętę achillesową, a słabością Bakera była ta głupia rodzina. Nie, on nic nie wygada, za bardzo się boi, że spędzi życie w więzieniu, z dala od swoich najdroższych.

Wszystko układało się idealnie.

Jak tylko zatwierdzą testament, natychmiast wracam do Chicago i zabieram Lee. Może nawet kupię dom w St.-Tropez. Zapalił się do tego pomysłu. Popłyniemy dookoła świata moim jachtem. Zawsze chciałem zobaczyć Wenecję... i Positano... i Capri... Pojedziemy do Kenii na safari i będziemy razem oglądać Tadź Mahal w blasku księżyca. A komu to wszystko zawdzięczam? Tatusiowi. Kochanemu ojczulkowi. „Jesteś ciotą, Tyler, i zawsze będziesz cholerną ciotą. Nie rozumiem, jak coś takiego mogło wyjść z moich łedźwi...” No i kto się śmieje ostatni, tatusiu?

Tyler zszedł na dół, żeby przyłączyć się do brata i siostry na lunchu. Znowu był głodny.

– Naprawdę szkoda, że Julia musiała wyjechać tak szybko – powiedziała Kendall. – Chciałabym lepiej ją poznać.

– Na pewno zamierza wrócić – zauważył Marc.

Święta racja, pomyślał Tyler. Już on dopilnuje, żeby Margo nigdy nie wyszła na wolność. Rozmowa skierowała się ku przyszłości.

Peggy odezwała się nieśmiało:

– Woody zamierza kupić stado kuców do polo.

– To nie jest żadne stado! – warknął Woody. – To stadnina. Stadnina kuców.

– Przepraszam, kochany. Ja tylko...

– Mniejsza z tym.

Tyler zwrócił się do Kendall:

– A ty jakie masz plany?

„...liczymy na pani dalsze poparcie... Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała pani zdeponować 1 milion dolarów USA... w ciągu dziesięciu dni...”

– Kendall?

– Och. Zamierzam... rozwinąć interes. Otworzę sklepy w Londynie i Paryżu.

– To bardzo ciekawe – powiedziała Peggy.

– Za dwa tygodnie mam pokaz w Nowym Jorku. Muszę wracać i wszystko przygotować.

– Kendall spojrzała na Tylera. – A ty na co zużyjesz swoją część majątku?

– Głównie na dobroczynność – odparł ze świątobliwą miną. – Jest tyle pożytecznych organizacji, które potrzebują pomocy.

Słuchał rozmowy przy stole tylko jednym uchem. Spoglądał na brata i siostrę. Gdyby nie ja, nie dostalibyście ani grosza! Ani grosza!

Popatrzył na Woody’ego. Jego brat stał się narkomanem, marnującym sobie życie. Pieniądze mu nie pomogą, pomyślał Tyler. Najwyżej kupi sobie więcej prochów. Zaciekawilo go, skąd Woody bierze towar.

Odwrócił się do siostry. Kendall była bystra i przebojowa, w pełni wykorzystała swoje zdolności.

Obok niej siedział Marc, opowiadając Peggy zabawną anegdotę. Przystojny i czarujący. Wielka szkoda, że jest żonaty.

No i została jeszcze Peggy. Zawsze myślał o niej: biedna Peggy. Nie rozumiał, jak mogła wytrzymać z Woodym. Widocznie bardzo go kocha. Z pewnością niewiele zyskała na swoim małżeństwie.

Ciekaw był, jakie miny zrobiliby zebrani przy stole, gdyby nagle wstał i powiedział: Przejąłem kontrolę nad Przedsiębiorstwami Stanforda. Kazałem zamordować naszego ojca, wykopać jego ciało i wynajęłam kryminalistkę, żeby udawała naszą przyrodnią siostrę. Uśmiechnął się na tę myśl. Z żalem zachował dla siebie swój rozkoszny sekret.

Po lunchu poszedł do sypialni, żeby ponownie zadzwonić do Lee. Telefon nie odpowiadał. Wyszedł z kimś, pomyślał zrozpaczony Tyler. Nie wierzy mi co do jachtu. No więc dam mu dowód! Kiedy wreszcie zatwierdzą ten cholerny testament? Muszę zadzwonić do Fitzgeralda albo do tego młodszego prawnika, Steve’a Sloane’a.

Zapukano do drzwi. Za drzwiami stał Clark.

– Przepraszam, panie sędzio. Przyszedł list do pana.

Pewnie od Keitha Percy’ego z gratulacjami.

– Dziękuję, Clark. – Tyler wziął kopertę. Miała adres zwrotny z Kansas City. Przez chwilę spoglądał na nią ze zdumieniem, potem wyjął list i zaczął czytać.

*Drogi sędzio Stanford,
powinien pan wiedzieć, że ma pan przyrodną siostrę imieniem Julia. Ona jest córką Rosemary Nelson i pańskiego ojca. Mieszka tutaj w Kansas City. Jej adres: 1425 Kansas Avenue, mieszkanie 3B, Kansas City, Kansas. Julia na pewno chciałaby dostać wiadomość od pana.*

Szczerze oddany Życzliwy

Tyler z niedowierzaniem wpatrywał się w list. Poczł zimny dreszcz.

– Nie! – krzyknął głośno. – Nie!

Nie pozwolę na to! Nie teraz! Może ona jest oszustką. Ale miał okropne przeczucie, że ta Julia jest prawdziwa. A teraz ta dziwka bezczelnie żąda swojej części majątku! Mojej części, poprawił się Tyler. Majątek nie należy do niej. Nie mogę jej tutaj wpuścić. Zniszczy cały plan. Będę musiał wytłumaczyć tamtą Julię i... Zadygotał. Nie! Muszę się jej pozbyć. Jak najszybciej.

Sięgnął po telefon i wybrał numer Hala Bakera.

Rozdział dwudziesty drugi

Dermatolog potrząsnął głową.

– Widywałem przypadki podobne do pańskiego, ale żaden tak poważny.

Hal Baker podrapał się po rękę i kiwnął głową.

– Widzi pan, panie Baker, mamy trzy możliwości. Przyczyną swędzenia jest albo grzyb, albo alergia, albo neurodermatoza. Pobrałem wycinek skóry z pańskiej dłoni, obejrzałem pod mikroskopem i nie znalazłem żadnego grzyba. I mówi pan, że w pracy nie używa pan chemikaliów...

– Zgadza się.

– A więc zawężiliśmy możliwości. Ma pan albo chroniczny liszaj prosty, albo miejscową neurodermatozę.

– To okropne. Może pan coś zaradzić?

– Na szczęście tak. – Lekarz wyjął tubkę maści z szafki w rogu gabinetu i zdjął nakrętkę.

– Czy ręka teraz swędzi?

Baker znowu się podrapał.

– Tak. Pali mnie jak ogniem.

– Proszę wetrzeć w dłoń trochę tej maści.

Hal Baker wycisnął trochę maści z tubki i zaczął wcierać w dłoń. I stał się cud.

– Przestało! – zawołał.

– Doskonale. Proszę używać maści, a skończą się pana kłopoty.

– Dziękuję, panie doktorze. Nawet pan nie wie, jaka to ulga.

– Wypiszę panu receptę. A tę tubkę może pan dla siebie zatrzymać.

– Dziękuję. – W drodze do domu Hal Baker śpiewał głośno. Po raz pierwszy, odkąd poznał sędziego Tylera Stanforda, ręka go nie swędziała. Doznawał cudownego poczucia wolności. Nadal pogwizdując, wstawił samochód do garażu i wszedł do kuchni. Helen czekała na niego.

– Dzwonił ktoś do ciebie – powiedziała. – Jakiś pan Jones. Mówił, że to pilne.

Ręka znowu zaczęła swędzieć.

Skrzywdził kilku ludzi, ale zrobił to z miłości do dzieci. Popelnił różne przestępstwa, ale zrobił to dla rodziny. Hal Baker uważał, że nie ponosi winy za swoje postęпки. Ale to było co innego. Tym razem chodziło o morderstwo z zimną krwią.

Kiedy usłyszał polecenie przez telefon, zaprotestował:

– Nie mogę tego zrobić, panie sędzio. Niech pan znajdzie kogoś innego.

W słuchawce zapadło milczenie. A potem głos zapytał:

– Jak tam rodzina?

Lot do Kansas City przebiegał gładko. Sędzia Stanford udzielił mu szczegółowych instrukcji. „Nazywa się Julia Stanford. Masz jej adres i numer mieszkania. Nie spodziewa się ciebie. Musisz tylko tam pójść i załatwić ją”.

Wziął taksówkę z lotniska w Kansas City do śródmieścia.

– Piękny dzień – powiedział kierowca taksówki.

– Aha.

– Skąd pan przyleciał?

– Z Nowego Jorku. Mieszkam tam.

– Przyjemnie tam mieszkać.

– Jasne. Muszę naprawić parę rzeczy w domu. Podrzuci mnie pan do sklepu z narzędziami?

– Dobrze.

Pięć minut później Hal Baker mówił do sprzedawcy w sklepie:

– Potrzebuję myśliwskiego noża.

– Akurat mamy coś takiego, proszę pana. Proszę tędy.

Nóż był piękny, długi na sześć cali, z ostrym, spiczastym czubkiem i żłobkowanymi krawędziami.

– Czy ten się nada?

– Na pewno – powiedział Hal Baker.

– Płaci pan gotówką czy czekiem?

– Gotówką.

Potem wstąpił do sklepu papierniczego.

Hal Baker przez pięć minut obserwował blok mieszkalny przy 1425 Metcalf Avenue, badając wszystkie wejścia i wyjścia. Odszedł i wrócił o ósmej wieczorem, kiedy zapadał zmrok. Chciał się upewnić, że Julia Stanford wróciła już po pracy do domu. W budynku nie było portiera. Winda działała, ale on wybrał schody. Lepiej unikać małych, zamkniętych pomieszczeń. To były pułapki. Wszedł na trzecie piętro. Mieszkanie 3B znajdowało się w głębi po lewej. Nóż miał przyklejony taśmą do wewnętrznej kieszeni marynarki. Nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi się otworzyły i zobaczył przed sobą młodą, atrakcyjną kobietę.

Miała miły uśmiech.

– Pan w jakiej sprawie?

Była młodsza, niż się spodziewał. Zastanowił się przelotnie, dlaczego sędzia Stanford chce ją zabić. No, to nie moja sprawa. Wyjął wizytówkę i podał jej.

– Jestem z Towarzystwa A.C. Nielsena – powiedział gładko. – Nie mamy tutaj nikogo z rodziny Nielsenów i szukamy ludzi zainteresowanych współpracą.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie, dziękuję. – Zaczęła zamykać drzwi.

– Płacimy sto dolarów tygodniowo.

Drzwi znieruchomiały.

– Sto dolarów tygodniowo?

– Tak! proszę pani.

Drzwi otwarły się szeroko.

– Trzeba tylko zapisywać tytuły programów, które się ogląda. Damy pani umowę na rok.

Pięć tysięcy dolarów!

– Proszę wejść – powiedziała.

Wszedł do mieszkania.

– Proszę usiąść, panie...

– Allen. Jim Allen.

– ...panie Allen. Dlaczego pan wybrał właśnie mnie?

– Nasze towarzystwo stosuje wybór losowy. Musimy mieć pewność, że żadna z pracujących dla nas osób nie jest związana z telewizją, żeby nie zafałszować wyników. Nie ma pani żadnych powiązań z programami albo sieciami telewizyjnymi?

Roześmiała się.

– O rany, nie. Właściwie co miałabym robić?

– To bardzo proste. Damy pani kartę ze spisem wszystkich programów i za każdym razem kiedy ogląda pani jakiś program, musi go pani tylko zaznaczyć. Dzięki tym danym nasz komputer może obliczyć, ilu widzów ma każdy program. Rodzina Nielsenów jest rozproszona po całych Stanach Zjednoczonych, więc z naszych badań jasno wynika, które programy są popularne na danym obszarze i wśród jakich ludzi. Jest pani zainteresowana?

– O tak.

Wyjął formularze i długopis.

– Ile godzin dziennie ogląda pani telewizję?

– Niezbyt dużo. Pracuję przez cały dzień.

– Ale czasami ogląda pani telewizję?

– Tak, oczywiście. Oglądam wiadomości wieczorem i czasami stare filmy. Lubię Larry'ego Kinga.

Zrobił notatkę.

– Czy ogląda pani dużo programów oświatowych?

– Oglądam PBS w niedziele.

– Aha, mieszka pani sama?

– Mam współlokatorkę, ale teraz jej nie ma.

Więc jesteśmy sami.

Ręka zaczęła go swędzieć. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, żeby odlepić nóż.

Usłyszał w korytarzu za drzwiami kroki. Cofnął rękę.

– Mówił pan, że dostanę pięć tysięcy dolarów rocznie tylko za wypełnianie karty?

– Tak jest. Och, zapomniałem powiedzieć. Damy także pani nowy kolorowy telewizor.

– Fantastycznie!

Kroki ucichły. Znowu sięgnął do kieszeni i namacał rękojeść noża.

– Przepraszam, czy mogę dostać szklankę wody? Miałem ciężki dzień.

– Oczywiście.

Patrzył, jak dziewczyna wstaje i podchodzi do małego barku w rogu. Wyciągnął nóż z pochwy i podkraść się do niej od tyłu.

– Moja współlokatorka częściej ode mnie ogląda PBS – mówiła.

Podniósł nóż, gotowy do ciosu.

– Ale Julia jest bardziej intelektualna.

Ręka Bakera zamarła w powietrzu.

– Julia?

– Moja współlokatorka. Raczej była współlokatorka. Wyjechała. Znalazłam kartkę po powrocie do domu. Napisała, że wyjeżdża i nie wie, kiedy... – Odwróciła się ze szklanką wody w rękę i zobaczyła wzniesiony nóż.

Wrzasnęła.

Hal Baker odwrócił się i uciekł.

Baker zadzwonił do Tylera Stanforda.

– Jestem w Kansas City, ale dziewczyna zniknęła.

– Jak to zniknęła?

– Jej współlokatorka mówi, że wyjechała.

Tyler milczał przez chwilę.

– Mam przecucie, że ona przyjechała do Bostonu. Chcę, żebyś zaraz tutaj się zjawił.

– Tak, proszę pana.

Tyler Stanford trzasnął słuchawką i zaczął spacerować po pokoju. Wszystko układało się tak idealnie! Dziewczynę trzeba znaleźć i zlikwidować. Stanowiła potencjalne zagrożenie. Nawet po uzyskaniu kontroli nad majątkiem Tyler nie mógłby spać spokojnie, wiedząc, że ona żyje. Muszę ją znaleźć, pomyślał. Muszę! Ale jak?

Clark wszedł do pokoju z zakłopotaną miną.

– Przepraszam, panie sędzio. Przyszła panna Julia Stanford.

Rozdział dwudziesty trzeci

To z powodu Kendall Julia postanowiła pojechać do Bostonu. Pewnego dnia, wracając z lunchu, przechodziła obok ekskluzywnego sklepu z konfekcją, gdzie na wystawie wisiał oryginalny model projektu Kendall. Julia długo wpatrywała się w model. To moja siostra, myślała. Nie mogę jej winić za to, co się stało z moją matką. I nie mogę winić moich braci. Nagle ogarnęło ją przemożne pragnienie, żeby ich zobaczyć, dotknąć, rozmawiać z nimi, żeby wreszcie mieć rodzinę.

Po powrocie do biura Julia powiedziała Maksowi Tolkinowi, że wyjeżdża na kilka dni. Z zakłopotaniem dodała:

– Czy mogłabym dostać wcześniej wypłatę?

Tolkin uśmiechnął się.

– Jasne. Zasłużyła pani na wakacje. Proszę. Życzę udanej podróży.

Czy to będzie udana podróż? – pomyślała Julia. Czy może popełniam okropny błąd?

Kiedy Julia wróciła do domu, Sally jeszcze nie przyszła. Nie będę na nią czekać, postanowiła. Jeśli teraz nie pojedę, nie zrobię tego już nigdy. Spakowała walizkę i napisała wiadomość.

W drodze na dworzec autobusowy o mało się nie rozmyśliła. Co ja robię? Dlaczego tak nagle się zdecydowałam? Potem pomyślała zgryźliwie: Nagle? czekałam czternaście lat! Przepęliło ją radosne uniesienie. Jaka będzie jej rodzina? Wiedziała, że jeden z braci jest sędzią, drugi znanym graczem w polo, a siostra słynną projektantką. Wszyscy coś osiągnęli w życiu, pomyślała Julia, a kim ja jestem? Mam nadzieję, że nie będą na mnie patrzeć z góry. Na samą myśl o przyszłym spotkaniu serce Julii zabiło mocniej. Wsiadła do autobusu Greyhounda i wyruszyła w drogę.

Kiedy autobus przyjechał na Dworzec Południowy w Bostonie, wzięła taksówkę.

– Dokąd, proszę pani? – zapytał kierowca.

Nagle Julia kompletnie straciła odwagę. Zamierzała powiedzieć „Rose Hill”. Zamiast tego bąknęła:

– Nie wiem.

Taksówkarz odwrócił się i popatrzył na nią.

– Rany, ja też nie.

– Może pan po prostu pojeździć po mieście? Nigdy nie byłam w Bostonie.

– Jasne – kiwnął głową.

Pojechali na zachód Summer Street aż do Boston Common.

– To jest najstarszy publiczny park w Stanach Zjednoczonych – powiedział taksówkarz. – Kiedyś wieszano tutaj ludzi.

Julia usłyszała głos matki: „W zimie zabierałam dzieci do parku na łyżwy. Woody był urodzonym sportowcem. Szkoda, że go nie znałaś, Julio. Taki przystojny chłopiec. Zawsze myślałam, że z całej rodziny on najdalej zajdzie”. Zupełnie jakby matka z nią była, dzieląc tę chwilę.

Dojechali do Charles Street, ulicy, przy której znajdowały się Publiczne Ogrody.

– Widzi pani te kaczuszki z brązu? – zapytał taksówkarz. – Nie uwierzy pani, ale wszystkie mają imiona.

„Urządzaliśmy pikniki w Publicznych Ogrodach. Na bramie są śliczne kaczuszki z brązu. Nazywają się Jack, Kack, Lack, Mack, Nack, Ouack, Pack i Quack”. Julię tak to rozbawiło, że kazała matce powtarzać te imiona wciąż i wciąż.

Spojrzała na licznik. Wycieczka stawała się kosztowna.

– Może pan mi polecić tani hotel?

– Jasne. Co pani powie na Copley Square?

– Zawiezie mnie pan tam?

– Dobrze.

Po pięciu minutach taksówka zatrzymała się.

– Życzę udanego pobytu w Bostonie.

– Dziękuję. – Czy to będzie udany pobyt, czy też katastrofa?

Zapłaciła taksówkarzowi i weszła do hotelu. Podeszła do młodego recepcjonisty za kontuarem.

– Dzień dobry – powitał ją. – Czym mogę służyć?

– Chciałabym dostać pokój.

– Pojedynczy?

– Tak.

– Jak długo pani zostaje?

Julia zawahała się. Godzinę? Dziesięć lat?

– Nie wiem.

– W porządku – powiedział recepcjonista. Sprawdził klucze na tablicy. – Mam dla pani ładny pojedynczy pokój na czwartym piętrze.

– Dziękuję. – Starannie wpisała się do książki gości. JULIA STANFORD.

Urzędnik podał jej klucz.

– Proszę bardzo. Życzę miłego pobytu.

Pokój był mały, ale czysty i schludny. Julia zadzwoniła do Sally, jak tylko rozpakowała walizkę.

– Julia? Mój Boże! Gdzie jesteś?

– W Bostonie.

– Nic ci się nie stało? – W głosie Sally brzmiała histeria.

– Nie, dlaczego?

– Ktoś przyszedł do mieszkania, szukał ciebie i myślę, że chciał cię zabić!

– Co ty wygadujesz?

– Miał nóż i... powinnaś widzieć wyraz jego twarzy... – Sally z trudem łapała oddech. –

Kiedy zrozumiał, że nie jestem tobą, uciekł!

– Nie wierzę!

– Twierdził, że pracuje dla A.C. Nielsenów, ale zadzwoniłam do ich biura, powiedzieli, że nigdy o nim nie słyszeli! Znasz kogoś, kto chce cię zabić?

– Oczywiście, że nie, Sally! Nie bądź śmieszna! Dzwoniłaś na policję?

– Dzwoniłam. Ale co mogli zrobić, powiedzieli tylko, żebym była ostrożna.

– No, nic mi nie jest, więc przestań się martwić.

Usłyszała, jak Sally głęboko wciąga powietrze.

– Dobrze. Skoro nic ci nie jest. Julio?

– Tak?

– Uważaj, proszę.

– Oczywiście. – Sally i ta jej wyobraźnia! Dlaczego ktoś chciałby mnie zabić?

– Wiesz, kiedy wracasz?

O to samo pytał recepcjonista.

– Nie.

– Pojechałaś odwiedzić rodzinę, tak?

– Tak.

– Powodzenia.

– Dzięki, Sally.

– Odezwij się.

– Dobrze.

Julia odłożyła słuchawkę. Zastanawiała się, co dalej. Gdybym miała trochę rozumu, wsiadłabym do autobusu i wróciła do domu. To zwykle wykręty. Czy przyjechałam do Bostonu, żeby oglądać widoki? Nie. Przyjechałam, żeby poznać moje rodzeństwo. Czy pojedę ich odwiedzić? Nie... Tak...

Siedziała na brzegu łóżka, walcząc z myślami. A jeśli mnie znienawidzą? Nie wolno mi tak myśleć. Pokochają mnie i ja ich pokocham. Spojrzała na telefon i pomyślała: Może

powinnam najpierw zadzwonić. Nie. Wtedy będą mogli mnie splawić. Podeszła do szafy i wyjęła najlepszą sukienkę. Teraz albo nigdy, pomyślała.

Trzydzieści minut później jechała taksówką do Rose Hill.

Rozdział dwudziesty czwarty

Tyler wpatrywał się w Clarka z niedowierzaniem.

– Julia Stanford... jest tutaj?

– Tak, proszę pana. – W głosie kamerdynera brzmiało zmieszanie. – Ale to nie jest ta sama panna Stanford, która była tu wcześniej.

Tyler zdobył się na wymuszony uśmiech.

– Oczywiście, że nie. Obawiam się, że to naciągaczka.

– Naciągaczka, proszę pana?

– Tak. Zlecą się jak pszczoły do miodu, Clark, żeby żądać udziału w rodzinnej fortunie.

– To okropne, proszę pana. Czy mam wezwać policję?

– Nie – powiedział szybko Tyler. Tylko policji mu brakowało. – Sam to załatwię. Przyślij ją do biblioteki.

– Tak, proszę pana.

Tyler myślał gorączkowo. Więc prawdziwa Julia Stanford wreszcie się zjawiła. Całe szczęście, że nikogo z rodziny akurat nie było w domu. Trzeba pozbyć się jej natychmiast.

Wszedł do biblioteki. Julia stała pośrodku pokoju, spoglądając na portret Harry’ego Stanforda. Tyler przyglądał się jej przez chwilę. Była piękna. Wielka szkoda, że...

Julia odwróciła się i zobaczyła go.

– Witam – uklonił się sztywno.

– Pan jest Tyler.

– Zgadza się. A kim pani jest?

Jej uśmiech zbladł.

– Czy nie...? Jestem Julia Stanford.

– Doprawdy? Wybacz pani, że pytam, ale czy ma pani jakiś dowód?

– Dowód? No tak... to znaczy... nie mam dowodu. Po prostu myślałam...

Tyler przysunął się do niej bliżej.

– Dlaczego pani tutaj przyjechała?

– Zdecydowałam, że już pora poznać rodzinę.

– Po dwudziestu sześciu latach?

– Tak.

Patrząc na nią, słuchając, jak mówi, Tyler nie miał żadnych wątpliwości. Ona była prawdziwa, a więc niebezpieczna i powinien szybko się jej pozbyć.

Zdobył się na uśmiech.

– No, może sobie pani wyobrazić, jaki to dla mnie wstrząs. Pani zjawia się tak nagle i...

– Wiem. Przepraszam. Powinnam chyba najpierw zadzwonić.

– Przyjechała pani do Bostonu sama? – zapytał Tyler.

– Tak.

Jego myśli galopowały jak szalone.

– Czy ktoś wie, że pani tutaj jest?

– Nie. No, moja współlokatorka Sally w Kansas City...

– Gdzie się pani zatrzymała?

– W Copley Square.

– To przyjemny hotel. W którym pokoju pani mieszka?

– Czteryście dziewiętnaście.

– W porządku. Niech pani tam wróci i zaczeka na nas. Chciałbym uprzedzić Woody'ego i Kendall. Będą zaskoczeni nie mniej ode mnie.

– Przepraszam. Powinnam była...

– Nie szkodzi. Teraz, kiedy się spotkaliśmy, wiem, że wszystko będzie dobrze.

– Dziękuję, Tyler.

– Proszę bardzo... – niemal zakrztusił się następnym słowem – ...Julio. Wezwę dla ciebie taksówkę.

Po pięciu minutach odjechała.

Hal Baker wrócił właśnie do hotelowego pokoju w centrum Bostonu, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

– Hal?

– Przepraszam, ale jeszcze nie mam nic nowego, panie sędzio. Przeczesałem całe miasto. Pojechałem na lotnisko i...

– Ona jest tutaj, durniu!

– Co?

– Jest tutaj, w Bostonie. Mieszka w hotelu Copley Square, pokój czterysta dziewiętnaście. Chcę, żebyś ją zlikwidował dzisiaj wieczorem. I żadnej fuszerki więcej, rozumiano?

– To nie była moja...

– Zrozumiano?

– Tak, panie sędzio.

– Więc do roboty! – Tyler trzasnął słuchawką.

Poszedł poszukać kamerdynera.

– Clark, chodzi o tę młodą kobietę, która przyszła, udając, że jest moją siostrą.

– Tak, proszę pana?

– Wolałbym, żebyś o niej nie wspominał pozostałym członkom rodziny. To ich tylko zdenerwuje.

– Rozumiem, panie sędzio. Pan jest bardzo przewidujący.

Julia poszła na obiad do hotelu Ritz-Carlton. Był rzeczywiście piękny, tak jak opowiadała matka. „W niedziele zabierałam tam dzieci na brunch^{*}”. Julia siedziała w jadalni i wyobrażała sobie matkę przy stole obok małego Tylera, Woody’ego i Kendall. Szkoda, że nie dorastałam razem z nimi, pomyślała. Ale przynajmniej teraz ich poznam. Zastanawiała się, czy matka pochwalałaby jej zamiary. Zachowanie Tylera trochę ją zmroziło. Był taki... chłodny. Ale to całkiem naturalne, tłumaczyła sobie Julia. Obca osoba wchodzi do pokoju i mówi: „Jestem twoją siostrą”. To oczywiste, że wzbudziłam w nim podejrzenia. Ale na pewno ich przekonam.

Kiedy przyniesiono rachunek, Julia przeżyła wstrząs. Muszę bardziej uważać, pomyślała. I odłożyć sobie pieniądze na powrotny autobus do Kansas.

Kiedy wyszła z Ritz-Carltona, właśnie odjeżdżał autobus turystyczny. Pod wpływem impulsu wsiadła. Chciała obejrzeć jak najwięcej w mieście swojej matki.

Hal Baker wkroczył energicznie do westybulu hotelu Copley Square, jakby tam mieszkał. Wszedł po schodach na czwarte piętro. Tym razem nie popełni błędu. Pokój 419 znajdował się w połowie korytarza. Hal Baker starannie sprawdził, czy korytarz jest pusty, zanim zapukał do drzwi. Odpowiedziała mu cisza. Zapukał jeszcze raz.

– Panno Stanford? – Znowu brak odpowiedzi.

Wyciągnął z kieszeni małe pudełeczko i wyjął z niego wytrych. Otwarcie drzwi zabrało mu tylko parę sekund. Wszedł i zamknął drzwi za sobą. Pokój był pusty.

– Panno Stanford?

Wszedł do łazienki. Pusta. Wrócił do sypialni. Wyjął nóż z kieszeni, przysunął krzesło do drzwi i usiadł. Czekał w ciemnościach. Po godzinie usłyszał zbliżające się kroki.

Wstał szybko i stanął za framugą drzwi, z nożem w ręku. Usłyszał klucz obracający się w zamku. Drzwi zaczęły się otwierać. Wzniósł nóż nad głowę, gotowy do ciosu. Julia Stanford weszła, włączyła światło i powiedziała:

– No dobrze, wejdźcie.

Do pokoju wdarł się tłum reporterów.

* brunch – niedzielny posiłek spożywany około południa, połączenie śniadania i lunchu (przyp. tłum.)

Rozdział dwudziesty piąty

Życie Julii uratował niechcący Gordon Wellman, kierownik nocnej zmiany w hotelu Copley Square. Przyszedł na dyżur o szóstej wieczorem i automatycznie sprawdził rejestr gości. Natrafił na nazwisko Julii Stanford i ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Od śmierci Harry'ego Stanforda gazety ciągle pisały o rodzinie Stanfordinów. Dziennikarze odgrzebali dawny skandaliczny romans Stanforda z guwernantką i samobójstwo jego żony. Harry Stanford miał nieślubną córkę imieniem Julia. Krążyły plotki, że Julia w tajemnicy przyjechała do Bostonu. Urządziła orgię zakupów, a wkrótce potem wyjechała, podobno do Ameryki Południowej. Teraz chyba wróciła. I zatrzymała się w moim hotelu! – rozmyślał podekscytowany Gordon Wellman.

Do recepcjonisty powiedział:

– Wiesz, jaka to dla nas reklama?

Po minucie rozmawiał przez telefon z prasą.

Kiedy Julia wróciła do hotelu po turystycznej turze autobusowej, w westybulu kłębił się tłum reporterów, niecierpliwie czekających na nią. Jak tylko weszła w drzwi, zaatakowali:

– Panno Stanford! Jestem z „The Boston Globe”. Szukaliśmy pani, ale powiedziano nam, że wyjechała pani z miasta. Proszę nam powiedzieć...

Wycelowano w nią kamerę telewizyjną.

– Panno Stanford, jestem ze stacji WCVB. Zechce pani złożyć oświadczenie...

– Panno Stanford, jestem z „The Boston Phoenix”. Chcemy poznać pani reakcję na...

– Proszę spojrzeć tutaj, panno Stanford! Uśmiech! Dziękuję.

Strzelały flesze.

Julia stała bez ruchu, zmieszana i oszołomiona. O mój Boże, rodzina pomyśli, że specjalnie szukam rozgłosu. Odwróciła się do reporterów.

– Przepraszam, ale nie mam nic do powiedzenia.

Uciekła do windy. Wcisnęli się za nią.

– Magazyn „People” chce poznać historię pani życia i dowiedzieć się, co pani czuje

spotykając rodzinę po ponad dwudziestopięcioletniej rozłące...

– Słyszeliśmy, że wyjechała pani do Ameryki Południowej...

– Czy pani zamieszka w Bostonie...?

– Dlaczego pani nie zatrzymała się w Rose Hill...?

Julia wysiadła z windy na czwartym piętrze i pobiegła korytarzem. Reporterzy deptali jej po piętach. Nie miała gdzie przed nimi uciec.

Wyjęła klucz i otworzyła drzwi do swojego pokoju. Weszła do środka i zapaliła światło.

– No dobrze, wejdźcie.

Zaskoczony Hal Baker znieruchomiał, z nożem w uniesionej ręce. Kiedy reporterzy przepychali się obok niego, pospiesznie schował nóż do kieszeni i zmieszał się z tłumem.

Julia odwróciła się do reporterów.

– W porządku. Jedno pytanie na raz, proszę.

Rozczarowany Hal Baker przepchnął się do drzwi i wysliznął na korytarz. Sędzia Stanford nie będzie zadowolony.

Przez następne trzydzieści minut Julia odpowiadała na pytania najlepiej, jak umiała. Wreszcie dziennikarze poszli sobie.

Zamknęła drzwi na klucz i położyła się spać.

Rano w prasie i telewizji pełno było reportaży o Julii Stanford. Tyler przeczytał gazety i wpadł w furię. Woody i Kendall przyłączyli się do niego przy śniadaniu.

– Co to za bzdury o jakiejś kobiecie, która twierdzi, że nazywa się Julia Stanford? – zagadnął Woody.

– To oszustka – odparł gładko Tyler. – Przyszła tu wczoraj żądając pieniędzy, więc odesłałem ją z kwitkiem. Nie spodziewałem się, że stać ją na taki wyczyn reklamowy. Nie martwcie się. Zajmę się nią.

Zadzwoił do Simona Fitzgeralda.

– Widział pan dzisiejsze gazety?

– Tak.

– Ta sprytna oszustka biega po mieście i opowiada, że jest naszą siostrą.

– Chce pan, żebym kazał ją aresztować? – zapytał Fitzgerald.

– Nie! To tylko wywoła więcej rozgłosu. Chcę, żeby usunięto ją z miasta.

– W porządku. Zajmę się tym, panie sędzio.

– Dziękuję.

Simon Fitzgerald posłał po Steve'a Sloane'a.

– Mamy kłopot – oznajmił.

Steve kiwnął głową.

– Wiem. Oglądałem poranne wiadomości i czytałem gazety. Kim ona jest?

– Widocznie kimś, kto próbuje uszczknąć kasek z rodzinnej fortuny. Sędzia Stanford zaproponował, żeby usunąć ją z miasta. Zajmiesz się nią?

– Z przyjemnością – odparł ponuro Steve.

Godzinę później Steve pukał do drzwi hotelowego pokoju Julii.

Otworzyła drzwi, zobaczyła go i powiedziała:

– Przepraszam, ale nie będę już rozmawiać z reporterami...

– Nie jestem reporterem. Mogę wejść?

– Kim pan jest?

– Nazywam się Steve Sloane. Pracuję w firmie prawniczej reprezentującej interesy Harry’ego Stanforda.

– Och. Rozumiem. Tak, proszę wejść.

Steve wszedł do pokoju.

– Czy powiedziała pani prasie, że jest pani Julią Stanford?

– Obawiam się, że dałam się zaskoczyć. Widzi pan, nie spodziewałam się ich...

– Ale nadal twierdzi pani, że jest pani córką Harry’ego Stanforda?

– Tak. Jestem jego córką.

Zmierzył ją wzrokiem i powiedział cynicznie:

– Oczywiście ma pani na to dowód.

– Nie – powiedziała Julia powoli. – Nie mam.

– Przecież musi pani mieć jakiś dowód – nalegał Steve. Zamierzał ją przygwoździć jej własnymi kłamstwami.

– Nie mam nic – powtórzyła.

Przyglądał się jej ze zdumieniem. Była inna, niż się spodziewał. Miała w sobie rozbijającą szczerłość. Wydaje się inteligentna. Jak mogła być taka głupia, żeby bez żadnego dowodu podawać się za córkę Harry’ego Stanforda?

– To niedobrze – powiedział Steve. – Sędzia Stanford żąda, żeby pani wyjechała z miasta.

Julia szeroko otworzyła oczy.

– Co?

– Właśnie tak.

– Ale... nie rozumiem. Jeszcze nie poznałam mojego drugiego brata i siostry.

Więc postanowiła dalej blefować, pomyślał Steve.

– Słuchaj no, nie wiem, kim jesteś ani w co pogrywasz, ale możesz za to trafić do więzienia. Dajemy ci szansę. To, co robisz, jest niezgodne z prawem. Albo wyniesiesz się z miasta i przestaniesz nachodzić tę rodzinę, albo każemy cię aresztować.

Zaszokowana Julia potrząsnęła głową.

– Aresztować? Ja... nie wiem, co powiedzieć.

– Decyzja należy do ciebie.

– Nie chcę nawet mnie widzieć? – zapytała drętwą.

– Łagodnie mówiąc.

Julia głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Dobrze. Skoro tak, wrócę do Kansas. Obiecuję, że nigdy więcej o mnie nie usłyszą.

Kansas. Przejechałaś długą drogę, żeby zrobić ten szwindel.

– Tak będzie najrozsądniej. – Przez chwilę przyglądał się jej z zakłopotaniem. – No więc żegnam.

Nie odpowiedziała.

Steve wszedł do gabinetu Fitzgeralda.

– Spotkałeś się z tą kobietą, Steve?

– Tak. Wraca do domu – odparł z roztargnieniem.

– To dobrze. Powiem sędziemu Stanfordowi. Będzie zadowolony.

– Wiesz, co mi nie daje spokoju?

– Co?

– Pies nie szczekał.

– Słucham?

– Opowiadanie o Sherlocku Holmesie. Wskazówką było coś, co się nie zdarzyło.

– Steve, jaki to ma związek z...

– Przyjechała tutaj bez żadnego dowodu.

Fitzgerald spojrział na niego ze zdumieniem.

– Nie rozumiem. Właśnie to powinno cię przekonać.

– Przeciwnie. Dlaczego przyjechała tutaj aż z Kansas, twierdząc, że jest córką Harry’ego Stanforda, i nie miała niczego na poparcie swoich słów?

– Zdarzają się różne wariatki, Steve.

– Ona nie jest wariatką. Powinieneś ją zobaczyć. I jeszcze parę rzeczy mnie niepokoi, Simon.

– Tak?

– Ciało Harry’ego Stanforda zniknęło... Kiedy chciałem porozmawiać z Dmitrijem Kaminskim, jedynym świadkiem śmierci Stanforda, okazało się, że on także zniknął... I nikt nie wie, dlaczego nagle zniknęła pierwsza Julia Stanford.

Simon Fitzgerald zmarszczył brwi.

– O co ci chodzi?

– Dzieje się coś dziwnego – powiedział powoli Steve. – Trzeba to wyjaśnić. Zamierzam jeszcze raz porozmawiać z tą panią.

Steve Sloane wszedł do westybulu hotelu Copley Square i podszedł do recepcji.

– Może pan zadzwonić do panny Julii Stanford?

Recepcjonista podniósł wzrok.

– Och, bardzo mi przykro. Panna Stanford już się wymeldowała.

– Zostawiła adres?

– Niestety nie, proszę pana.

Steve poczuł rozczarowanie. Nic więcej nie mógł zrobić. No, może się pomyliłem, pomyślał filozoficznie. Może ona naprawdę jest naciągaczką. Odwrócił się i wyszedł na ulicę. Portier pomagał wsiąść jakiejś parze do taksówki.

– Przepraszam – powiedział Steve.

Portier odwrócił się.

– Taksówka dla pana?

– Nie. Chciałem o coś zapytać. Widziałeś, jak panna Stanford wychodziła dzisiaj rano z hotelu?

– Pewnie, że widziałem. Wszyscy się na nią gapili. Taka znana osoba. Wezwałem dla niej taksówkę.

– Pewnie nie wiesz, dokąd pojechała? – Steve wstrzymał oddech.

– Na dworzec autobusowy Greyhouna. Dworzec Południowy. Pomyślałem, że to dziwne, żeby taka bogata osoba...

– Wezwij mi taksówkę.

Steve wszedł na zatłoczony dworzec autobusowy i rozejrzał się dookoła. Nigdzie nie widział Julii. Odjechała, pomyślał z rozpaczą. Przez głośnik zapowiadano odjeżdżające autobusy. Steve pochwycił słowa „...i Kansas City”. Pobiegnął na peron.

Julia właśnie wsiadała do autobusu.

– Czeka! – zawołał.

Odwróciła się, zaskoczona. Steve podbiegł do niej.

– Chcę z tobą porozmawiać.

Zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

– Nie mam panu nic więcej do powiedzenia.

Odwróciła się, ale Steve złapał ją za ramię.

– Zaczekaj chwilę! Naprawdę musimy porozmawiać.

– Mój autobus odjeżdża.

– Będzie następny.

– Moja walizka jest w tym autobusie.

Steve odwrócił się do bagażowego.

– Ta pani będzie zaraz rodzić. Proszę wyjąć jej walizkę. Szybko!

Bagażowy spojrzał na Julię ze zdumieniem.

– Dobra. – Pospieszenie otworzył schowek na bagaże. – Która to pani walizka?

Zmieszana Julia odwróciła się do Steve'a.

– Czy pan wie, co pan robi?

– Nie – przyznał Steve.

Przyglądała mu się przez chwilę, potem podjęła decyzję. Wskazała na walizkę.

– Ta jest moja.

Bagażowy wyciągnął ją ze schowka.

– Mam wezwać karetkę, czy jak?

– Dziękuję. Poradzę sobie.

Steve wziął walizkę i ruszyli do wyjścia.

– Jadłaś śniadanie?

– Nie jestem głodna – odparła lodowatym tonem.

– Lepiej coś zjedz. Wiesz, teraz musisz jeść za dwoje.

Zjedli u Juliana. Julia siedziała naprzeciwko Steve'a, sztywna z gniewu. Kiedy złożyli zamówienie, Steve powiedział:

– Jedno mnie ciekawi. Dlaczego myślałaś, że możesz żądać udziału w majątku Harry'ego Stanforda, nie mając żadnego dowodu tożsamości?

Julia spojrzała na niego z oburzeniem.

– Nie przyjechałam tutaj, żeby żądać udziału w majątku Harry'ego. Myślę, że ojciec nic mi nie zapisał. Chciałam poznać moją rodzinę. Widocznie oni nie chcą mnie znać.

– Nie masz żadnych dokumentów... żadnego dowodu, kim jesteś?

Julia pomyślała o wszystkich wycinkach zebranych w kartonowym pudełku i potrząsnęła głową.

– Nie, nic.

– Chciałbym, żebyś z kimś porozmawiała.

– To jest Simon Fitzgerald. – Steve zawahał się. – Ee...

– Julia Stanford.

– Proszę usiąść – powiedział Fitzgerald sceptycznym tonem.

Julia usiadła na brzeжку krzesła, gotowa w każdej chwili wstać i wyjść.

Fitzgerald przyjrzał się jej. Miała głębokie szare oczy Stanfordinów, ale wielu ludzi miało takie oczy.

– Twierdzi pani, że jest córką Rosemary Nelson?

– Niczego nie twierdzą. Jestem córką Rosemary Nelson.

– A gdzie jest pani matka?

– Umarła kilka lat temu.

– Och, przykro mi to słyszeć. Opowie nam pani o niej?

– Nie – odparła Julia. – Wolałabym nie. – Wstała. – Chcę stąd wyjść.

– Słuchaj, próbujemy ci pomóc – wtrącił Steve.

Odwróciła się do niego.

– Czyżby? Moja rodzina nie chce mnie znać. Wy chcecie mnie oddać w ręce policji. Nie

potrzebuję takiej pomocy. – Ruszyła do drzwi.

– Chwileczkę! – zawołał Steve. – Jeżeli naprawdę jesteś córką Harry’ego Stanforda, musisz mieć jakiś dowód.

– Mówiłam już, że nie mam – oświadczyła Julia. – Matka i ja wyrzuciłyśmy Harry’ego Stanforda z naszego życia.

– Jak wyglądała pani matka? – zapytał Simon Fitzgerald.

– Była piękna – odparła Julia. Jej głos nabrał miękkich tonów. – Była najpiękniejszą... – Coś sobie przypomniała. – Mam jej zdjęcie.

Zdjęła z szyi mały złoty medalionik w kształcie serca i podała Fitzgeraldowi.

Patrzył na nią przez chwilę, potem otworzył medalion. Po jednej stronie znajdowało się zdjęcie Harry’ego Stanforda, po drugiej stronie zdjęcie Rosemary Nelson. Pod spodem wygrawerowano napis: DLA R.N. W DOWÓD MIŁOŚCI, H.S. Była też data: 1969.

Simon Fitzgerald długo wpatrywał się w medalion. Wreszcie podniósł wzrok i powiedział zachrypłym głosem:

– Należą się pani przeprosiny, moja droga. – Odwrócił się do Steve’a. – To jest Julia Stanford.

Rozdział dwudziesty szósty

Kendall ciągle myślała o rozmowie z Peggy. Peggy wyraźnie nie potrafiła sobie poradzić z tą sytuacją. „Woody bardzo się stara. Naprawdę... Och, tak bardzo go kocham!”

On koniecznie potrzebuje pomocy, pomyślała Kendall. Muszę coś zrobić. Przecież to mój brat. Muszę z nim porozmawiać.

Poszła poszukać Clarka.

– Czy pan Woodrow jest w domu?

– Tak, proszę pani. Zdaje się, że jest w swoim pokoju.

– Dziękuję.

Przypomniała sobie scenę przy stole i posiniaczoną twarz Peggy. „Wpadłam na drzwi...” Jak ona to wytrzymuje przez cały czas? Kendall weszła na górę i zapukała do pokoju Woody’ego. Nikt nie odpowiedział.

– Woody?

Otworzyła drzwi i weszła. Pokój był przesycony zapachem gorzkich migdałów. Kendall zobaczyła Woody’ego przez uchylone drzwi łazienki. Podgrzewał heroinę na kawałku folii aluminiowej. Proszek właśnie zaczął się rozpuszczać i parować, a jej brat wdychał opary przez skrzywkę, którą trzymał w ustach.

– Woody...

Obejrzał się i uśmiechnął.

– Cześć, siostrzyczko! – Odwrócił się i znowu głęboko wciągnął narkotyk.

– Na litość boską! Przestań!

– Spokojnie. Wiesz, jak to się nazywa? Polowanie na smoka. Widzisz tego małego smoka, wijącego się w dymie? – Na twarzy miał szczęśliwy uśmiech.

– Woody, proszę, porozmawiaj ze mną.

– Jasne, siostrzyczko. Co mogę dla ciebie zrobić? Wiem, że nie chodzi o kłopoty finansowe. Jesteśmy miliarderni! Skąd ta zmartwiona mina? Mamy piękny dzień i słońce świeci! – Oczy mu błyszczały.

Kendall wpatrywała się w niego ze współczuciem.

– Woody, rozmawiałam z Peggy. Opowiedziała mi, jak zacząłeś brać narkotyki w szpitalu.

Kiwnął głową.

– Taak. Najlepsze, co mi się przydarzyło.

– Nie. Najgorsze, co ci się przydarzyło. Czy ty rozumiesz, co robisz ze swoim życiem?

– Jasne. To się nazywa żyć na całego, siostrzyczko!

Kendall wzięła go za rękę.

– Potrzebujesz pomocy.

– Ja? Nie potrzebuję żadnej pomocy. Czuję się świetnie!

– Wcale nie. Posłuchaj, Woody. Chodzi o twoje życie, i nie tylko o twoje życie. Pomyśl o Peggy. Zamieniłeś jej życie w piekło, a ona to znosi, bo tak bardzo cię kocha. Niszczysz nie tylko siebie, ale także ją. Musisz z tym skończyć, i to zaraz, zanim będzie za późno. Nieważne, w jaki sposób uzależniłeś się od narkotyków. Ważne, żebyś to rzucił.

Woody przestał się uśmiechać. Spojrzał Kendall w oczy i zaczął coś mówić, potem przerwał. Oblizął wargi.

– Kendall...

– Tak?

– Ja... wiem, że masz rację. Chcę przestać. Próbowałem. Boże, tak bardzo się starałem. Ale nie mogę.

– Oczywiście, że możesz – zawołała zapalczywie. – Dasz sobie radę. Razem przez to przejdziemy. Peggy i ja będziemy ci pomagać. Kto ci dostarcza heroiny, Woody?

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Mój Boże! Nie wiesz?

Kendall pokręciła głową.

– Peggy.

Rozdział dwudziesty siódmy

Simon Fitzgerald długo wpatrywał się w złoty medalionik.

– Znałem i lubiłem twoją matkę, Julio. Była cudowna dla dzieci Stanfordów, uwielbiała ją.

– Ona też je uwielbiała – powiedziała Julia. – Ciągle opowiadała mi o nich.

– To okropne, co się stało. Nie wyobrażasz sobie, jaki wybuchł skandal. Boston w gruncie rzeczy to prowincja. Harry Stanford zachował się nie fair. Twoja matka nie miała wyboru, musiała odejść. – Potrząsnął głową. – Na pewno miałyście ciężkie życie.

– Matka miała ciężkie życie. Najgorsze, że ona chyba ciągle kochała Harry’ego Stanforda, pomimo wszystko. – Julia spojrzała na Steve’a. – Nie rozumiem, co się dzieje. Dlaczego moja rodzina nie chce mnie znać?

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Pozwól, że wyjaśnię – powiedział Steve. Zawahał się, starannie dobierając słowa. – Niedawno zjawiała się tutaj kobieta, która twierdziła, że jest Julią Stanford.

– Ależ to niemożliwe! – zaprotestowała Julia. – Przecież...

Steve podniósł rękę.

– Wiem. Rodzina wynajęła prywatnego detektywa, żeby sprawdził, czy ona mówi prawdę.

– I odkryli, że kłamie.

– Przeciwnie. Odkryli, że jest prawdziwą Julią.

– Co? – spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Ten detektyw powiedział, że znalazł odciski palców, które jej zdjęto, kiedy w wieku siedemnastu lat dostała prawo jazdy w San Francisco, i że pasowały do odcisków palców kobiety, która podawała się za Julię Stanford.

Julia spoglądała na nich, całkowicie zbita z tropu.

– Ale ja... nigdy nie byłam w Kalifornii.

– Julio – ostrzegł ją Fitzgerald – prawdopodobnie ktoś zawiązał wyrafinowany spisek, żeby zdobyć część majątku Stanforda. Obawiam się, że wpadłaś w sam środek intrygi.

– Nie wierzę!

– Ktokolwiek za tym stoi, nie może pozwolić na obecność dwóch Julii Stanford.

– Jedyne sposoby, żeby plan się powiódł – dodał Steve – to usunąć cię z drogi.

– Kiedy pan mówi „usunąć”... – urwała, ponieważ coś sobie przypomniała. – O nie!

– O co chodzi? – zapytał Fitzgerald.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałam z moją współlokatorką. Histeryzowała, mówiła, że do naszego mieszkania przyszedł jakiś mężczyzna z nożem i próbował ją zabić. Myślał, że ona jest mną! – Głos uwiązał jej w gardle, z trudem zapytała: – Kto... kto to robi?

– Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że któryś z członków rodziny – oświadczył Steve.

– Ale... dlaczego?

– Gra idzie o wielki majątek, a testament zostanie zatwierdzony za kilka dni.

– Co to ma wspólnego ze mną? Ojciec nigdy mnie nie uznał. Na pewno nic mi nie zapisał.

– Prawdę mówiąc – powiedział Fitzgerald – jeżeli zdołamy potwierdzić twoją tożsamość, twój udział w majątku wyniesie ponad miliard dolarów.

Julia była jak ogłuszona. Wreszcie odzyskała głos:

– Miliard dolarów?

– Właśnie. Ale ktoś inny chce tych pieniędzy. Dlatego grozi ci niebezpieczeństwo.

– Rozumiem. – Patrzyła na nich, czując wzbierającą panikę. – Co mam robić?

– Powiem ci, czego nie zrobisz – zabrał głos Steve. – Nie wrócisz do hotelu. Chcę, żebyś znikła z widoku, dopóki nie sprawdzimy, co się dzieje.

– Mogę wrócić do Kansas...

– Myślę, że raczej powinnaś tutaj zostać, Julio – wtrącił Fitzgerald. – Znajdziemy ci jakąś kryjówkę.

– Może zamieszkać u mnie – zaproponował Steve. – Nikt nie będzie jej szukał w moim domu.

Spojrzeli na Julię.

– No... – zawahała się – dobrze, zgoda.

– Więc załatwione.

Julia powiedziała powoli:

– Nic by się nie stało, gdyby mój ojciec nie wypadł z jachtu.

– Och, nie sądzę, żeby on wypadł – odparł Steve. – Moim zdaniem ktoś go wypchnął.

Zjechali służbową windą do garażu w podziemiach budynku i wsiedli do samochodu Steve'a.

– Nie chcę, żeby ktoś cię zobaczył – powiedział Steve. – Przez następnych kilka dni musimy cię trzymać w ukryciu.

Ruszyli State Street.

– Co powiesz na lunch?

Julia odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Ciągłe pan mnie karmi.

– Znam restaurację położoną na uboczu, w starym domu na Gloucester Street. Tam nikt nie powinien nas zobaczyć.

L'Espalier to była elegancka dziewiętnastowieczna kamienica, szczycąca się jednym z najpiękniejszych widoków w Bostonie. Kiedy Julia i Steve weszli do środka, przywitał ich kierownik sali.

– Dzień dobry państwu – powiedział. – Tędy proszę. Mam ładny stolik przy oknie.

– Jeśli pan pozwoli – powiedział Steve – wolimy pod ścianą.

Kierownik spojrzął na niego zaskoczony.

– Pod ścianą?

– Tak. Zależy nam na prywatności.

– Oczywiście. – Zaprowadził ich do stolika w rogu. – Zaraz przyślę kelnera.

Wpatrywał się w Julię. Nagle jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Ach! Panna Stanford! To wielka przyjemność gościć panią. Widziałem pani zdjęcie w gazecie.

Julia spojrzała na Steve'a, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Mój Boże! – wykrzyknął Steve. – Zostawiliśmy dzieci w samochodzie! Chodźmy po nie. – Do kierownika powiedział: – Prosimy dwa razy martini, bardzo wytrawne. Bez oliwek. Zaraz wracamy.

– Tak, proszę pana. – Kierownik patrzył, jak oboje w pośpiechu wybiegają z restauracji.

– Co pan robi? – zapytała Julia.

– Wynosimy się stąd. Wystarczy, żeby on zadzwonił po dziennikarzy, i mamy kłopoty. Pójdziemy gdzie indziej.

Znaleźli małą restaurację na Dalton Street i zamówili lunch.

Steve przyglądał się Julii.

– Jakie to uczucie być sławną? – zapytał.

– Proszę, niech pan nie żartuje ze mnie. Czuję się okropnie.

– Wiem – przyznał ze skruchą. – Przepraszam.

W jej towarzystwie czuł się swobodnie, bez żadnego przymusu. Przypomniawszy sobie, jak grubiańsko się zachował przy pierwszym spotkaniu.

– Naprawdę... naprawdę pan myśli, że grozi mi niebezpieczeństwo, panie Sloane? – zapytała Julia.

– Mów mi Steve. Obawiam się, że tak. Ale tylko przez krótki czas. Zanim testament zostanie zatwierdzony, dowiemy się, kto za tym stoi. W międzyczasie zadbam, żeby nic ci się nie stało.

– Dziękuję. Ja... jestem ci wdzięczna.

Patrzyli sobie w oczy, a kiedy nadchodzący kelner zobaczył wyraz ich twarzy, postanowił im nie przeszkadzać.

W samochodzie Steve zapytał:

– Pierwszy raz jesteś w Bostonie?

– Tak.

– To interesujące miasto. – Mijali właśnie stary budynek Johna Hancocka. Steve wskazał na wieżę. – Widzisz tę latarnię?

– Tak.

– Przepowiada pogodę.

– Jak może latarnia...?

– Cieszę się, że zapytałaś. Kiedy światło jest stale niebieskie, to oznacza dobrą pogodę. Migające niebieskie światło ostrzega, że nadchodzą chmury. Stałe czerwone światło to deszcz, a migające czerwone światło zapowiada śnieg.

Julia parsknęła śmiechem.

Dojechali do Harvard Bridge. Steve zwolnił.

– To jest most, który łączy Boston i Cambridge. Ma dokładnie trzysta sześćdziesiąt cztery koma cztery smootów i jedno ucho długości.

Julia obejrzała się na niego.

– Słucham?

Steve błysnął zębami w uśmiechu.

– To prawda.

– Co to jest smoot?

– Smoot to miara długości według Olivera Reeda Smoota, który miał pięć stóp siedem cali wzrostu. Zaczęło się jako żart, ale kiedy miasto odbudowało most, zachowaliśmy stare oznaczenia. W 1958 roku smoot stał się standardową jednostką miary.

– To niesamowite! – roześmiała się Julia.

Kiedy mijali pomnik na Bunker Hill, zawołała:

– Och, to tam odbyła się bitwa o Bunker Hill, prawda?

– Nie – zaprzeczył Steve.

– Jak to?

– Bitwa o Bunker Hill odbyła się na Breed's

Dom Steve'a znajdował się w sąsiedztwie Newbury Street. Był to uroczy piętrowy domek, wygodnie umeblowany, z barwnymi oleodrukami na ścianach.

– Mieszkasz tutaj sam? – zapytała Julia.

– Tak. Mam gosposię, która przychodzi dwa razy w tygodniu. Dam jej wolne na następne kilka dni. Nie chcę, by ktoś wiedział, że tu jesteś.

Julia spojrzała na Steve'a i powiedziała ciepło:

– Naprawdę jestem ci wdzięczna za to, co dla mnie robisz.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Chodź, pokażę ci sypialnię.

Zaprowadził ją na górę, do pokoju gościnnego.

– To tutaj. Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie.

– O tak – zapewniła Julia. – Bardzo ładny pokój.

– Kupię coś do jedzenia. Zwykle jadam na mieście.

– Mogę... – urwała. – Jednak lepiej nie. Moja współlokatorka mówi, że gotuję jak trucicielka.

– Ja nieźle sobie radzę w kuchni – oznajmił Steve. – Będę gotował dla nas. – Popatrzył na nią i powiedział powoli: – Już dawno dla nikogo nie gotowałem.

Zwolnij tempo, skarcił sam siebie. Za bardzo się rozpędziłeś. Nie możesz jej zatrzymać na własność.

Julia patrzyła na niego przez długą chwilę, potem uśmiechnęła się:

– Dziękuję.

Zeszli na dół. Steve pokazał jej wyposażenie mieszkania:

– Telewizor, magnetowid, radio, kompakt... Będzie ci wygodnie.

– Wspaniale. – Miała ochotę powiedzieć: Tak samo wspaniale czuję się przy tobie.

– No, jeśli to wszystko... – zaczął niezręcznie.

Julia obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

– Niczego więcej mi nie potrzeba.

– Więc wracam do biura. Muszę znaleźć odpowiedzi na mnóstwo pytań.

Patrzyła, jak idzie do drzwi.

– Steve?

Odwrócił się.

– Tak?

– Mogę zadzwonić do mojej współlokatorki? Będzie się o mnie martwiła.

Potrząsnął głową.

– Absolutnie wykluczone. Nie dzwoń do nikogo i nie wychodź z domu. Od tego zależy twoje życie.

Rozdział dwudziesty ósmy

- Jestem doktor Westin. Rozumie pani, że ta rozmowa jest nagrywana?
- Tak, panie doktorze.
- Już się pani uspokoiła?
- Jestem spokojna, ale wściekła.
- Dlaczego jest pani wściekła?
- Nie powinnam tutaj być. Nie jestem wariatką. Wrobili mnie.
- Och? Kto panią wrobił?
- Tyler Stanford.
- Sędzia Tyler Stanford?
- Właśnie.
- Dlaczego miałby to zrobić?
- Dla pieniędzy.
- Czy pani ma pieniądze?
- Nie. To znaczy tak... mogłam mieć. Obiecał mi milion dolarów i futro z soboli, i biżuterię.
- Dlaczego sędzia Stanford to pani obiecał?
- Najlepiej zacznę od początku. Naprawdę nie jestem Julią Stanford. Nazywam się Margo Posner.
- Kiedy panią tu przywieziono, upierała się pani, że jest Julią Stanford.
- Mniejsza z tym. Nie jestem Julią. Niech pan posłucha, doktorze... sędzia Stanford wynajął mnie, żebym udawała jego siostrę.
- Dlaczego to zrobił?
- Żebym dostała udział w majątku Stanfordów i oddała jemu.
- I za to sędzia obiecał pani milion dolarów, futro z soboli i biżuterię?
- Nie wierzy mi pan, prawda? Mogę to udowodnić. On mnie zabrał do Rose Hill. Tam mieszka rodzina Stanfordów w Bostonie. Mogę opisać panu ten dom i opowiedzieć wszystko o rodzinie.

– Zdaje pani sobie sprawę, że wysuwa pani bardzo poważne oskarżenia?
– Jak najbardziej. Ale pan pewnie nic nie zrobi, bo tak się składa, że on jest sędzią.
– Pani się całkowicie myli. Zapewniam panią, że wszystkie zarzuty zostaną szczegółowo zbadane.

– Świetnie! Chcę, żeby tego drania zamknęli tak samo, jak on mnie zapudłował. Wypuście mnie stąd!

– Rozumie pani, że oprócz mnie dwóch moich kolegów musi również ocenić pani stan psychiczny?

– Niech oceniają. Jestem równie zdrowa na umyśle jak pan.

– Doktor Gifford przyjdzie dzisiaj po południu, a potem zdecydujemy o dalszym postępowaniu.

– Im szybciej, tym lepiej. Nie mogę wytrzymać w tym cholernym wariatkowie!

Siostra przełożona przyniosła Margo lunch i powiedziała:

– Właśnie rozmawiałam z doktorem Giffordem. Przyjdzie tutaj za godzinę.

– Dziękuję.

Margo była gotowa na spotkanie z doktorem Giffordem. Zamierzała powiedzieć im wszystko, co wiedziała. Kiedy już cała sprawa wyjdzie na jaw, myślała, wypuszczą mnie, a jego wsadzą. Na tę myśl poczuła głęboką satysfakcję. Wyjdę z tego wariatkowa. Będę wolna! A potem przyszła refleksja: Wolna, ale co z tego? Znowu wyląduję na ulicy. Może nawet cofną mi zwolnienie warunkowe i wsadzą do pierdła!

Cisnęła tacę z lunchem o ścianę. Niech to szlag! Nie mogą mi tego zrobić! Wczoraj byłam warta milion dolarów, a dzisiaj... Zaraz, zaraz! W głowie Margo zaświtał pomysł tak ekscytujący, że przeszedł ją dreszcz. Boże święty! Co ja wyprawiam? Przecież już udowodniłam, że jestem Julią Stanford. Mam świadków. Cała rodzina słyszała, jak Frank Timmons powiedział, że moje odciski palców to potwierdzają. Po cholere mam być Margo Posner, kiedy mogę być Julią Stanford? Nic dziwnego, że zamknęli mnie u czubków. Chyba naprawdę zwariowałam!

Zadzwoiła po siostrę przełożoną. Kiedy przyszła, Margo zawołała:

– Chcę natychmiast rozmawiać z lekarzem!

– Wiem. Ma pani wyznaczoną wizytę o...

– Zaraz. Natychmiast!

Siostra przełożona tylko raz spojrzała na podnieconą twarz Margo i powiedziała:

– Proszę się uspokoić. Przyprowadzę go.

Po dziesięciu minutach doktor Franz Gifford wszedł do pokoju Margo.

– Chciała mnie pani widzieć?

– Tak. – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Obawiam się, że trochę udawałam, panie

doktorze.

– Doprawdy?

– Tak. Teraz mi wstyd. Widzi pan, byłam zła na mojego brata Tylera i chciałam go ukarać. Ale teraz wiem, że nie miałam racji. Nie jestem już zła i chcę wrócić do domu, do Rose Hill.

– Czytałem zapis pani wywiadu z dzisiejszego ranka. Powiedziała pani, że nazywa się Margo Posner i że panią wrobiono...

Margo roześmiała się.

– Nieładnie postąpiłam. Powiedziałam tak tylko dlatego, żeby zrobić na złość Tylerowi. Nie, jestem Julią Stanford.

Lekarz popatrzył na nią.

– Ma pani jakiś dowód?

Na tę chwilę Margo czekała.

– Och, tak! – odparła triumfalnie. – Tyler sam to udowodnił. Wynajął prywatnego detektywa nazwiskiem Frank Timmons, który porównał moje odciski palców z odciskami, które mi zdjęto w młodości, kiedy dostałam prawo jazdy. Są jednakowe. Nie ma wątpliwości.

– Detektyw Frank Timmons, mówi pani?

– Zgadza się. On pracuje dla prokuratury okręgowej tutaj, w Chicago.

Lekarz przyglądał się jej przez chwilę.

– A więc nie nazywa się pani Margo Posner, tylko Julia Stanford? Jest pani tego pewna?

– Absolutnie.

– I ten prywatny detektyw, Frank Timmons, może to potwierdzić?

Margo uśmiechnęła się.

– On już to potwierdził. Musi pan tylko zadzwonić do prokuratury okręgowej i zapytać go.

Doktor Gifford kiwnął głową.

– W porządku, tak zrobię.

Następnego dnia o dziesiątej rano doktor Gifford w towarzystwie siostry przełożonej wszedł do pokoju Margo.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, panie doktorze. – Margo spojrzała na niego wyczekująco. – Rozmawiał pan z Frankiem Timmonsem?

– Tak. Chciałem sprawdzić, czy dobrze panią zrozumiałem. Pani opowieść o spisku, w jaki rzekomo wciągnął panią sędzia Stanford, była kłamstwem?

– Całkowicie. Powiedziałam to, ponieważ chciałam ukarać mojego brata. Ale teraz wszystko jest w porządku. Mogę wracać do domu.

– Frank Timmons może zaświadczyć, że pani jest Julią Stanford?

– Właśnie.

Doktor Gifford odwrócił się do siostry i skinął głową. Siostra dała komuś znak. Do pokoju wszedł wysoki, chudy Murzyn. Spojrzał na Margo i powiedział:

– Jestem Frank Timmons. Czym mogę pani służyć?

Widziała go pierwszy raz w życiu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Pokaz mody udał się doskonale. Modelki z gracją przechadzały się po wybiegu, a każdy nowy projekt nagradzały entuzjastyczne oklaski. Sala balowa była wypełniona po brzegi. Wszystkie miejsca zajęte, część widzów stała nawet z tyłu.

Za kulisami wybuchło zamieszanie i Kendall odwróciła się, żeby sprawdzić przyczynę. Dwaj umundurowani policjanci przepychali się w jej stronę.

Serce Kendall uderzyło szybciej.

Jeden z policjantów zapytał:

– Pani Kendall Stanford Renaud?

– Tak.

– Aresztuję panią pod zarzutem morderstwa Marthy Ryan.

– Nie! – krzyknęła Kendall. – Ja nie chciałam! To był wypadek! Proszę! Proszę! Proszę...!

Obudziła się przerażona i drżąca.

Ciągle powracał ten sam koszmar. Nie wytrzymam dłużej, pomyślała. Już nie mogę! Muszę coś zrobić!

Rozpaczliwie pragnęła porozmawiać z mężem. Marc, choć niechętnie, kilka dni wcześniej wrócił do Nowego Jorku.

– Czeka na mnie praca, kochanie. Nie dadzą mi więcej wolnego.

– Rozumiem, Marc. Przyjadę za kilka dni. Muszę przygotować pokaz.

Po południu Kendall odlatywała do Nowego Jorku, ale czuła, że przed wyjazdem musi coś załatwić. Rozmowa z Woodym bardzo ją zdenerwowała. On zwała całą winę na Peggy.

Kendall znalazła szwagierkę na werandzie.

– Dzień dobry – przywitała ją.

– Cześć.

Kendall usiadła naprzeciwko Peggy.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Tak?

– Chodzi o Woody’ego – zaczęła niezręcznie Kendall. – On jest w fatalnym stanie. Myśli, że... że ty dostarczasz mu heroiny.

– Tak ci powiedział?

– Właśnie.

Po długiej przerwie Peggy powiedziała:

– To prawda.

Kendall zagapiła się na nią z niedowierzaniem.

– Co...?! Nie rozumiem. Mówiłaś, że próbujesz go odzwyczaić od narkotyków. Dlaczego podtrzymujesz jego nałóg?

– Ty naprawdę nie rozumiesz, co? – zapytała Peggy z rozgoryczeniem. – Żyjesz w swoim własnym zaszranym światku. No więc coś ci powiem, słynna pani projektantko! Byłam kelnerką, kiedy Woody zrobił mi dziecko. Nigdy się nie spodziewałam, że pan Stanford ożeni się ze mną. A wiesz, dlaczego to zrobił? Żeby mógł się poczuć lepszy od ojca. No więc dobrze, ożenił się ze mną. I wszyscy traktowali mnie jak przybłędę. Kiedy mój brat Hoop przyjechał na ślub, patrzyli na niego jak na śmiecia.

– Peggy...

– Powiem ci szczerze, zupełnie zgłupiałam, kiedy twój brat powiedział, że chce się ze mną ożenić. Nawet nie wiedziałam, czy to jego dziecko. Ale mogłam być dobrą żoną dla Woody’ego, tyle tylko, że nikt nigdy nie dał mi szansy. Dla nich pozostałam kelnerką. Nie straciłam dziecka, zrobiłam skrobankę. Myślałam, że Woody rozwiedzie się ze mną, ale on nie chciał. Byłam żywym dowodem na to, jaki jest demokratyczny. No więc coś ci powiem, paniusiu. Nie potrzebuję tego. Nie jestem gorsza od ciebie ani nikogo.

Każde słowo raniło jak cios sztyletem.

– Czy ty w ogóle kochałaś Woody’ego?

Peggy wzruszyła ramionami.

– Był przystojny i miły, ale potem miał ten fatalny upadek podczas meczu i wszystko się zmieniło. W szpitalu dawali mu prochy, a jak wyszedł, chcieli, żeby przestał brać. Jednego wieczoru miał bóle, a ja powiedziałam: „Mam dla ciebie małe co nieco”. Potem zawsze, kiedy go bolało, dawałam mu małe co nieco. Wkrótce już potrzebował tego bez względu na bóle. Mój brat jest handlarzem i mogłam zdobyć tyle heroiny, ile chciałam. Zmuszałam Woody’ego, żeby mnie błagał na klęczkach. A czasami mówiłam, że skończył mi się towar, tylko żeby patrzeć, jak jaśnie pan Woodrow Stanford poci się i płacze... och, jak bardzo mnie potrzebował! Wtedy nie był taki potężny i wspaniały! Prowokowałam go, żeby mnie uderzył, a potem on robił sobie wyrzuty, płaszczył się przede mną i przynosił prezenty. Widzisz, kiedy Woody nie ćpa, jestem niczym. Kiedy jest na haju, to ja mam władzę. Może on nazywa się Stanford i może ja jestem tylko kelnerką, ale ja nim rządę.

Kendall wpatrywała się w nią ze zgrozą.

– Owszem, twój brat próbował to rzucić. Kiedy naprawdę mu się pogorszyło, przyjaciele oddali go na odtruwanie, a ja przychodziłam go odwiedzać i patrzyłam, jak wielki Stanford skręca się w męczarniach. A za każdym razem, kiedy wychodził, czekało na niego małe co nieco. Odpląciłam mu za wszystko.

Kendall oddychała z trudem.

– Jesteś potworem – powiedziała powoli. – Wynoś się stąd.

– Z wielką chęcią! Już nie mogę tu wytrzymać. – Peggy uśmiechnęła się triumfalnie. – Oczywiście nie odejdę za darmo. Ile dostanę odprawy?

– Cokolwiek dostaniesz, zawsze będzie za dużo – oświadczyła Kendall. – A teraz znikaj.

– Dobrze. – I dodała afektowanym tonem: – Powiem mojemu prawnikowi, żeby zadzwonił do waszego prawnika.

– Ona naprawdę odchodzi ode mnie?

– Tak.

– To znaczy...

– Wiem, co to znaczy, Woody. Dasz sobie radę? Popatrzył na siostrę z niepewnym uśmiechem.

– Chyba tak. Tak. Dam sobie radę.

– Na pewno.

Woody odetchnął głęboko.

– Dziękuję, Kendall. Sam nigdy nie miałem odwagi, żeby ją przepędzić.

– Od czego masz siostrę?

Tego popołudnia Kendall wyjechała do Nowego Jorku. Pokaz mody miał się odbyć za tydzień.

Konfekcja to największy biznes w Nowym Jorku. Popularny projektant wywiera wpływ na ekonomię całego świata. Kaprysy kreatorów odbijają się szerokim echem wśród zbieraczy bawełny w Indiach, szkockich tkaczy i wytwórców jedwabiu w Chinach i Japonii, wpływają na przemysł wełniany i jedwabniczy. Donna Karans, Calvin Klein i Ralph Lauren kształtują sytuację ekonomiczną w branży odzieżowej, a Kendall zakwalifikowała się do tej kategorii. Krążyły plotki, że Amerykańska Rada Projektantów Mody mianuje ją Kreatorką Roku Damskiej Konfekcji – a była to najbardziej prestiżowa nagroda dla projektanta.

Kendall Stanford Renaud prowadziła pracowite życie. We wrześniu przeglądała bogaty asortyment tkanin, w październiku wybierała tkaniny do swoich nowych projektów. Grudzień i styczeń przeznaczała na projektowanie nowych fasonów, a w lutym wykańczała projekty. W kwietniu mogła już zaprezentować swoją jesienną kolekcję.

Firma Kendall Stanford mieściła się na Siódmej Alei pod numerem 550, w tym samym

budynku co Bili Blass i Oscar de la Renta. Następny pokaz miał się odbyć w Bryant Park pod namiotem, który mieścił tysiąc osób.

Kiedy Kendall zjawiała się w biurze, Nadine zawołała:

– Mam dobre wiadomości. Wszystkie miejsca na pokaz są zarezerwowane!

– Dziękuję – rzuciła Kendall z roztargnieniem. Zaprzętały ją inne sprawy.

– Aha, jest dla pani list oznaczony PILNE. Leży na biurku. Właśnie posłaniec go przyniósł.

Kendall drgnęła na te słowa. Podeszła do biurka i spojrzała na kopertę. Adres zwrotny głosił: „Towarzystwo Ochrony Dzikich Zwierząt, Park Avenue 3000, Nowy Jork”. Długo wpatrywała się w adres. Na Park Avenue nie było numeru 3000.

Drżącymi palcami otworzyła list.

Droga pani Renaud,

mój szwajcarski bankier poinformował mnie, że nie otrzymał miliona dolarów, których potrzebuje nasze towarzystwo. Z powodu pani opieszłości muszę zwiększyć wymaganą sumę do 5 milionów. Jeżeli pani uiszczy tę opłatę, obiecuję, że przestaniemy panią niepokoić. W przeciwnym wypadku będziemy zmuszeni powiadomić odpowiednie władze. Ma pani piętnaście dni, żeby zdeponować wymienioną sumę na naszym koncie.

List nie był podpisany.

Kendall, ogarnięta paniką, przeczytała go po raz drugi i trzeci. Pięć milionów dolarów! To niemożliwe, pomyślała. Nigdy nie zdobędę w tym terminie takiej sumy. Jakaż byłam głupia!

Kiedy Marc wieczorem wrócił do domu, Kendall pokazała mu list.

– Pięć milionów dolarów! – wykrzyknął. – To śmieszne! Co oni sobie myśla?

– Wiedzą, kim jestem – odparła Kendall. – W tym kłopot. Muszę szybko zdobyć pieniądze. Ale jak?

– Nie wiem... Pewnie bank pożyczylby ci tę sumę pod zastaw spadku, ale nie podoba mi się sam pomysł...

– Marc, chodzi o moje życie. O nasze życie. Dowiem się o tę pożyczkę.

George Meriwether był wiceprezesem nowojorskiego Union Bank. Przekroczył już czterdziestkę, a karierę zaczynał od młodszego kasjera. Był człowiekiem ambitnym. Pewnego dnia zasiądę w radzie dyrektorów, myślał, a potem... kto wie? Rozmyślenia przerwała mu sekretarka.

– Panna Kendall Stanford do pana.

George Meriwether poczuł lekki, przyjemny dreszczyk. Jako znana projektantka Kendall

zawsze była dobrą klientką, ale teraz należała do najbogatszych kobiet świata. Meriwether od kilku lat próbował bez powodzenia dobrać się do konta Harry'ego Stanforda. A teraz...

– Wprowadź ją – polecił sekretarce.

Kiedy Kendall weszła do gabinetu, Meriwether wstał na przywitanie i obdarzył ją serdecznym uściskiem dłoni.

– Tak się cieszę, że panią widzę – uśmiechnął się. – Proszę usiąść. Może kawy albo czegoś mocniejszego?

– Nie, dziękuję – powiedziała Kendall.

– Pragnę złożyć szczerze kondolencje z powodu śmierci pani ojca. – Głos miał odpowiednio poważny.

– Dziękuję.

– Czym mogę pani służyć? – Wiedział, co ona powie. Odda mu swoje miliardy do zainwestowania...

– Chcę pożyczyć trochę pieniędzy.

Meriwether nie wierzył własnym uszom.

– Słucham?

– Potrzebuję pięć milionów dolarów.

Wiceprezes myślał szybko. Według gazet jej udział w majątku wyniesie ponad miliard dolarów. Nawet po odliczeniu podatków...

– No, z tym nie powinno być problemu. Zawsze należała pani do naszych ulubionych klientek. Jakie zabezpieczenia pani proponuje?

– Dziedzicę po ojcu.

– Tak, czytałem o tym – kiwnął głową wiceprezes.

– Chcę pożyczyć pieniądze pod zastaw mojego udziału w majątku.

– Rozumiem. Czy testament pani ojca został już zatwierdzony?

– Nie, ale wkrótce zostanie.

– To świetnie. – Wiceprezes pochylił się do przodu. – Oczywiście musimy zobaczyć kopię testamentu.

– Tak, mogę to załatwić – zapewniła gorliwie Kendall.

– I będziemy musieli znać dokładną wartość pani udziału.

– Nie znam dokładnej wartości – powiedziała Kendall.

– No, prawo bankowe jest dość surowe, pani rozumie. Zatwierdzenie testamentu może potrwać. Jeżeli wróci pani po otrzymaniu udziału, z radością...

– Potrzebuję pieniędzy teraz – powiedziała Kendall z rozpaczą. Miała ochotę krzyknąć.

– Ojej. Naturalnie zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pani pomóc. – Bezradnie wzruszył ramionami. – Niestety jednak mamy związane ręce i...

Kendall podniosła się z krzesła.

– Dziękuję panu.

– Jak tylko...

Wyszła.

Kiedy Kendall wróciła do biura, podekscytowana Nadine oznajmiła:

– Muszę z panią porozmawiać.

Kendall nie była w nastroju, żeby wysłuchiwać zwierzeń.

– O co chodzi? – zapytała.

– Mąż dzwonił do mnie parę minut temu. Jego firma przenosi go do Paryża. Więc wyjeżdżam.

– Jedziesz do... do Paryża?

Nadine promieniała.

– Tak! Czy to nie cudownie? Żałuję, że odchodzę od pani. Ale proszę się nie martwić. Będziemy w kontakcie.

Więc to była Nadine. Ale nie potrafię tego udowodnić. Najpierw futro z norek, a teraz Paryż. Z pięcioma milionami dolarów można zamieszkać w każdym miejscu na świecie. Co ja mam robić? Jeśli jej powiem, że wiem, zaprzeczy. Może zażąda więcej. Marc będzie wiedział, jak to załatwić.

– Nadine...

Wszedł jeden z asystentów Kendall.

– Kendall! Muszę z tobą pogadać o kolekcji brydżowej. Chyba nie wystarczy nam projektów do...

Kendall nie mogła już dłużej wytrzymać.

– Przepraszam was. Nie czuję się dobrze. Idę do domu.

Asystent popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Ale jesteśmy w trakcie...!

– Przepraszam.

Kendall wyszła.

Wróciła do pustego mieszkania. Marc pracował do późna. Rozejrzała się po wszystkich pięknych rzeczach w pokoju i pomyślała: Oni nigdy nie przestaną, dopóki nie zabrają wszystkiego. Wypiją ze mnie krew. Marc miał rację. Powinnam była tamtego wieczoru pójść na policję. Teraz jestem kryminalistką. Siedziała i rozmyślała, co się stanie z nią, z Markiem, z rodziną. Krzykliwe nagłówki w gazetach, proces i pewnie więzienie. To będzie koniec jej kariery. Ale nie mogę dłużej wytrzymać, pomyślała Kendall. Oszaleję.

Jak we śnie wstała i poszła do pokoju Marca. Pamiętała, że trzymał maszynę do pisania na półce w szafie. Wyjęła ją i postawiła na biurku. Wkręciła kartkę papieru i zaczęła pisać:

Do wszystkich zainteresowanych

Nazywam się Kendall

Przerwała. Litera „e” była pęknięta.

Rozdział trzydziesty

– Dlaczego, Marc? Na miłość boską, dlaczego? – W głosie Kendall brzmiała udreka.

– To była twoja wina.

– Nie! Mówiłam ci... to był wypadek! Ja...

– Nie mówię o wypadku. Mówię o tobie! Bogata, sławna żona, która nie ma czasu dla własnego męża.

Poczuła się tak, jakby ją uderzył.

– Nieprawda, ja...

– Zawsze myślałaś tylko o sobie, Kendall. Gdzie nie poszliśmy, ty zawsze byłaś gwiazdą. Prowadziłaś mnie za sobą jak pieska na smyczy.

– Jesteś niesprawiedliwy!

– Czyżby? Jeździsz na pokazy mody na całym świecie, żeby twoje zdjęcie trafiło do gazet, a ja siedzę tutaj sam i czekam na twój powrót. Myślisz, że lubię być „panem Kendall”? Chciałem mieć żonę. Nie martw się, moja droga. Pocieszałem się z innymi kobietami, kiedy ciebie nie było.

Twarz miała szarą jak popiół.

– To były prawdziwe kobiety z krwi i kości, które miały dla mnie czas. Nie jakieś cholerne puste, wymalowane skorupy.

– Przestań! – krzyknęła.

– Kiedy powiedziałaś mi o wypadku, zobaczyłem szansę, żeby się od ciebie uwolnić. Wiesz co, moja droga? Z przyjemnością patrzyłem, jak się skręcasz czytając te listy. Przynajmniej trochę ci odpłaciłem za wszystkie upokorzenia, które musiałem znieść.

– Wystarczy! Pakuj rzeczy i wynoś się stąd! Nie chcę cię więcej widzieć!

Marc uśmiechnął się szeroko.

– Na pewno mnie więcej nie zobaczysz. A przy okazji, dalej planujesz zgłosić się na policję?

– Wyjdź! – krzyknęła Kendall. – Natychmiast!

– Wyjeżdżam. Chyba pojedę do Paryża. I nic nie powiem, kochanie, jeśli ty nie powiesz.

Jesteś bezpieczna.

Wyprowadził się w ciągu godziny.

O dziewiątej rano Kendall zadzwoniła do Steve'a Sloane'a.

– Dzień dobry, pani Renaud. Czym mogę pani służyć?

– Wracam po południu do Bostonu – powiedziała Kendall. – Muszę złożyć zeznanie.

Siedziała naprzeciwko Steve'a, blada i wyczerpana. Milczała, jakby zabrakło jej odwagi, żeby zacząć.

– Chciała pani złożyć zeznanie – ponaglił ją Steve.

– Tak. Ja... zabiłam kogoś. – Rozplakała się. – To był wypadek, ale ja... uciekłam. – Cierpienie zniekształciło jej twarz. – Uciekłam i... zostawiłam ją.

– Spokojnie – powiedział Steve. – Niech pani zacznie od początku.

Kendall zaczęła mówić.

Pół godziny później Steve wyglądał przez okno, rozmyślając o tym, czego właśnie wysłuchał.

– I chce pani iść na policję?

– Tak. Od razu powinnam się zgłosić. Już... już mi wszystko jedno, co oni mi zrobią.

Steve powiedział z namysłem:

– Skoro to był wypadek i pani zgłasza się dobrowolnie, sąd powinien potraktować panią łagodnie.

Kendall próbowała odzyskać zimną krew.

– Po prostu chcę z tym skończyć.

– A co z pani mężem?

Podniosła wzrok.

– Z moim mężem?

– Szantaż to przestępstwo. Zna pani numer konta w Szwajcarii, na które zostały wysłane pieniądze. Trzeba tylko wnieść oskarżenie i...

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie. – Nie chcę go więcej znać. Niech on ma swoje życie, a ja swoje.

Steve kiwnął głową.

– Jak pani sobie życzy. Pojedziemy teraz na komendę policji. Może spędzi pani noc w więzieniu, ale bardzo szybko wyciągnę panią za kaucją.

Uśmiechnęła się blado.

– Mogę zrobić coś, czego jeszcze nigdy nie zrobiłam.

– Co takiego?

– Zaprojektować sukienkę w paski.

Wieczorem, po powrocie do domu, Steve opowiedział Julii, co się stało. Była wstrząśnięta.

– Własny mąż ją szantażował? Potworne. – Patrzyła na niego przez długą chwilę. – To cudownie, że twoja praca polega na wyciąganiu ludzi z kłopotów.

Steve spojrział na nią i pomyślał: Ja sam mam kłopoty.

Obudził go aromat świeżej kawy i smażonego bekonu. Zaskoczony, usiadł gwałtownie. Czy gospodyni dzisiaj przysłała? Przecież ją odwołał. Narzucił szlafrok, wsunął stopy w kapcie i pospieszył na dół, do kuchni.

Julia przygotowywała śniadanie. Podniosła wzrok, kiedy wszedł Steve.

– Dzień dobry – powiedziała wesoło. – Na jakie jajka masz ochotę?

– Ee... jajecznicę.

– Świetnie. Jajecznicza na boczku to moja specjalność. Właściwie to moja jedyna specjalność. Mówiłam ci, że gotuję okropnie.

Steve uśmiechnął się.

– Nie musisz gotować. Jeśli zechcesz, możesz zatrudnić setkę kucharzy.

– Czy ja naprawdę dostanę tyle pieniędzy, Steve?

– Owszem. Twój udział w majątku wyniesie ponad miliard.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Miliard...? Nie wierzę!

– Ale to prawda.

– Na świecie nie ma tyle pieniędzy.

– No, twój ojciec zagarnął większość.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć.

– Więc czy ja mogę coś powiedzieć?

– Oczywiście.

– Jajka się przypalają.

– Och! Przepraszam. – Szybko zdjęła patelnię z kuchenki. – Zrobię następną porcję.

– Nie fatyguj się. Nie przeszkadza mi spalony boczek.

Julia parsknęła śmiechem.

– Przepraszam.

Steve podszedł do szafki i wyjął pudełko płatków.

– Co powiesz na smaczne zimne śniadanie?

Nasypał trochę płatków do dwóch miseczek, wyjął mleko z lodówki i oboje usiedli przy kuchennym stole.

– Nie masz kogoś, żeby dla ciebie gotował? – zagadnęła Julia.

– Pytasz, czy jestem z kimś związany?

Zarumieniła się.

– Mniej więcej.

– Nie. Miałem kogoś przez dwa lata, ale nie wyszło.

– Tak mi przykro.

– A co z tobą? – zapytał Steve.

Julia pomyślała o Harrym Wessonie.

– Raczej nie.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Nie jesteś pewna?

– Trudno to wytłumaczyć. Jedno z nas chce małżeństwa – powiedziała taktownie – a drugie nie.

– Rozumiem. Kiedy to wszystko się skończy, wrócisz do Kansas?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Tak dziwnie się czuję. Matka często opowiadała mi o Bostonie. Urodziła się tutaj i kochała to miasto. To trochę jakbym wróciła do domu. Żałuję, że nie znałam mojego ojca.

Nie żałuj, pomyślał Steve.

– Ty go znałeś?

– Nie. Spotykał się tylko z Simonem Fitzgeraldem.

Rozmawiali ponad godzinę, łatwo nawiązała się między nimi nić porozumienia. Steve streścił Julii wcześniejsze wypadki – wizytę obcej kobiety, która podawała się za Julię Stanford, pusty grób i zniknięcie Dmitrija Kaminskiego.

– To niesamowite! – zawołała Julia. – Kto za tym stoi?

– Nie wiem, ale próbuję się dowiedzieć – zapewnił ją Steve. – Na razie będziesz tutaj bezpieczna. Całkiem bezpieczna.

Uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

– Czuję się bezpiecznie. Dziękuję ci. Chciał coś powiedzieć, ale spojrzał na zegarek.

– Powinienem się ubrać i pojechać do biura. Czeka mnie mnóstwo roboty.

Steve spotkał się z Simonem Fitzgeraldem.

– Poczyniłeś jakieś postępy? – zagadnął Simon.

Steve potrząsnął głową.

– Trudno znaleźć coś konkretnego. Ktokolwiek to zaplanował, był geniuszem. Usiłuję wysledzić Dmitrija Kaminskiego. Poleciał z Korsyki przez Paryż do Australii. Rozmawiałem z policją w Sydney. Byli zaskoczeni informacją, że Kaminskij przebywa w ich kraju. Interpol wysłał za nim list gończy i szukają go wszędzie. Myślę, że Harry Stanford podpisał własny wyrok śmierci, kiedy zadzwonił do nas i powiedział, że chce zmienić testament. Ktoś postanowił go powstrzymać. Jedyńm świadkiem tego, co się wydarzyło wtedy na jachcie, był Dmitrij Kaminskij. Kiedy go znajdziemy, dowiemy się znacznie więcej.

– Zastanawiam się, czy nie powinienem włączyć do akcji policji? – zaproponował Fitzgerald.

Steve potrząsnął głową.

– Mamy tylko poszlaki, Simon. Jedyne przestępstwo, jakie możemy udowodnić, to

wykopanie zwłok... i nawet nie wiemy, kto to zrobił.

– A co z wynajętym detektywem, który sprawdził odciski palców tej kobiety?

– Frank Timmons. Zostawiłem dla niego trzy wiadomości. Jeżeli nie odezwie się do szóstej wieczorem, polecę do Chicago. Moim zdaniem on jest głęboko zamieszany w sprawę.

– Jak myślisz, co by się stało z częścią majątku, który miała dostać ta oszustka?

– Mam przeczucie, że ktokolwiek to zaplanował, kazał jej podpisać zrzeczenie się udziału na jego nazwisko. Pewnie posłużył się lipnymi spółkami, żeby to ukryć. Jestem przekonany, że szukamy członka rodziny... Chyba możemy oczyścić Kendall z podejrzeń. – Opowiedział Fitzgeraldowi o swojej rozmowie z panią Renaud. – Gdyby ona za tym stała, nie złożyłaby tego zeznania, przynajmniej nie w takiej chwili. Zaczekałaby, aż zatwierdzą testament. Co do jej męża, uważam, że możemy go wyeliminować. To drobny szantażysta. Nie stać go na zorganizowanie takiej intrygi.

– A co z innymi?

– Sędzia Stanford. Rozmawiałem z moim przyjacielem z Rady Adwokackiej w Chicago. Twierdzi, że Stanford cieszy się doskonałą opinią. Ostatnio nawet wyznaczono go na głównego sędziego. Kolejne, co przemawia na jego korzyść: właśnie sędzia Stanford twierdził, że pierwsza Julia, która się pojawiła, jest oszustką, to on nalegał na przeprowadzenie testu DNA. Wątpię, czy winowajca zrobiłby coś takiego. Interesuje mnie Woody. Z pewnością jest narkomanem, a to kosztowny nałóg. Sprawdziłem jego żonę, Peggy. Niedostatecznie sprytna, żeby wymyślić taki plan. Ale podobno ma brata, który prowadzi ciemne interesy. Zamierzam to zbadać.

Steve zwrócił się do sekretarki: – Połącz mnie z porucznikiem Michaeliem Kennedym z bostońskiej policji.

Po kilku minutach zabrzączał interkom.

– Porucznik Kennedy na pierwszej linii.

Steve podniósł słuchawkę.

– Witam, poruczniku. Dziękuję, że znalazł pan czas, by ze mną porozmawiać. Nazywam się Steve Sloane, pracuję w firmie Renquist, Renquist i Fitzgerald. Próbuje zlokalizować krewnego w sprawie spadku po Harrym Stanfordzie.

– Panie Sloane, chętnie panu pomogę w miarę możliwości.

– Zechce pan sprawdzić w nowojorskiej policji, czy nie mają czegoś o bracie pani Woodrow Stanford. Nazywa się Hoop Malkovich. Pracuje w piekarni w Brooklynie.

– Żaden kłopot. Zadzwoń do pana.

– Dzięki.

Po lunchu Simon Fitzgerald zajrzał do gabinetu Steve'a.

– Jak idzie śledztwo? – zapytał.

– Za wolno. Ktokolwiek to zaplanował, bardzo dokładnie pozacierał ślady.

– Jak się trzyma Julia?

– Jest cudowna – uśmiechnął się Steve.

Coś w tonie jego głosu sprawiło, że Simon Fitzgerald przyjrzał mu się uważnie.

– To bardzo atrakcyjna młoda dama.

– Wiem – przyznał tęsknie Steve. – Wiem.

Godzinę później odebrał telefon z Australii.

– Pan Sloane?

– Tak.

– Mówi główny inspektor McPhearson z Sydney.

– Słucham, panie inspektorze.

– Znaleźliśmy waszego człowieka.

Serce Steve'a uderzyło mocniej.

– Wspaniale! Chciałbym załatwić natychmiastową ekstradycję, żeby go przywieźć...

– Chyba nie ma takiego pośpiechu. Dmitrij Kaminskij nie żyje.

Serce Steve'a zamarło.

– Co?!

– Niedawno znaleźliśmy ciało. Odrąbano mu palce i postrzelono go kilka razy.

„Rosyjskie gangi mają ciekawe zwyczaje. Najpierw odrąbują ofierze palce, pozwalają się wykrwawić, a potem strzelają w łeb”.

– Rozumiem. Dziękuję panu, inspektorze.

Ślepy zaułek. Steve wpatrywał się w ścianę. Wszystkie tropy rozplywały się w powietrzu.

Zrozumiał, jak bardzo liczył na zeznanie Dmitrija Kaminskiego.

Sekretarka przerwała mu rozmyślenia.

– Dzwoni pan Timmons na trzeciej linii.

Steve spojrział na zegarek. Była 17:55. Podniósł słuchawkę.

– Pan Timmons?

– Tak... Przepraszam, że nie odpowiedziałem wcześniej na pańskie telefony. Wyjechałem z miasta na dwa dni. Jak mogę panu pomóc?

Ogromnie, pomyślał Steve. Możesz mi powiedzieć, jak sfalszowałeś te odciski palców. Starannie dobierał słowa.

– Dzwonię w sprawie Julii Stanford. Kiedy niedawno był pan w Bostonie, sprawdził pan jej odciski palców i...

– Panie Sloane...

– Tak?

– Nigdy nie byłem w Bostonie.

Steve wziął głęboki oddech.

– Panie Timmons, zgodnie z rejestrem Holiday Inn, był pan tutaj w dniach...

– Ktoś posłużył się moim nazwiskiem.

Steve poczuł się jak ogłuszony. Ostatni trop nagle się urwał.

– Dzieje się coś dziwnego, panie Sloane. Pewna kobieta twierdzi, że byłem w Bostonie i że zidentyfikowałem ją jako Julię Stanford. Nie widziałem jej nigdy w życiu.

Steve poczuł przyływ nadziei.

– Wie pan, kim ona jest?

– Tak. Nazywa się Posner, Margo Posner.

Steve sięgnął po długopis.

– Gdzie mogę ją znaleźć?

– W Ośrodku Zdrowia Psychicznego Reeda w Chicago.

– Bardzo dziękuję. Jestem panu szczerze wdzięczny.

– Pozostańmy w kontakcie. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje. Nie lubię, kiedy ktoś podszywa się pode mnie.

– Dobrze. – Steve odłożył słuchawkę.

Wieczorem, kiedy Steve wrócił do domu, Julia czekała na niego.

– Zrobiłam obiad – oznajmiła. – No, właściwie nie zrobiłam. Lubisz chińskie jedzenie?

Uśmiechnął się.

– Uwielbiam!

– To dobrze. Mamy osiem kartonów.

Kiedy Steve wszedł do jadalni, stół był nakryty, z kwiatami i świecami.

– Coś nowego? – zapytała Julia.

Steve powiedział ostrożnie:

– Chyba złapaliśmy pierwszy trop. Mam nazwisko kobiety, która jest w to zamieszana. Rano lecę do Chicago, żeby z nią porozmawiać. Mam przeczucie, że jutro poznamy wszystkie odpowiedzi.

– To by było cudownie! – zawołała Julia. – Marzę, żeby wreszcie to się skończyło.

– Ja też – powiedział Steve. Czyżby? Ona wejdzie do rodziny Stanfordów... o wiele za wysokie progi jak dla mnie.

Siedzieli przy obiedzie dwie godziny, ale żadne z nich nie zauważyło, co właściwie jedzą. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, zupełnie jakby znali się od dawna. Omawiali przeszłość i teraźniejszość, i starannie unikali wzmianek o przyszłości. Dla nas nie ma przyszłości, myślał Steve ze smutkiem.

Wreszcie niechętnie powiedział:

– No, lepiej chodźmy do łóżka.

Popatrzyła na niego unosząc brwi i oboje wybuchnęli śmiechem.

– Chciałem powiedzieć...

– Wiem, co chciałeś powiedzieć. Dobranoc, Steve.

– Dobranoc, Julio.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Następnego dnia wcześniej rano Steve poleciał do Chicago linią United. Z lotniska O'Hara wziął taksówkę.

- Dokąd? – zapytał taksjarsz.
- Ośrodek Zdrowia Psychicznego Reeda.
- Taksjarsz obejrzał się na Steve'a.
- Dobrze się pan czuje?
- Tak, dlaczego?
- Tylko pytam.

W ośrodku Steve podszedł do umundurowanego strażnika przy frontowym biurku. Strażnik podniósł wzrok.

- Czym mogę służyć?
- Chciałbym się widzieć z Margo Posner.
- Czy ona tutaj pracuje?
- O tym Steve nie pomyślał.
- Nie wiem.

Strażnik uważniej przyjrzał się Steve'owi.

- Nie wie pan?
- Wiem tylko, że ona tutaj jest.

Strażnik sięgnął do szuflady i wyjął listę nazwisk. Po chwili powiedział:

- Ona tutaj nie pracuje. Czy może być pacjentką?
- No... nie wiem. Możliwe.

Strażnik ponownie zmierzył Steve'a baczny spojrzeniem, potem sięgnął do drugiej szuflady i wyciągnął wydruk komputerowy. Przejrzał go i zatrzymał się w połowie.

- Posner, Margo.
- Zgadza się – powiedział zdumiony Steve. – Ona jest pacjentką?
- Uhum. Czy pan jest krewnym?
- Nie...

– W takim razie niestety nie może pan jej zobaczyć.
– Muszę ją zobaczyć – nalegał Steve. – To bardzo ważne.
– Przykro mi. Mam swoje rozkazy. Nie można odwiedzać pacjentów, chyba że ktoś ma zezwolenie.

– Kto jest tutaj szefem? – zapytał Steve.

– Ja.

– Chodzi mi o szefa szpitala.

– Doktor Kingsley.

– Chcę z nim rozmawiać.

– Dobrze. – Strażnik podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer. – Panie doktorze, mówi Joe z recepcji. Jakiś pan chce z panem rozmawiać. – Podniósł wzrok na Steve'a. – Pańskie nazwisko?

– Steve Sloane. Jestem adwokatem.

– Steve Sloane. Jest adwokatem... dobrze. – Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Steve'a.
– Ktoś po pana przyjdzie.

Pięć minut później Steve wszedł do gabinetu doktora Gary'ego Kingsleya. Kingsley miał około pięćdziesiątki, ale wyglądał na starszego i przemęczonego.

– Czym mogę panu służyć, panie Sloane?

– Muszę się zobaczyć z pacjentką, którą tutaj trzymacie. Margo Posner.

– Ach tak. Interesujący przypadek. Jest pan krewnym?

– Nie, ale prowadzę śledztwo w sprawie możliwego morderstwa i koniecznie muszę z nią porozmawiać. Ona może znać rozwiązanie.

– Przykro mi, ale nie mogę panu pomóc.

– Pan musi się zgodzić – nalegał Steve. – To bardzo...

– Panie Sloane, nie mogę panu pomóc, nawet gdybym chciał.

– Dlaczego?

– Ponieważ Margo Posner przebywa w wyściełanej celi. Atakuje każdego, kto się do niej zbliży. Dzisiaj rano próbowała zabić siostrę przełożoną i dwóch lekarzy.

– Co?!

– Ciągłe zmienia tożsamość i wzywa swojego brata, Tylera, albo załogę swojego jachtu. Uspokaja się tylko pod działaniem silnych leków.

– O mój Boże – jęknął Steve. – Nie wie pan, kiedy ona z tego wyjdzie?

Doktor Kingsley potrząsnął głową.

– Jest pod stałą obserwacją. Może z czasem jej stan się poprawi. Na razie jednak...

Rozdział trzydziesty drugi

O szóstej rano łódź patrolowa krążyła po rzece Charles. Jeden z policjantów zauważył coś unoszącego się na wodzie.

– Zwrot na sterburtę! – zakomenderował. – Wygląda jak kłoda. Odholujmy ją, zanim wyrządzi jakąś szkodę.

Kłoda okazała się zwłokami mężczyzny, a co dziwniejsze, zwłoki były zabalsamowane.

Policjant w zdumieniu wybałuszył oczy i zapytał:

– Jakim cudem zabalsamowane ciało wpadło do rzeki?

Porucznik Michael Kennedy rozmawiał z koronerem.

– Jest pan pewien?

– Na sto procent – odparł koroner. – To jest Harry Stanford. Osobiście go zabalsamowałem. Później dostaliśmy polecenie ekshumacji i kiedy wykopaliśmy trumnę... No, wie pan, zgłosiliśmy to na policję.

– Kto żądał ekshumacji zwłok?

– Rodzina. Załatwili to przez swojego prawnika, Simona Fitzgeralda.

– Chyba muszę porozmawiać z panem Fitzgeraldem.

Kiedy Steve wrócił z Chicago do Bostonu, poszedł prosto do gabinetu swego pryncypała.

– Jesteś jakiś przybity.

– Nie przybity... pobity. Wszystko się rozlatuje, Simon. Mieliśmy trzy możliwe tropy: Dmitrij Kaminskij, Frank Timmons i Margo Posner. No więc Kaminskij nie żyje, prawdziwy Timmons nic nie wie, a Margo Posner jest zamknięta w domu wariatów. Nie mamy nic...

Głos sekretarki Fitzgeralda rozległ się z interkomu.

– Przepraszam, panie Fitzgerald, porucznik Kennedy do pana.

– Niech wejdzie.

Michael Kennedy miał zniszczoną twarz i oczy, które widziały zbyt wiele.

– Pan Fitzgerald?

– Tak. To jest mój zastępca, Steve Sloane. Panowie chyba rozmawiali przez telefon.

Proszę, niech pan siada. Czym możemy panu służyć?

- Właśnie znaleźliśmy ciało Harry’ego Stanforda.
- Co?! Gdzie?
- Pływało w rzece Charles. Kazał pan wykopać ciało, tak?
- Owszem.
- Mogę wiedzieć, dlaczego?

Kiedy Fitzgerald skończył wyjaśnienia, Kennedy powiedział:

- Więc panowie nie wiedzą, kto się podszył pod tego detektywa?
- Nie – przyznał Steve. – Rozmawiałem z Timmonsem. On też nie ma pojęcia.

Kennedy westchnął.

- Robi się „dziwniej i dziwniej”.
- Gdzie jest teraz ciało Harry’ego Stanforda? – zapytał Steve.
- Na razie trzymają je w kostnicy. Mam nadzieję, że nie zniknie znowu.
- Ja też – mruknął Steve. – Poprosimy Perry’ego Wingera, żeby zrobił Julii test DNA.

Steve zadzwonił do Tylera i zawiadomił go, że odnaleziono ciało ojca. Tyler był szczerze wstrząśnięty.

- To straszne! – oświadczył. – Kto mógł zrobić coś takiego?
- Właśnie tego próbujemy się dowiedzieć – odparł Steve.

Tyler był wściekły. Ten nieudolny idiota, Baker! Zapłaci mi za to. Muszę załatwić sprawę, zanim wymknie mi się z rąk.

– Panie Sloane, jak pan się orientuje, wyznaczono mnie na stanowisko głównego sędziego okręgu Cook. Czeka na mnie mnóstwo pracy i obowiązki wzywają mnie do powrotu. Nie mogę dłużej zwlekać. Byłbym wdzięczny, gdyby pan jakoś przyspieszył zatwierdzenie testamentu.

- Dzwoniłem dzisiaj rano – odparł Steve. – W ciągu trzech dni sprawa będzie zamknięta.
- Doskonale. Proszę mnie informować na bieżąco.
- Tak jest, panie sędzio.

Steve siedział w gabinecie i przeglądał w myślach wydarzenia z ostatnich kilku tygodni. Przypomniał sobie rozmowę z głównym inspektorem McPhearsonem.

„Niedawno znaleźliśmy jego ciało. Odrąbano mu palce i postrzelono kilka razy”.

Ale chwileczkę, pomyślał Steve. Jednego mi nie powiedział. Podniósł słuchawkę telefonu i jeszcze raz zadzwonił do Australii.

Głos po drugiej stronie powiedział:

– Główny inspektor McPhearson.

– Witam, inspektorze. Mówi Steve Sloane. Zapomniałem pana o jedno zapytać. Kiedy znaleźliście ciało Dmitrija Kaminskiego, czy miał przy sobie dokumenty?... Rozumiem...

doskonale... bardzo panu dziękuję.

Kiedy Steve odłożył słuchawkę, z interkomu dobiegł głos sekretarki:

– Porucznik Kennedy czeka na drugiej linii.

Steve nacisnął guzik na aparacie telefonicznym.

– Poruczniku, przepraszam za zwłokę. Miałem rozmowę międzykontynentalną.

– Nowojorska policja przekazała mi kilka interesujących informacji o Hoopie Malkovichu. Facet wygląda na niezłego kombinatora.

Steve wziął długopis do ręki.

– Proszę mówić.

– Policja uważa, że piekarnia, w której on pracuje, to przykrywka dla handlu narkotykami. – Porucznik zrobił przerwę. – Malkovich pewnie należy do szajki. Ale jest cwany. Nie dał się na niczym przyłapać.

– Coś jeszcze? – zapytał Steve.

– Policja uważa, że całą operacją kieruje przez Marsylię francuska mafia. Zadzwoń, jeżeli dowiem się czegoś więcej.

– Dziękuję, poruczniku. Bardzo mi pan pomógł.

Steve odłożył słuchawkę i ruszył do drzwi.

Wracał do domu wypełniony oczekiwaniem. Jak tylko wszedł, od razu zawołał:

– Julio?

Brak odpowiedzi. Poczł ukłucie paniki.

– Julio!

Porwali ją albo zabili, pomyślał i nagle ogarnęło go przerażenie.

Pojawiła się na szczycie schodów.

– Steve?

Odetchnął głęboko, blady jak ściana.

– Już myślałem...

– Nic ci nie jest?

– W porządku.

Zeszła ze schodów.

– Dobrze ci poszło w Chicago?

Steve potrząsnął głową.

– Nie najlepiej. – Opowiedział jej, co się wydarzyło. – W czwartek odbędzie się odczytanie testamentu, Julio. Już za trzy dni. Ktokolwiek za tym stoi, musi pozbyć się ciebie wcześniej, bo inaczej jego... albo jej plan nie wypali.

Przełknęła ślinę.

– Rozumiem. Nie domyślasz się, kto to jest?

– Właściwie... – Zadzwoił telefon. – Przepraszam.

Steve podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Mówi doktor Tichner z Florydy. Przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej, ale wyjeżdżałem.

– Doktorze Tichner, dziękuję, że pan oddzwonił. Nasza firma reprezentuje majątek Stanfordów.

– W czym mogę panu pomóc?

– Dzwoniłem w sprawie Woodrowa Stanforda. Podobno on jest pańskim pacjentem.

– Tak.

– Czy on ma problemy z narkotykami, panie doktorze?

– Panie Sloane, nie wolno mi dyskutować o moich pacjentach.

– Rozumiem. Nie pytam z ciekawości. Chodzi o bardzo ważną...

– Niestety nie mogę...

– Ale to pan go skierował do Kliniki Harbour Group na Jupiterze?

Nastąpiła długa przerwa.

– Tak. W rejestrach jest odpowiedni zapis.

– Bardzo dziękuję, panie doktorze. Tylko tyle chciałem wiedzieć.

Steve odłożył słuchawkę i przez chwilę stał bez ruchu.

– To nie do wiary!

– Co takiego? – zapytała Julia.

– Usiądź...

Trzydzieści minut później Steve jechał swoim samochodem do Rose Hill. Wszystkie kawałki układanki wskoczyły na miejsce. On jest genialny. Prawie mu się udało. I jeszcze może się udać, gdyby coś się stało Julii, myślał Steve.

Drzwi otworzył mu Clark.

– Dobry wieczór, panie Sloane.

– Dobry wieczór, Clark. Czy zastałem pana sędziego?

– Jest w bibliotece. Powiem mu, że pan przyszedł.

– Dziękuję. – Steve odprowadził Clarka wzrokiem.

Po chwili kamerdyner wrócił.

– Sędzia Stanford zaraz pana przyjmie.

– Dziękuję.

Steve wszedł do biblioteki. Tyler w skupieniu pochylał się nad szachownicą. Podniósł wzrok na Steve'a.

– Chciał pan ze mną rozmawiać?

– Tak. Uważam, że młoda kobieta, która kilka dni temu złożyła panu wizytę, jest prawdziwą Julią. Pierwsza Julia była fałszywa.

– Ależ to niemożliwe.

– Niestety to prawda, i wykryliśmy, kto za tym wszystkim stoi.

Zapadło krótkie milczenie. Potem Tyler powoli powtórzył:

– Wykryliście?

– Tak. Obawiam, się, że to będzie dla pana wstrząs. Chodzi o pańskiego brata.

Tyler ze zdumieniem spoglądał na Steve'a.

– Mówi pan, że Woody odpowiada za to, co się dzieje?

– Właśnie.

– Nie... nie mogę w to uwierzyć.

– Ani ja, ale wszystko do siebie pasuje. Rozmawiałem z jego lekarzem w Hobe Sound.

Czy pan wie, że pański brat bierze narkotyki?

– Ee... podejrzewałem.

– Narkotyki są kosztowne. Woody nie pracuje. Potrzebuje pieniędzy i widocznie chce zdobyć większy udział w majątku. To on wynajął fałszywą Julię, ale kiedy pan zwrócił się do nas z prośbą o test DNA, Woody spanikował i kazał usunąć ciało z trumny, bo nie mógł pozwolić na przeprowadzenie testu. Właśnie wtedy nabrałem podejrzeń. Sądzę też, że wysłał kogoś do Kansas City, by zabił prawdziwą Julię. Wiedział pan, że brat Peggy ma powiązania z mafią? Dopóki Julia żyje i dopóki istnieją dwie Julie, jego plan nie może się udać.

– Jest pan pewien tego wszystkiego?

– Owszem. I jest coś jeszcze, panie sędzio.

– Tak?

– Nie sądzę, żeby pański ojciec wypadł z jachtu. Uważam, że Woody kazał go zamordować. Brat Peggy mógł to załatwić. Słyszałem, że ma kontakty w marsylskiej mafii. Łatwo mogli przekupić załogę. Dzisiaj wieczorem lecę do Włoch, żeby porozmawiać z kapitanem jachtu.

Tyler słuchał uważnie. Wreszcie powiedział z aprobatą:

– Doskonały pomysł. – Kapitan Vacarro nic nie wie.

– Wracam w czwartek, na odczytanie testamentu.

– A co z prawdziwą Julią? – zapytał Tyler. – Czy na pewno jest bezpieczna?

– O tak – potwierdził Steve. – Nikt jej nie znajdzie. Ona mieszka w moim domu.

Rozdział trzydziesty trzeci

Bogowie mi sprzyjają. Nie wierzył we własne szczęście. To był niewiarygodny uśmiech losu. Wczoraj wieczorem Steve Sloane podał mu Julię na talerzu. Hal Baker jest niekompetentnym durniem, pomyślał Tyler. Zajmę się Julią osobiście.

Podniósł wzrok, kiedy Clark wszedł do pokoju.

– Przepraszam, panie sędzio. Telefon do pana.

Dzwonił Keith Percy.

– Tyler?

– Tak, Keith.

– Chciałem tylko przekazać ci najnowsze wiadomości w sprawie Margo Posner.

– Słucham.

– Właśnie dzwonił do mnie doktor Gifford. Ta kobieta jest szalona. Zachowuje się tak fatalnie, że musieli ją zamknąć na oddziale dla niebezpiecznych furiatów.

Tyler poczuł gwałtowną ulgę.

– Przykro mi to słyszeć.

– W każdym razie chciałem cię uspokoić i zawiadomić, że ona już nie zagraża ani tobie, ani twojej rodzinie.

– Bardzo ci jestem wdzięczny – powiedział Tyler. I nie kłamał.

Tyler poszedł do swojego pokoju i zadzwonił do Lee. Musiał długo czekać, zanim Lee odebrał telefon.

– Halo? – Tyler słyszał w tle jakieś głosy. – Lee?

– Kto mówi?

– Tyler.

– Ach tak. Tyler.

Tyler słyszał brzęk kieliszków.

– Wydajesz przyjęcie, Lee?

– Uhum. Chcesz wpaść?

Tyler zastanawiał się, kogo Lee przyjmował.

– Chciałbym, ale nie mogę. Dzwonię, żeby cię uprzedzić, byś się przygotował do tej wycieczki jachtem, o której rozmawialiśmy.

Lee wybuchnął śmiechem.

– Mówisz o tej wycieczce wielkim białym jachtem do St.-Tropez?

– Właśnie.

– Jasne. Jestem gotowy w każdej chwili – prychnął drwiąco Lee.

– Lee, ja mówię poważnie.

– Och, daj spokój, Tyler. Sędziowie nie mają jachtów. Muszę już iść. Goście mnie wołają.

– Zaczekaj chwilę! – zawołał desperacko Tyler. – Czy wiesz, kim jestem?

– Jasne, jesteś...

– Jestem Tyler Stanford. Moim ojcem był Harry Stanford.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Nie. Załatwiam teraz w Bostonie sprawy majątkowe.

– Mój Boże! Więc jesteś z tych Stanfordów. Nie wiedziałem. Przepraszam. Ja... słyszałem o tym w wiadomościach, ale nie zwróciłem uwagi. Nie przypuszczałem, że to ty.

– Nic nie szkodzi.

– Więc naprawdę chcesz mnie zabrać do St.-Tropez?

– Oczywiście. Razem wspaniale spędzimy czas – powiedział Tyler. – To znaczy, jeśli chcesz.

– Pewnie, że chcę! – Głos Lee nagle zadźwięczał entuzjazmem. – O rany, Tyler, to naprawdę wspaniała nowina...

Tyler z uśmiechem odłożył słuchawkę. Załatwił sprawę z Lee. Teraz, pomyślał, muszę się zająć moją przyrodnią siostrą.

Wszedł do biblioteki, gdzie Harry Stanford trzymał swoją kolekcję broni. Otworzył gablotę i wyjął mahoniowe pudło. Z szuflady pod gablotą wziął trochę amunicji. Włożył naboje do kieszeni i zaniósł mahoniowe pudło na górę, do sypialni. Zamknął drzwi na klucz. W pudle spoczywały dwa jednakowe rewolwery Ruger, ulubiona broń Harry'ego Stanforda. Tyler wyjął jeden, załadował go starannie, a dodatkową amunicję i pudło z drugim rewolwerem schował do szuflady biurka. Jeden strzał wystarczy, pomyślał. Nauczył się dobrze strzelać w wojskowej szkole, do której posłał go ojciec. Dziękuję, ojciec.

Następnie wziął książkę telefoniczną i odszukał adres Steve'a Sloane'a. Newbury Street 280, Boston.

Zszedł do garażu, gdzie stało pół tuzina samochodów. Wybrał czarnego mercedesa, który najmniej rzucał się w oczy. Otworzył drzwi garażu i odczekał chwilę nadsluchując, czy hałas nikogo nie zaniepokoił. Wszędzie panowała cisza.

Po drodze do domu Steve'a Sloane sędzia Stanford myślał o tym, co zamierzał zrobić. Nigdy jeszcze nie popełnił morderstwa w sensie fizycznym. Ale tym razem nie miał wyboru.

Julia Stanford stanowiła ostatnią przeszkodę w spełnieniu jego marzeń. Kiedy ona zniknie, skończą się jego kłopoty. Na zawsze, pomyślał Tyler.

Jechał powoli, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Na Newbury Street minął dom Steve'a. Na ulicy parkowało kilka samochodów, ale nie było żadnych przechodniów.

Zostawił samochód przy następnej przecznicy i piechotą wrócił pod dom młodego prawnika. Nacisnął dzwonek i czekał.

Zza drzwi dobiegł głos Julii:

– Kto tam?

– Sędzia Stanford.

Julia otworzyła drzwi. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Co pan tu robi? Czy coś się stało?

– Nie, nic takiego – odparł swobodnie. – Steve Sloane prosił mnie, żebym z panią porozmawiał. Powiedział mi, gdzie pani jest. Mogę wejść?

– Tak, oczywiście.

Tyler wszedł do holu i patrzył, jak Julia zamyka za nim drzwi. Zaprowadziła go do salonu.

– Steve'a nie ma – powiedziała. – Poleciał do San Remo.

– Wiem. – Tyler rozejrzał się. – Jest pani sama? Nie ma tutaj gosposi ani nikogo?

– Nie. Jestem tu bezpieczna. Mogę pana czymś poczęstować?

– Nie, dziękuję.

– O czym pan chciał ze mną rozmawiać?

– Przyszedłem porozmawiać o tobie, Julio. Rozczarowałaś mnie.

– Rozczarowałaś...?

– Nie powinnaś była tutaj przyjeżdżać. Naprawdę myślałaś, że tak łatwo zagarniesz majątek, który do ciebie nie należy!

Wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Ale ja mam prawo do...

– Nie masz prawa do niczego! – warknął Tyler. – Gdzieś ty była przez te wszystkie lata, kiedy ojciec nas dręczył i upokarzał? Wychodził ze skóry, żeby nas zranić jak najboleśniej. Skazał nas na piekło. Nie musiałaś przez to przechodzić. No, a my musieliśmy i dlatego zasługujemy na pieniądze. Ty nie.

– Ale... czego pan chce ode mnie?

Tyler parsknął krótkim śmiechem.

– Czego chcę od ciebie? Niczego. Dostyc już zrobiłaś, cholera. O mało wszystkiego nie zepsułaś, rozumiesz?

– Nie rozumiem.

– To całkiem proste. – Wyjął rewolwer. – Znikniesz.

Julia cofnęła się o krok.

– Ale...

– Nic nie mów. Nie traćmy czasu. Ty i ja pojedziemy na małą wycieczkę.

Zesztywniała.

– A jeśli nie pojedę?

– Owszem, pojedziesz. Żywa albo martwa. Wybieraj.

W ciszy, która zapadła, Tyler usłyszał własny wzmocniony głos, dobiegający z sąsiedniego pokoju: „Owszem, pojedziesz. Żywa albo martwa. Wybieraj”.

Odwrócił się gwałtownie.

– Co...?

Steve Sloane, Simon Fitzgerald, porucznik Kennedy i dwóch umundurowanych policjantów weszło do salonu. Steve trzymał magnetofon.

– Proszę oddać broń, panie sędzio – powiedział porucznik Kennedy.

Tyler zamarł na chwilę, potem zdobył się na wymuszony uśmiech.

– Oczywiście. Próbowałem tylko nastraszyć tę kobietę, żeby się stąd wyniosła. To oszustka, wiadomo. – Położył broń na wyciągniętej dłoni detektywa. – Próbowała wyłudzić część majątku Stanfordów. No, nie zamierzałem pozwolić, żeby jej to uszło bezkarnie. Więc...

– Gra skończona, panie sędzio – oznajmił Steve.

– O czym pan mówi? Powiedział pan, że Woody odpowiadał za...

– Woody nie potrafiłby wymyślić takiego sprytnego planu, a Kendall i bez tego odnosiła sukcesy. Więc zacząłem pana sprawdzać. Dmitrij Kaminskij został zabity w Australii, ale australijska policja znalazła w jego kieszeni pański numer telefonu. Posłużył się pan Kaminskim do zamordowania własnego ojca. To pan sprowadził Margo Posner, a potem twierdził, że jest oszustką, by odsunąć od siebie podejrzenia. To pan zażądał testu DNA i załatwił usunięcie ciała. I to pan wykonał fałszywy telefon do Timmonsa. Wynajął pan Margo Posner, żeby udawała Julię, a potem wsadził ją pan do domu wariatów.

Tyler rozejrzał się po pokoju, a kiedy przemówił, głos miał niebezpiecznie spokojny.

– I numer telefonu w kieszeni martwego człowieka ma stanowić dowód? Nie do wiary! Zastawiliście swoją żalostną pułapkę, opierając się na czymś takim? Nie macie ani cienia dowodu. Dmitrij miał mój numer telefonu, ponieważ uważałem, że mojemu ojcu grozi niebezpieczeństwo. Kazałem Dmitrijowi zachować ostrożność. Widocznie nie był dość ostrożny. Ktokolwiek zabił mojego ojca, prawdopodobnie zabił też Dmitrija. Tego kogoś powinna szukać policja. Dzwoniłem do Timmonsa, bo chciałem, żeby wykrył prawdę. Ktoś podszył się pod niego. Nie mam pojęcia, kto. Dopóki go nie znajdziecie i nie skonfrontujecie ze mną, nie macie nic. Co do Margo Posner, naprawdę wierzyłem, że ona jest naszą siostrą. Kiedy nagle oszalała, dostała szalu zakupów i groziła, że nas wszystkich pozabija, namówiłem ją, żeby poleciała do Chicago. Potem załatwiłem, żeby ją zatrzymano i zamknięto. Chciałem to ukryć przed prasą, żeby ochronić rodzinę.

– Ale pan tutaj przyszedł, żeby mnie zabić – oświadczyła Julia.

Tyler potrząsnął głową.

– Nie zamierzałem pani zabijać. Pani jest oszustką. Chciałem tylko panią nastraszyć.

– Pan kłamie.

Tyler zwrócił się do pozostałych:

– Zastanówcie się jeszcze nad jednym. Możliwe, że nikt z rodziny nie jest zamieszany w tę sprawę. Możliwe, że kieruje tym ktoś dobrze poinformowany, kto wysłał oszustkę i zamierzał przekonać rodzinę, że ona jest autentyczna, a potem podzielić się z nią łupem. O tym żaden z was nie pomyślał, co?

Odwrócił się do Simona Fitzgeralda.

– Zamierzam zaskarżyć was obu o zniesławienie. Puszczę was z torbami. Mam świadków. Zanim z wami skończę, pożałujecie, żeście mnie spotkali. Mam miliardy dolarów i użyję ich, żeby was zniszczyć. – Spojrzał na Steve'a. – Obiecuję, że odczytanie testamentu Stanforda będzie pańską ostatnią czynnością prawną. Teraz, jeżeli nie chcecie mnie oskarżyć o posiadanie nie zarejestrowanej broni, wychodzę.

Zebrani wymienili niepewne spojrzenia.

– Nie? W takim razie do widzenia.

Patrzyli bezradnie, jak Tyler wychodzi.

Pierwszy odzyskał głos porucznik Kennedy.

– Mój Boże! – zawołał. – I wy mu wierzycie?

– Blefuje – powoli powiedział Steve. – Ale nie możemy tego udowodnić. On ma rację. Potrzebujemy dowodu. Myślałem, że się załamie, ale nie doceniłem go.

Odezwał się Simon Fitzgerald:

– Wygląda na to, że nasz plan zawiódł. Bez Dmitrija Kaminskiego albo zeznania tej Posner nie mamy nic poza podejrzeniami.

– Przecież groził, że mnie zabije – zaprotestowała Julia.

– Słyszałaś, co powiedział – mruknął Steve. – Chciał cię tylko nastraszyć, bo myślał, że jesteś oszustką.

– Nie – sprzeciwiła się Julia. – On chciał mnie zabić.

– Wiem. Ale nic nie możemy poradzić. Dickens miał rację: „Prawo jest błaznem...”

Wróciliśmy do punktu wyjścia.

Fitzgerald zmarszczył brwi.

– Jest jeszcze gorzej, Steve. Tyler nie żartował, że nas zaskarży. Dopóki nie udowodnimy zarzutów, grożą nam poważne kłopoty.

Kiedy tamci wyszli, Julia powiedziała do Steve'a:

– Tak mi przykro. Czuję się w jakiś sposób odpowiedzialna. Gdybym nie przyjechała...

– Nie bądź niemądra – zaprzeczył.

– Ale on powiedział, że was zrujnuje. Może to zrobić?

Steve wzruszył ramionami.

– Poczekamy, zobaczymy.

Zawahała się.

– Steve, chciałabym ci pomóc.

– Jak to? – spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– No, dostanę dużo pieniędzy. Chciałabym ci dać tyle, żebyś nie musiał...

Położył ręce na jej ramionach.

– Dziękuję ci, Julio. Nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy. Poradzę sobie.

– Ale...

– Nie martw się o mnie.

Julia zadygotała.

– To zły człowiek.

– Zachowałeś się bardzo dzielnie.

– Powiedziałaś, że nie macie jak go dopaść, więc pomyślałam, że jeżeli przyślesz go tutaj, wpadnie w pułapkę.

– A tymczasem to my wpadliśmy w pułapkę, prawda?

Tej nocy Julia leżała w łóżku, myśląc o Stevie. Zastanawiała się, jak może go ochronić. Nie powinna była tu przyjeżdżać, pomyślała, ale nie spotkałabym go, gdybym nie przyjechała.

W pokoju obok Steve leżał w łóżku, myśląc o Julii. Świadomość, że jest tuż obok, oddzielona tylko cienką ścianą, nie dawała mu zasnąć. O czym ja myślę? Ta ściana ma miliard dolarów grubości.

Tyler był w radosnym nastroju. Jadąc do domu rozpamiętywał, jak ich wszystkich przechytrzył. To są Pigmeje próbujące powalić olbrzymą, myślał. Nie miał pojęcia, że powtarza słowa ojca.

Kiedy dotarł do Rose Hill, przywitał go Clark.

– Dobry wieczór, panie sędzio. Mam nadzieję, że dobrze się pan czuje.

– Doskonale, Clark, doskonale.

– Czy coś panu podać?

– Tak. Chyba mam ochotę na kieliszek szampana.

– Oczywiście, proszę pana.

Szampan dla uczczenia zwycięstwa. Jutro będę wart ponad dwa miliardy dolarów.

Powtórzył miłośnie te słowa:

– Dwa miliardy dolarów... dwa miliardy dolarów...

Postanowił zadzwonić do Lee. Tym razem Lee natychmiast rozpoznał jego głos.

– Tyler! Co u ciebie? – zapytał ciepło.

- Wszystko dobrze, Lee.
 - Czekałem na twój telefon.
- Tyler poczuł lekki dreszczyk.
- Naprawdę? Może przyjechałbyś jutro do Bostonu?
 - Jasne... ale po co?
 - Na odczytanie testamentu. Odziedziczę ponad dwa miliardy dolarów.
 - Dwa... to fantastycznie!
 - Chcę, żebyś był przy mnie. Razem wybierzemy ten jacht.
 - Och, Tyler! To cudowna propozycja!
 - Więc przyjedziesz?
 - Oczywiście, że przyjadę.
- Lee odłożył słuchawkę i długo wpatrywał się w telefon, powtarzając miłośnie:
- Dwa miliardy dolarów... dwa miliardy dolarów...

Rozdział trzydziesty czwarty

Na dzień przed odczytaniem testamentu Kendall i Woody siedzieli w gabinecie Steve'a.

– Nie rozumiem, po co tu przyszliśmy – powiedział Woody. – Testament otworzą dopiero jutro.

– Chcę, żebyście kogoś poznali – poinformował ich Steve.

– Kogo?

– Waszą siostrę.

Oboje wytrzeszczyli na niego oczy.

– Przecież już ją znamy – powiedziała Kendall.

Steve nacisnął guzik interkomu.

– Poproś ją do środka, dobrze?

Kendall i Woody wymienili zdumione spojrzenia.

Drzwi się otwarły i do gabinetu weszła Julia Stanford. Steve wstał.

– To jest wasza siostra, Julia.

– Co pan wygaduje, do cholery? – wybuchnął Woody. – Kogo pan chce nabrać?

– Pozwólcie, że wyjaśnię – przerwał mu spokojnie Steve. Mówił przez piętnaście minut i na koniec dodał: – Perry Winger potwierdza, że jej DNA pasuje do DNA waszego ojca.

Po chwili odezwał się Woody:

– Tyler! Nie mogę uwierzyć!

– Lepiej niech pan uwierzy.

– Nie rozumiem – oznajmił Woody. – Odciski palców tamtej kobiety udowodniły, że to ona jest Julią. Mam jeszcze tę kartkę z odciskami.

Serce Steve'a uderzyło szybciej.

– Ma pan?

– Tak. Zatrzymałem ją dla kawału.

– Chciałbym pana prosić o przysługę – zaczął Steve.

Następnego dnia o dziesiątej rano spora grupa zebrała się w sali konferencyjnej firmy

Renquist, Renquist i Fitzgerald. Simon Fitzgerald zasiadał u szczytu stołu. Obecni byli Kendall, Tyler, Woody, Steve i Julia, a także kilku obcych.

Fitzgerald przedstawił dwóch spośród nich.

– To jest William Parker i Patrick Evans. Pracują w firmie prawniczej, która reprezentuje Przedsiębiorstwa Stanforda. Przynieśli ze sobą raport o finansowym stanie przedsiębiorstwa. Najpierw omówię ten raport, później oni poprowadzą zebranie.

– Zaczynamy wreszcie – rzucił zniecierpliwiony Tyler. Siedział osobno, z dala od innych. Nie tylko dostanę pieniądze, ale zniszczę was, dranie.

Simon Fitzgerald kiwnął głową.

– Proszę bardzo.

Przed Fitzgeraldem leżała gruba teczka podpisana: HARRY STANFORD – TESTAMENT.

– Każdy z państwa otrzyma kopię testamentu, żebyśmy nie musieli zagłębiać się w kwestie techniczne. Powiedziałem już, że dzieci Harry’ego Stanforda odziedziczą majątek w równych częściach.

Julia zerknęła na Steve’a, na jej twarzy malowało się oszołomienie.

Cieszę się ze względu na nią, pomyślał Steve. Nawet jeśli w rezultacie ją stracę.

Simon Fitzgerald kontynuował:

– Ponadto istnieje około tuzina pomniejszych legatów, bez większego znaczenia.

Tyler myślał: Lee przyjedzie po południu. Wyjdę po niego na lotnisko.

– Jak powiedziano państwu wcześniej, aktywa Przedsiębiorstw Stanforda wynoszą w przybliżeniu sześć miliardów dolarów. – Fitzgerald skłonił głowę w stronę Williama Parkera.

– Teraz oddaję głos panu Parkerowi.

William Parker otworzył teczkę i rozłożył kilka dokumentów na konferencyjnym stole.

– Jak powiedział pan Fitzgerald, aktywa wynoszą sześć miliardów dolarów. Jednakże... – Nastąpiła brzemienna pauza. Parker rozejrzał się po sali. – Przedsiębiorstwa Stanforda są zadłużone na ponad piętnaście miliardów dolarów.

Woody zerwał się na równe nogi.

– Co pan wygaduje, do cholery?

Twarz Tylera przybrała barwę popiołu.

– Czy to jakiś makabryczny dowcip?

– Na pewno! – dodała ochryple Kendall.

Parker odwrócił się do jednego z mężczyzn w sali.

– Pan Leonard Redding z Komisji Papierów Wartościowych i Giełdy wyjaśni resztę.

Redding kiwnął głową.

– Przez ostatnie dwa lata Harry Stanford był przekonany, że nastąpi spadek notowań akcji. W przeszłości zarobił miliony grając na zniżkę. Kiedy notowania zaczęły wzrastać, on nadal był przekonany, że nastąpi spadek, i ciągle spekulował na zniżkę. Zaciągnął ogromne

pożyczki na kupno długoterminowych obligacji, ale notowania poszły w górę i koszty pożyczek gwałtownie podskoczyły, podczas gdy wartość obligacji spadła. Banki chętnie robiły z nim interesy ze względu na jego reputację oraz olbrzymi majątek, ale kiedy próbował odbić sobie straty inwestując w papiery wartościowe o wysokim stopniu ryzyka, wspólnicy zaczęli się niepokoić. Stanford dokonał szeregu katastrofalnych inwestycji. Część pieniędzy, które pożyczył, utopił w papierach wartościowych, które kupił za pożyczone pieniądze jako dodatkowe zabezpieczenie dalszych pożyczek.

– Innymi słowy – wtrącił Patrick Evans – stale powiększał swoje długi, działając nielegalnie.

– Zgadza się. Na nieszczęście dla niego notowania giełdowe poszły w górę bardzo ostro, co rzadko się zdarza w historii finansów. Stanford musiał dalej pożyczać pieniądze, żeby spłacić zaciągnięte długi. Wpadł w błędne koło.

Zebrani siedzieli w milczeniu, chłonąc każde słowo Reddinga.

– Wasz ojciec udzielił osobistej gwarancji na fundusz emerytalny firmy i bezprawnie zużył te pieniądze na kupno większej liczby akcji. Kiedy banki zaczęły się interesować jego poczynaniami, założył fikcyjne firmy i przedstawił sfałszowane raporty o wypłacalności oraz fałszywe dane o sprzedaży, żeby zawyżyć wartość swoich akcji. Popęłił defraudację. W ostateczności liczył na konsorcjum banków, że wyciągną go z kłopotów. Odmówiły. Kiedy banki poinformowały Komisję Papierów Wartościowych i Giełdy, co się dzieje, sprawą zajął się Interpol.

Redding wskazał mężczyznę siedzącego obok.

– To jest inspektor Patou z francuskiej S  ret  . Inspektorze, zechce pan wyja  nić reszt  ?

Inspektor Patou m  wił po angielsku z lekkim francuskim akcentem.

– Na polecenie Interpolu   ledzili  my Harry’ego Stanforda do St.-Paul-de-Vence, wysla  m tam trzech detektyw  w,   eby mieli go na oku. Wymkn  ł si   im. Interpol wysla   zielony kod do wszystkich departament  w policji, informuj  cy,   e Harry Stanford jest podejrzany i podlega obserwacji. Gdyby znali rozmiary jego przest  pczej dzia  alno  ci, wysla  liby czerwony kod albo najwy  szy priorytet i mogliby  my go aresztowa  c.

Woody by   w stanie szoku.

– Wi  c to dlatego on nam zapisa   maj  tek. Bo nic nie mia  !

– Ma pan racj   – potwierdzi   William Parker. – Ojciec umie  ci   was wszystkich w testamencie, poniewa   banki odm  wiły mu wsp  lpracy i wiedzia  ,   e w rezultacie nic wam nie zostawia. Ale rozmawia   z Ren   Gautierem z Credit Lyonnais, kt  ry obieca   mu pomoc. W chwili odzyskania wypłacalno  ci, planowa   zmieni   testament i wykre  li   was.

– Ale co z jachtem, samolotem i domami? – zapyta   Kendall.

– Przykro mi – powiedzia   Parker. – Wszystko zostanie sprzedane na pokrycie dlu  g  w.

Tyler siedzia   bez ruchu, oniemia  y. Ten koszmar przerasta   jego wyobra  ni  . Nie by   ju   Tylerem Stanfordem, multimiliarderem. By   zwyklym s  dzi  .

Wstrząśnięty, podniósł się z krzesła.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć. Jeśli to wszystko... – Musiał szybko pojechać na lotnisko, żeby spotkać Lee i wytłumaczyć, co się stało.

– To nie wszystko – odezwał się Steve.

Tyler zatrzymał się.

– Tak?

Steve skinął na mężczyznę stojącego przy drzwiach. Drzwi się otworzyły i do sali wszedł Hal Baker.

– Cześć, panie sędzio.

Przełom nastąpił, kiedy Woody powiedział Steve’owi, że zatrzymał kartkę z odciskami palców.

– Chciałbym ją zobaczyć – powiedział Steve.

– Po co? – zdziwił się Woody. – Tam są tylko dwa zestawy odcisków palców tej kobiety, które pasują do siebie. Wszyscy to sprawdzaliśmy.

– Ale odciski zdejmował człowiek, który podawał się za Franka Timmonsa, prawda?

– Tak.

– Więc jeżeli dotykał tej kartki, tam będą także jego odciski palców.

Przezucie Steve’a okazało się trafne. Odciski Hala Bakera były na całej kartce, a komputer odnalazł jego nazwisko po niecałych trzydziestu minutach. Steve zadzwonił do prokuratury okręgowej w Chicago. Wydano nakaz aresztowania i dwaj detektywi zjawili się w domu Hala Bakera.

Baker grał w piłkę z Billym na podwórku.

– Pan Baker?

– Tak.

Detektywi pokazali swoje odznaki.

– Prokurator chce z panem porozmawiać.

– Teraz nie mogę – odparł z oburzeniem.

– A to dlaczego? – zapytał jeden z detektywów.

– Chyba widzicie, dlaczego. Gram z synem w piłkę!

Prokurator okręgowy zapoznał się z aktami z procesu Hala Bakera. Spojrzał na siedzącego naprzeciwko mężczyznę i powiedział:

– Widzę, że jest pan człowiekiem rodzinnym.

– Tak jest – odparł z dumą Hal Baker. – Na tym się opiera nasz kraj. Gdyby każda rodzina...

– Panie Baker – prokurator pochylił się do przodu. – Pracuje pan dla sędziego Stanforda.

– Nie znam żadnego sędziego Stanforda.

– Wobec tego odświeżę pańską pamięć. Sędzia Stanford dał panu wyrok z zawieszeniem. Kazał panu udawać prywatnego detektywa Franka Timmonsa i mamy powody podejrzewać, że kazał panu również zabić Julię Stanford.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Mówię o wyroku od dziesięciu do dwudziestu lat. Będę żądał dwudziestu.

Hal Baker zbladł.

– Nie może pan tego zrobić! Przecież moja żona i dzieci...

– Właśnie. Z drugiej strony – ciągnął prokurator – jeżeli zgodzi się pan zeznawać, gotów jestem zagwarantować panu łagodny wyrok.

Hal Baker zaczął się pocić.

– Co... co mam robić?

– Porozmawiajmy...

Teraz, w sali konferencyjnej firmy Renquist, Renquist i Fitzgerald, Hal Baker spojrzał na Tylera i powiedział:

– Co słytać, panie sędzio?

Woody obejrzał się i zawołał:

– Hej! To jest Frank Timmons!

Steve powiedział do Tylera:

– To jest człowiek, któremu kazał pan włamać się do naszych biur i zdobyć kopię testamentu pańskiego ojca, wykopać jego zwłoki oraz zabić Julię Stanford.

Dopiero po chwili Tyler odzyskał głos.

– Pan oszalał! Ten człowiek jest skazańcem, recydywistą. Nikt nie uwierzy w jego słowa przeciwko moim!

– Nikt nie musi mu wierzyć na słowo – odparł Steve. – Czy zna pan tego człowieka?

– Oczywiście. Został skazany w moim sądzie.

– Jak on się nazywa?

– Nazywa się... – Tyler dostrzegł pułapkę. – Na pewno ma dużo nazwisk.

– Kiedy pan go sądził, nazywał się Hal Baker?

– Tak... zgadza się.

– Ale kiedy ten człowiek przyjechał do Bostonu, pan go przedstawił jako Franka Timmonsa.

Tyler zaczął się płatać.

– No...

– Załatwił mu pan własny nadzór sądowy i posłużył się nim, by udowodnić, że Margo Posner jest prawdziwą Julią.

– Nie! Nie miałem z tym nic wspólnego. Nigdy nie spotkałem tamtej kobiety, dopóki się tutaj nie zjawiała.

Steve odwrócił się do porucznika Kennedy.

– Zanotował pan, poruczniku?

– Tak.

Steve znowu zwrócił się do Tylera.

– Sprawdziliśmy Margo Posner. Ona także była sądzona przez pana i dostała zwolnienie warunkowe. Dzisiaj rano prokurator okręgowy w Chicago wydał nakaz przeszukania pańskiej skrytki depozytowej. Niedawno dzwonił, by mi powiedzieć, że znaleziono dokument przekazujący panu udział Julii Stanford w majątku pańskiego ojca. Dokument został podpisany pięć dni przed przyjazdem do Bostonu rzekomej Julii Stanford.

Tyler oddychał ciężko, usiłując zebrać myśli.

– To... to absurd!

Porucznik Kennedy wstał.

– Sędzio Stanford, aresztuję pana za spisek w celu popełnienia morderstwa. Wystąpimy o ekstradycję. Zostanie pan odesłany do Chicago.

Tyler stał bez ruchu, słowa go zawiodły.

– Ma pan prawo zachować milczenie. Jeżeli zrezygnuje pan z tego prawa, wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu. Ma pan prawo do rozmowy z adwokatem oraz do jego obecności w trakcie przesłuchania. Jeżeli nie stać pana na wynajęcie adwokata, wyznaczmy panu obrońcę z urzędu przed rozpoczęciem przesłuchania, jeżeli pan tego zażąda. Czy zrozumiał pan swoje prawa? – zakończył porucznik Kennedy.

– Tak. – A potem triumfalny uśmiech stopniowo rozjaśnił twarz Tylera. Wiem, jak ich pokonać! – pomyślał z radością.

– Jest pan gotowy, panie sędzio?

Tyler kiwnął głową i spokojnie powiedział:

– Tak, jestem gotowy. Chciałbym wrócić do Rose Hill, żeby zabrać moje rzeczy.

– Dobrze. Wyślemy z panem dwóch policjantów.

Tyler obejrzał się na Julię. W jego oczach było tyle nienawiści, że dziewczyna zadrżała.

Trzydzieści minut później Tyler i dwaj policjanci dotarli do Rose Hill. Weszli do holu frontowymi drzwiami.

– Spakuję się w kilka minut – powiedział Tyler.

Patrzyli, jak wchodzi po schodach na piętro. W swoim pokoju podszedł do biurka, wyjął rewolwer i załadował.

Huk wystrzału wstrząsnął całym domem.

Rozdział trzydziesty piąty

Woody i Kendall siedzieli w bawialni Rose Hill. Kilku mężczyzn w kombinezonach zdejmowało obrazy ze ścian i rozkręcało meble.

– To koniec epoki – westchnęła Kendall.

– Raczej początek – odparł Woody z uśmiechem. – Żałuję, że nie zobaczę miny Peggy, kiedy się dowie o wartości mojego majątku! – Wziął siostrę za rękę. – Dobrze się czujesz? Chodzi mi o Marka.

Kendall przytaknęła.

– Jakoś to przeżyję. W każdym razie będę bardzo zajęta. Za dwa tygodnie mam wstępne przesłuchanie. No, a potem zobaczymy.

– Na pewno wszystko pójdzie dobrze. – Woody wstał. – Muszę wykonać ważny telefon – oznajmił.

Chciał przekazać nowiny Mimi Carson.

– Mimi – powiedział Woody przepraszającym tonem – niestety będę musiał wycofać się z naszej umowy. Sprawy nie ułożyły się tak, jak miałem nadzieję.

– Dobrze się czujesz, Woody?

– Tak. Dużo się tutaj zmieniło. Peggy i ja skończyliśmy ze sobą.

Zapadło długie milczenie.

– O? Więc wracasz do Hobe Sound?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co robić.

– Woody?

– Tak?

Mimi powiedziała miękko:

– Proszę, wróć.

Julia i Steve siedzieli na patio.

– Przykro mi, że tak wyszło – powiedział Steve. – To znaczy, z twoimi pieniędzmi.

Julia uśmiechnęła się do niego.

– Właściwie nie potrzebuję setki kucharzy.

– Nie jesteś rozczarowana, że twoja podróż poszła na marne?

Podniosła na niego spojrzenie.

– Czy na marne, Steve?

Nie wiedzieli, które zrobiło pierwszy ruch, ale po chwili ona znalazła się w jego ramionach, a on ją całował.

– Pragnąłem tego, odkąd cię zobaczyłem po raz pierwszy.

Julia potrząsnęła głową.

– Kiedy pierwszy raz mnie zobaczyłeś, kazałeś mi wynosić się z miasta!

Steve uśmiechnął się.

– Tak powiedziałem? Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Julia przypomniała sobie słowa Sally: „Nawet nie wiesz, czy facet się oświadcza”.

– Czy to oświadczyły? – zapytała.

Objął ją mocniej.

– No pewnie. Wyjdiesz za mnie?

– Och, tak!

Kendall wyszła na patio. Trzymała w ręku kartkę papieru.

– Właśnie dostałam pocztę.

Steve spojrzał na nią z niepokojem.

– Następny...?

– Nie. Wybrano mnie Kreatorką Roku.

Woody, Kendall, Julia i Steve siedzieli przy stole w jadalni. Wszędzie dookoła robotnicy przesuwali meble, wynosili krzesła i kanapy.

Steve zagadnął Woody'ego:

– Co teraz będziesz robił?

– Wracam do Hobe Sound. Najpierw pójdę do doktora Tichnera. Potem... moja przyjaciółka ma stadninę kuców, na których będę jeździł.

Kendall spojrzała na Julię.

– Wracasz do Kansas City?

Kiedy była małą dziewczynką, pomyślała Julia, marzyłam, żeby ktoś zabrał mnie z Kansas i przeniósł do czarodziejskiej krainy, gdzie znajdę swojego księcia. Wzięła Steve'a za rękę.

– Nie – odpowiedziała. – Nie wracam do Kansas.

Patrzyli, jak dwaj robotnicy zdejmują ogromny portret Harry'ego Stanforda.

– Nigdy nie lubiłem tego obrazu – oświadczył Woody.